



artefakty

WILLIAM
GIBSON

WYPALIĆ
CHROM



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

przedmowa

kod źródłowy: wprowadzenie

johnny mnemonic

kontinuum gernsbacka

odłamki holograficznej róży

pasujący gatunek

barbarzyńcy

czerwona gwiazda, orbita zimowa

hotel new rose

zimowy targ

starcie

wypalić chrom

William Gibson

WYPALIĆ CHROM

Przełożył Piotr W. Cholewa

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *Burning Chrome*
(*Johnny Mnemonic. The Gernsback Continuum. Fragments of a Hologram Rose. The Belonging Kind. Hinterlands. Red Star, Winter Orbit. New Rose Hotel. The Winter Market. Dogfight. Burning Chrome*)

Copyright © 1986 by William Gibson
Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Elwira Wyszynska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń
Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon
Nazwa serii: Vanrad
Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-946-7

Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60
e-mail kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Otey Williams Gibson,
mojej matce,
i Mildred Barnitz,
jej prawdziwej serdecznej przyjaciółce
– i mojej również –
z wyrazami miłości.*

przedmowa

Jeśli poeci są niedocenianymi prawodawcami świata, pisarze science fiction są jego nadwornymi trefnisiemi. Jesteśmy Mądrymi Błaznami, mogącymi skakać, brykać, wygłaszać prorocтва i drapać się publicznie. Możemy bawić się Wielkimi Ideami, bo nasza krzykliwa pstrokaczna pulpowego pochodzenia czyni nas pozornie nieszkodliwymi.

I rzeczywiście my, pisarze SF, mamy się z czego cieszyć – dysponujemy wpływami, nie ponosząc odpowiedzialności. Niewielu tylko czuje się w obowiązku traktować nas poważnie, a jednak nasze przemyślenia przenikają kulturę, bulgoczą w niej niewidzialne, niczym promieniowanie tła.

Jednakże smutnym faktem jest, że SF ostatnio niewiele niosła radości. Wszelkie formy kultury popularnej przeżywają gorsze okresy – łapią katar, kiedy społeczeństwo kicha. Niestety, SF z końca lat siedemdziesiątych była chaotyczna, egocentryczna i nieoryginalna, a zatem nie stawiała się raczej źródłem zadziwienia.

William Gibson jest jednym z naszych najpewniejszych zwiastunów lepszej przyszłości.

Krótką karierą określiła go już jako pisarza należącego niewątpliwie do lat osiemdziesiątych. Niezwykła pierwsza powieść, *Neuromancer*, która w 1985 r. zgarnęła wszystkie nagrody na naszym polu, zademonstrowała jego niezrównaną umiejętność trafiania w społecznie wrażliwe miejsca. Rezultat był elektryzujący i pomógł wyrwać gatunek z dogmatycznego uśpienia. Powstająca z hibernacji SF wynurzyła się ze swej jaskini na jasne słoneczne światło współczesnego *zeitgeistu*. Jesteśmy jeszcze chudzi, głodni i w nie najlepszym humorze. Ale od tej chwili wszystko się zmienia.

Zbiór, który trzymacie w rękach, zawiera wszystkie powstałe dotąd krótkie teksty Gibsona. To rzadka okazja obserwowania szokująco szybkiego rozwoju świetnego pisarza.

Kurs, jaki zaplanował, widoczny był już w pierwszym publikowanym opowiadaniu, *Odlamkach holograficznej róży* z 1977 r. Są w nim widoczne znaki firmowe Gibsona: złożona synteza współczesnej popkultury, zaawansowana technika i doskonały warsztat literacki.

W drugim opowiadaniu, *Kontinuum Gernsbacka*, Gibson świadomie prezentuje opis kulejącej tradycji fantastyki. Jest to zabójcze odrzucenie „scientifiction” w jej kostiumie wąsko pojmowanej technolatrii. Widzimy tutaj pisarza, która zna swe korzenie i szykuje się do radykalnego przewrotu.

Gibson utrzymał tempo w serii *Ciągu*: *Johnny Mnemonic*, *Hotel New Rose* oraz fenomenalnym *Wypalić Chrom*. Wydanie tych opowiadań w magazynie „Omni” pokazało stan koncentracji wyobraźni, który w praktyce podniósł stawkę dla całego gatunku. Gęsta, barokowa proza warta jest kilkukrotnego czytania dla swej surowej, posępnej pasji i nagromadzenia szczegółów.

Podstawą tryumfu tych tekstów była przywołana w nich oszałamiająca i spójna wizja wiarygodnej przyszłości. Trudno przecenić trudności tego przedsięwzięcia, przed którym wielu pisarzy SF od lat się uchylało. Ta właśnie intelektualna niemoc tłumaczy groźny przyrost historii postapokaplitycznych, fantazji miecza i magii oraz zawsze obecnych space oper, w których galaktyczne imperia dogodnie zsuwają się w mrok barbarzyństwa. Wszystkie te podgatunki to efekt naglącej pisarskiej potrzeby uniknięcia zwarcia z realistyczną przyszłością.

Natomiast w opowieściach z *Ciągu* widzimy przyszłość, rozpoznawalnie i skrupulatnie wykreśloną na podstawie kondycji współczesności. Jest wielopostaciowa, złożona, globalna w swym spojrzeniu. Czerpie z nowego zestawu punktów startowych: zamiast ogranej formuły robotów, statków kosmicznych i nowoczesnego cudu energii atomowej, mamy tu cybernetykę, biotechnikę, sieć komunikacyjną – by wymienić tylko kilka.

Stosowane przez Gibsona metody ekstrapolacji należą do klasycznej hard SF, jednak ich rezultaty są wyraźnie nowofalowe. Zamiast typowych beznamiętnych techników i niezłomnych Ludzi Kompetentnych z twardej fantastyki, spotykamy zbieraninę pechowców, oszustów, fałszerzy, wyrzutków i szaleńców. Oglądamy tę przyszłość z poziomu gruntu – jako tę, w której się żyje, a nie tylko jako suche spekulacje.

Gibson kończy z płodnym gernsbackowskim archetypem Ralpa 124C41+, białego wykształconego technokraty w wieży z kości słoniowej, który rozrzuca błogosławieństwa supernauki na *hoi polloi*. Teksty Gibsona przenoszą nas na ulice i w zaułki, w sfery ciężkiej i ostrej walki o przetrwanie, gdzie technika stanowi bezustanny podprogowy szum, jak „zwariowany eksperyment społecznego darwinizmu, zaprojektowany przez znudzonego badacza, bez przerwy wciskającego klawisz szybkiego przewijania”.

Wielka Nauka nie jest w tym świecie źródłem cyrkowych, magicznych cudów, ale wszechobecną, wszechprzenikającą i ostateczną mocą. Jest deszczem lejącego się na tłum mutagennego promieniowania, zatłoczonym Globalnym Autobusem, pędzącym szaleńczo w górę wykładniczego zbocza.

Opowiadania kreślą łatwo rozpoznawalny portret współczesnych problemów. Ekstrapolacje Gibsona z przesadną wręcz wyrazistością pokazują niewidoczną masę góry lodowej społecznych przemian. Ta góra sunie teraz majestatycznie i złowieszczo po powierzchni końca dwudziestego wieku, ale jej sylwetka jest monumentalna i ciemna.

Wobec tego przyczajonego monstrum wielu autorów SF podnosiło ręce i przewidywało katastrofę. Wprawdzie nikt nie może zarzucić Gibsonowi syndromu Polyanny, jednak uniknął on tego łatwego wyjścia. To kolejna wyróżniająca cecha tworzącej się nowej szkoły SF lat osiemdziesiątych: jej znudzenie apokalipsą. Gibson nie traci zbyt wiele czasu na groźenie palcem czy załamywanie rąk. Oczy ma nieodmiennie otwarte i – jak zauważył Algis Budrys – nie boi się ciężkiej pracy. To ważne zalety.

Kolejny znak, wskazujący, że Gibson jest elementem nowego porozumienia w SF, to łatwość, z jaką podejmuje współpracę z innymi autorami. Ten zbiór zdobią trzy teksty, będące efektem takiej współpracy: *Pasujący gatunek* to rzadka gratka, mroczna fantazja przetykana obłąkanym surrealizmem. *Czerwona gwiazda, orbita zimowa* to kolejna opowieść z bliskiej przyszłości, z pieczołowicie oddaną autentyczną scenerią; globalna, wielokulturowa wizja jest typowa dla SF lat osiemdziesiątych. *Starcie* jest bezlitośnie efektywnym i brutalnie splątaniem opowiadaniem, z klasycznym gibsonowskim połączeniem prymitywnego życia i zaawansowanej techniki.

U Gibsona słyszymy dekadę, która w końcu odnalazła swój głos. Nie jest on salonowym rewolucjonistą, ale praktycznym, wprawnym modernizatorem. Otwiera zatechnie korytarze gatunku na powiew nowych danych: kulturę lat osiemdziesiątych z jej dziwną, narastającą integracją techniki i mody. Ma sympatię dla co dziwniejszych, bardziej twórczych zaułków literackiego mainstreamu: Le Carré, Robert Stone, Pynchon, William Burroughs, Jayne Ann Phillips. Jest też amatorem tego, co J. G. Ballard trafnie nazwał „niewidzialną literaturą” – przenikającego świat strumienia raportów naukowych, dokumentów rządowych i specyficznych ogłoszeń, kształtujących naszą kulturę poniżej poziomu percepcji.

SF przetrwało długą zimę na zgromadzonych zapasach. Gibson, wraz z szeroką falą twórczych i ambitnych nowych autorów, wyrwał gatunek ze snu i posłał na poszukiwanie świeżej diety. A to na pewno przyniesie nam wiele dobrego.

Bruce Sterling
1986

kod źródłowy: wprowadzenie

Nic nie pokrywa się patyną wieku tak szybko i specyficznie jak wyobrażona przyszłość.

Jako chłopiec w latach 60. czytałem mnóstwo science fiction, w większości powstałej dekadę czy dwie wcześniej. Zmusiło mnie to, bym dość wcześnie próbował rozkodować pewne istotne elementy historii współczesnej, choćby dlatego, że nie można właściwie odbierać science fiction, jeśli nie jest się w stanie rozpoznać punktu, w którym to, co wyobrażone, oddziela się od tego, co znane.

Historia jednak, jak się przez ten czas nauczyłem, jest w literaturze kwestią ostateczną, przedmiotem ciągłych i nieuniknionych zmian.

Science fiction zachowuje się często jak odmiana historii skierowana w przeciwnym kierunku, raczej naprzód w czasie niż do tyłu. Ale nie da się kreślić wyobrażonych przyszłych historii bez mapy przeszłości, którą czytelnicy przyjmują jako własną. Im mniej się uważa tę swoją mapę za twórczą wyobraźnię (lub przypadek), tym zwykle bardziej konwencjonalnie zmierza się ku swej wyobrażonej przyszłości. Wielu autorów, których czytałem w dzieciństwie, posiadało niezwykle trwałe mapy przeszłości, wyrzeźbione, zdawało się, z solidnego dębu. Ludzie pewni siebie, dokładnie wiedzieli, skąd przychodzimy, gdzie dokładnie jesteśmy teraz, i dokładnie dokąd zmierzamy. I na ogół mylili się we wszystkich trzech punktach, przynajmniej tak można ocenić to dzisiaj, z punktu położonego o wiele dalej na linii czasu.

Istniał jednak inny, odmienny typ science fiction, nienazwany, ale według mnie różny, który wydawał się startować z nie tak absolutnych założeń historycznych. Piszący często przyjmowali, że możemy wcale nie wiedzieć, skąd przychodzimy ani nawet gdzie jesteśmy – może wręcz w tym, gdzie jesteśmy, nie rozpoznajemy tego, czym ono zasadniczo jest.

Alfred Bester, Fritz Leiber, Robert Sheckley (by wskazać tylko trzy, ale znakomite przykłady) przemawiali do mnie w ten właśnie sposób, podczas gdy Heinlein czy Asimov – nie. Ci twórcy, dzięki którym science fiction dokonywała rzeczy – według mnie – najbardziej magicznej, poruszali się

w uniwersum miast, mającym więcej części ruchomych, w którym da się postawić więcej pytań (choć o wiele mniej ma definitywną odpowiedź). Tworzyli wyjątkową relację z tym, co później nauczyłem się nazywać „Nowoczesnym”.

Zanim sam zacząłem pisać opowiadania z tego zbioru, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat – w latach 80. – kulturowe modele współczesności zaczęły tracić wyrazistość. To niezadowolenie, jakie wniosłem do ich tworzenia, drażniące jak kamyk w butcie mojej młodszej metody, wiązały się z takim właśnie poczuciem – że Nowoczesne zaczyna się częściowo rozpadać – a także z przekonaniem, że science fiction w tej kwestii nie działa najlepiej. Czy może sprawiedliwiej będzie powiedzieć, że duża część science fiction bardzo rzadko robiła to, co osobiście najbardziej lubiłem, mimo że miała – według mnie – mnóstwo całkiem nowych i wspaniałych możliwości.

Gdyby ktoś mnie spytał, co właściwie, tak dokładnie, chciałbym, żeby robiła science fiction, pewnie nie potrafiłbym odpowiedzieć. Będąc zasadniczo tak samo niezdolnym do tworzenia teorii, jak do krytyki, mogłem tylko napisać te opowiadania.

Chociaż wystarczy rzut oka na spis treści, by odkryć, że nie zawsze robiłem to sam. Dla osób wyznających w literaturze teorię auteuryzmu, żadne tłumaczenie tu nie wystarczy, ale dla pozostałych powiem tylko, że najwyraźniej w swym niezadowoleniu nie byłem osamotniony.

Kod źródłowy tych opowiadań został skompilowany w równym stopniu ze wspomnianego wyżej niezadowolenia, z doświadczeń dzieciństwa, które wystawiło mnie na wpływy zarówno science fiction, jak i beatników (głównie Burroughsa i Kerouaca), oraz z osobistej znajomości z autorami klasy Sterlinga, Shirleya i Swanwicka, których także uwierały kamyki w ich własnych butach, całkiem podobne do moich. Bez któregokolwiek z tych trzech czynników prawdopodobnie nie czytaliście tego wstępu.

Odlamki holograficznej róży to pierwszy tekst literacki, jaki udało mi się skończyć; powstał zamiast pracy zaliczeniowej na kursie science fiction, prowadzonym przez nieżyjącą już dr Susan Wood z University of British Columbia w 1977 r. *Kontinuum Gernsbacka* powstało jako długa recenzja ilustrowanej historii opływowego modernizmu, który fanzin science fiction odrzucił jako zaskakująco nie na temat. *Pasujący gatunek* to moja nieproszona próba poprawienia maszynopisu Johna Shirleya, ostateczna

próba krytyki – jedyna, do jakiej byłem zdolny. John odbił piłeczkę i sprzedał opowiadanie jako nasze wspólne. *Johnny Mnemonic* to drugi tekst, do jakiego podszedłem: zacząłem pisać w roku 1977, a skończyłem w 1981 (przerwałem, by obserwować – z racji wieku nie biorąc udziału – fenomen punk rocka, który również ma swoje miejsce w kodzie źródłowym). *Starcie* zaczęło się od tego, że opowiedziałem komuś o swojej hipnagogicznej wizji miniaturowych dwupłatowców latających kilka cali nad stołem bilardowym. Opowieść dotarła do Swanwicka, który wkrótce potem zadzwonił z Filadelfii, że znalazł techniczną racjonalizację dla tego obrazu (wręcz wyśniony początek współpracy). *Czerwona gwiazda, orbita zimowa* to – jestem przekonany – pomysł zawsze pełnego energii Sterlinga, który później z równym entuzjazmem zaproponował, byśmy razem napisali bardzo długą powieść o parowych wiktoriańskich komputerach. Doświadczenia z *Czerwoną gwiazdą* skłoniły mnie, by nie uciekać od razu z krzykiem.

Wypalić Chrom, napisane na początku 1981 r., wydaje mi się teraz końcem mojej kariery autora opowiadań. Nie było nim chronologicznie (zresztą opowiadania to coś, do czego wciąż mam nadzieję kiedyś wrócić), ale w pewnym sensie stanowiło początek mojej kariery powieściopisarza. W tekście grają już silniki *Neuromancera*, nie tylko przez wprowadzenie „cyberprzestrzeni” – słowo to po raz pierwszy ujrzało światło dzienne, wypisane czerwonym mazakiem na żółtym papierze notatnika. Ale wtedy pierwszy raz miałem coś jeszcze do zrobienia w literaturze, chociaż nadal nie wiem dokładnie, co to właściwie takiego.

Niektórzy twierdzą, że „singiel” (jednostronnie nagrana winylowa płyta w formacie 78 albo 45 rpm) to medium, które wyznaczyło najdoskonalszy wyraz rocka – że jest to w istocie optymalna forma tej muzyki. To samo mówi się często o opowiadaniach w science fiction. Co do rocka, skłonny jestem podejrzewać nostalgię za martwą platformą. W przypadku science fiction wydaje mi się, że jest coś na rzeczy. Bardzo szczególny typ literackiego umięśnienia niezbędny jest dla stworzenia opowiadania, które naprawdę trafia do czytelnika.

Jeśli w ogóle kiedyś mi się to udało, znajdziecie je tutaj.

W każdym razie możecie się rozkoszować patyną.

William Gibson
21 października 2002

johnny mnemonic

Obrzyna schowałem do torby Adidasa i obłożyłem czterema parami tenisowych skarpet. To nie mój styl, ale tak to sobie właśnie zaplanowałem: jeśli myślą, że jesteś techniczny, idź w prymityw. A ja jestem chłopakiem wyjątkowo technicznym. Dlatego postanowiłem zagrać tak prymitywnie, jak to tylko możliwe. Ale żeby w dzisiejszych czasach aspirować do prymitywu, trzeba niezłej techniki. Musiałem wytoczyć na obrabiarce obie mosiężne łuski, dwunastki, a potem własnoręcznie je załadować; musiałem wygrzebać starą mikrofiszę z instrukcjami ręcznego przygotowywania naboju; musiałem zbudować prasę, żeby umieścić splotki. Wszystko to wymagało sprytu. Ale wiedziałem, że będzie działać.

Spotkanie miałem umówione w Drome o 23.00, ale przejechałem metrem trzy przystanki za najbliższą stację i wróciłem pieszo. Bezbłędna procedura.

Sprawdziłem siebie w niklowanej ścianie budki z kawą: podstawowy typ kaukaski, ostre rysy, czupryna ciemnych, sztywnych włosów. Dziewczyny z Pod Nożem szalały za Sonym Mao i trudno było je powstrzymać, żeby nie dodały mi jakichś mongolskich fałd. Wszystko to raczej nie oszuka Ralfiego Bużki, ale może przynajmniej doprowadzi mnie bliżej jego stolika.

Drome to pojedyncza wąska salka z barem pod jedną ścianą i stolikami pod drugą. Pełno tu alfonsów, paserów i wszelkiej maści handlarzy. Przy drzwiach stały dzisiaj Magnetyczne Psie Siostry i wcale nie podobała mi się myśl, że gdyby coś się nie udało, będę musiał się przez nie przebić. Miały po dwa metry wzrostu i były chude jak charty; jedna czarna, druga biała, ale poza tym były tak podobne, jak to tylko możliwe dzięki chirurgii plastycznej. Żyły ze sobą od lat, a w bójce lepiej na nie nie trafiać. Nie wiem, która początkowo była facetem.

Ralfi siedział tam, gdzie zwykle. Był mi winien kupę forsy. Nosilem zadekowane w głowie w trybie idioty/mędrca paręset megabajtów informacji, do której nie miałem świadomego dostępu. Ralfi ją tam zostawił. Ale nie zgłosił się po nią. A tylko on mógł odzyskać te dane

za pomocą hasła, które sam wymyślił. W ogóle nie jestem tani, ale ceny za wydłużone składowanie sięgają wartości astronomicznych. A Ralfi jest bardzo skąpy.

Potem usłyszałem, że Ralfi Bużka chce wystawić na mnie kontrakt. Właśnie dlatego zorganizowałem to spotkanie w Drome. Umówiłem się z nim jako Edward Bax, nieoficjalny importer, ostatnio z Rio i Pekinu.

Drome cuchnęło biznesem, metalicznym aromatem nerwowego napięcia. Rozproszeni w tłumie mięśniacy prężyli przed sobą kluczowe części ciała i próbowali zimnych uśmiezków. Niektórzy tak ginęli pod górami mięśniowych przeszczepów, że ich sylwetki straciły już ludzkie cechy.

Przepraszam bardzo. Przepraszam, koledzy. To tylko ja, Eddie Bax, Szybki Eddie Importer, z profesjonalnie nierzucającą się w oczy sportową torbę. Proszę, nie zwracajcie uwagi na to rozcięcie, szerokie tylko na tyle, żeby weszła tam moja prawa dłoń...

Ralfi nie był sam. Obok siedziało osiemdziesiąt kilo kalifornijskiego blond mięcha z wypisanymi na całym ciele sztukami walki.

Szybki Eddie Bax usiadł naprzeciwko, zanim mięcho zdążył unieść ręce ze stołu.

– Masz czarny pas? – spytałem z zaciekawieniem.

Kiwnął głową. Błękitne oczy odruchowo przebiegały linię skanu między moimi oczami a dłońmi.

– Ja też – oznajmiłem. – Mam go tu w torbie. – Wsunąłem rękę w rozcięcie i przerzuciłem bezpiecznik. – Podwójna dwunastka ze spiętymi spustami.

– To spluwa – wyjaśnił Ralfi, opierając dłoń o napiętą pierś chłopaka odzianą w błękitny nylon. – Johnny ma w torbie antyczną broń palną.

To tyle, jeśli chodzi o Eddiego Baxa.

Przypuszczam, że zawsze był Ralfim Jakośćtam albo Inaczej, ale przewisko zawdzięczał odrobinie próżności. Zbudowany jak przejrzała gruszka, od dwudziestu lat nosił sławną kiedyś twarz Christiana White'a.

Christian White, Biały Chrześcijanin z Aryjskiej Grupy Reggae, Sony Mao dla swego pokolenia, niezrównany mistrz wyścigowego rocka. Jestem kopalnią takich drobnych ciekawostek. Christian White: klasyczna twarz popu, ostre rysy, rzeźbione kości policzkowe. W jednym świetle anielska,

w innym przystojnie zdeprawowana. Ale za tą twarzą żyły małe czarne oczka Ralfiego, zimne i wyrachowane.

– Proszę cię – powiedział. – Porozmawiajmy jak ludzie interesu.

Jego głos odznaczał się budzącą grozę, lepką szczerością, a kąciki ust zawsze miał wilgotne.

– Ten oto Lewis... – skinął głową na mięśniaka – ...to tylko mięso. – Lewis przyjął to obojętnie. Wyglądał, jakby ktoś go zbudował z zestawu do samodzielnego montażu. – Ty nie jesteś mięsem, Johnny.

– Ależ jestem, Ralfi. Kawalkiem mięsa wypchanym implantami, w których możesz chować swoje brudy, kiedy sam wychodzisz poszukać kogoś, kto by mnie zabił. Z mojego końca tej torby, Ralfi, wydaje się, że powinienes coś wytłumaczyć.

– To ta ostatnia porcja towaru, Johnny. – Westchnął głęboko. – Jako handlowiec...

– Paser – poprawiłem.

– Jako handlowiec, staram się zwykle zachowywać daleko idącą ostrożność w kwestii pochodzenia towaru.

– Kupujesz tylko od tych, którzy kradną to, co najlepsze. Rozumiem.

Westchnął znowu.

– Staram się – podjął – nie kupować od głupców. Tym razem, obawiam się, właśnie to zrobiłem.

Trzecie westchnienie było sygnałem dla Lewisa, żeby włączył blokadę neuralną, przyklejoną taśmą pod białem po mojej stronie.

Wszystko, co mi jeszcze pozostało, włożyłem w próbę zgięcia wskazującego palca prawej ręki, ale miałem wrażenie, że nie jestem już do niego podłączony. Czuję metal strzelby i piankową taśmę, którą owinałem krótką kolbę, ale ręce były jak zimny wosk, daleki i bezwładny. Miałem nadzieję, że Lewis to prawdziwe mięcho, dostatecznie głupi, żeby sięgnąć po torbę i szarpnąć za mój sztywny palec... Ale nic z tego.

– Martwiliśmy się o ciebie, Johnny. Bardzo się martwiliśmy. Widzisz, to, co tam masz, jest własnością yakuzy. Jakiś dureń im to zabrał. Martwy dureń.

Lewis zachichotał. Wszystko wtedy nabrało sensu. Paskudnego sensu, jak spadające mi na głowę worki mokrego piasku. Zabijanie nie było w stylu Ralfiego. Nawet Lewis nie był w stylu Ralfiego. Ale wpakował się między Synów Neonowej Chryzantemy a coś, co do nich należało... a raczej

ich towar, który należał do kogoś innego. Ralfi, naturalnie, mógł wypowiedzieć hasło i wprowadzić mnie w tryb idioty/mędrca, a ja wypuściłbym ich gorący program, nie pamiętając ani ćwiartki. Takiemu paserowi jak Ralfi zwykle to wystarczało. Ale nie wystarczy yakuzie. Przede wszystkim ci z yakuzi z pewnością słyszeli o Mątwach i woleli się nie martwić, że jedna z nich wyciągnie mi z głowy te niewyraźne, ale trwałe ślady pozostawione przez ich program. Sam niewiele o Mątwach wiedziałem, ale dochodziły do mnie różne historie, których nigdy nie powtarzałem swoim klientom. Nie, yakuzie by się to nie spodobało; za bardzo przypominało dowody. Nie dotarliby na sam szczyt, tam gdzie są teraz, pozostawiając jakiegokolwiek dowody. Zwłaszcza żywe. Lewis uśmiechał się. Przypuszczam, że wyobrażał sobie punkt tuż za moim czołem i to, jak mógłby tam dotrzeć w możliwie bolesny dla mnie sposób.

– Cześć – odezwał się cichy głos kobiety gdzieś zza mojego prawego ramienia. – Widzę, chłopcy, że nie za dobrze się bawicie.

– Spadaj, dziwko – rzucił Lewis. Opalona twarz znieruchomiała. Ralfi patrzył tępo.

– Uśmiechnijcie się. Chcecie kupić trochę czystego śniegu?

Odsunęła krzesło i usiadła szybko, zanim któryś z nich zdołał jej przeszkodzić. Znalazła się na samej granicy mojego pola widzenia: szczupła dziewczyna w lustrzanych okularach, ciemne, krótko ścięte włosy. Miała na sobie rozpiętą czarną skórę, a pod nią koszulkę w ukośne czarne i czerwone pasy.

– Osiem kawalków za gram.

Lewis prychnął zirytowany i spróbował zrzucić ją z krzesła. Nie dotknął jej jednak, a ona ruszyła dłonią i tak jakby musnęła jego nadgarstek. Jasna krew trysnęła na stół. Zaciskał przegub, aż zbieleły mu kostki, a krew sączyła się spomiędzy palców.

Ale przecież ręce miała puste...

Będzie mu potrzebny spinacz ścięgna. Wstał ostrożnie, nie dbając o to, żeby najpierw odsunąć krzesło. Przewróciło się, a on bez jednego słowa wyszedł poza pole mojego widzenia.

– Powinien znaleźć lekarza, żeby mu to obejrzał – powiedziała. – Paskudne rozcięcie.

– Nie masz pojęcia – odezwał się Ralfi bardzo zmęczonym nagle głosem – w jak głębokie gówno właśnie wdepnęłaś.

– Poważnie? Tajemnica? Podniecają mnie tajemnice. Na przykład: dlaczego twój przyjaciel jest taki cichy. Zamrożony czy co? Albo do czego to służy?

Pokazała mały sterownik, który jakoś odebrała Lewisowi.

Ralfi wyglądał, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze.

– Może... no... może wzięłabyś ćwierć miliona za oddanie mi tej zabawki i wyjście na spacer?

Jego tłusta dłoń zaczęła gładzić bladą, szczupłą twarz.

– Wzięłabym raczej... – Pstryknęła palcami, a sterownik zakręcił się i zamigotał. – Pracę. Robotę. Twój chłoptaş zranił sobie rękę. Ale ćwiartka wystarczy na zaliczkę.

Ralfi głośno wypuścił z płuc powietrze i wybuchnął śmiechem. Odślonił przy tym zęby, które nie dorównywały standardom Christiana White'a. A potem ona wyłączyła blokadę.

– Dwa miliony – powiedziałem.

– Lubię takich – stwierdziła ze śmiechem. – Co jest w tej torbie?

– Spluwa.

– Prymitywne. – To mógł być komplement. Ralfi milczał. – Nazywam się Milion. Molly Milion. Chcesz stąd wyjść, szefie? Ludzie zaczynają się gapić.

Wstała. Miała skórzane dzinsy koloru zakrzepłej krwi. A ja dopiero teraz zauważyłem, że te jej lustrzane okulary były chirurgicznymi wszczepami. Srebro wyrastało gładko z wysokich kości policzkowych i zamykało oczy w oczodołach. I zobaczyłem w nich bliźniacze odbicia mojej nowej twarzy. – Jestem Johnny – przedstawiłem się. – Weźmiemy ze sobą pana Bużkę.

Był na zewnątrz. Czekał. Wyglądał jak typowy technik na turystycznej wyprawie, w plastikowych klapkach i idiotycznej hawajskiej koszuli z nadrukiem powiększenia najpopularniejszego mikroprocesora jego firmy. Tacy goście zwykle upijają się sake w barach podających ryżowe ciasteczka z wodorostami, śpiewają hymn swojej korporacji i płaczą, a barmanowi bez końca ściskają rękę. Alfonsi i handlarze zostawiają ich w spokoju, uznając za nieuleczalnych konserwatystów: nie mają wielkich wymagań, a jeśli już mają, to bardzo uważają na swoją kartę kredytową.

Później doszedłem do wniosku, że musieli mu amputować część lewego kciuka, gdzieś za pierwszym stawem. Zastąpili go protezą, wydrążyli kikut, wprowadzili szpulkę i gniazdo uformowane z jakiegoś analogonu

diamentu produkcji Ono-Sendai. A potem bardzo ostrożnie nawinęli na szpulkę trzy metry monomolekularnego włókna.

Molly wdała się w jakąś rozmowę z Magnetycznymi Psimi Siostrami, dając mi szansę wypchnięcia Ralfiego za drzwi, z torbą przyciśniętą lekko do podstawy jego pleców. Miałem wrażenie, że Molly je zna.

Usłyszałem, że ta czarna się śmieje.

Zerknąłem w górę, wiedziony jakimś ulotnym impulsem. Może dlatego, że nigdy nie przyzwyczałem się do tych szybujących łuków światła i cieni geodezyjnych nad nimi. Może to mnie uratowało. Ralfi szedł dalej, ale nie przypuszczam, żeby chciał uciekać. Myślę, że zrezygnował. Prawdopodobnie domyślał się już, z czym próbujemy walczyć.

Opuściłem wzrok na czas, żeby zobaczyć, jak eksploduje. Pamięć odtwarzana z pełną mocą ukazuje idącego naprzód Ralfiego i tego małego technika, który z uśmiechem wynurza się znikąd. Słaba sugestia ukłonu, potem lewy kciuk odpada. To tylko sztuczka... Kciuk wisi w powietrzu. Lustro? Druciki? Ralfi zatrzymuje się plecami do nas... ciemne półksiężycy potu pod pachami jego jasnego letniego garnituru. Wie. Musi wiedzieć.

A potem ten czubek kciuka ze sklepu z gadżetami, ciężki jak ołów, błyskawicznie zatacza łuk w górę, a łącząca go z dłonią zabójcy niewidzialna nić przechodzi poziomo przez czaszkę Ralfiego tuż powyżej brwi, wznosi się, opada, przecina kulisty tors po przekątnej, od ramienia do dolnych żeber. Tnie tak precyzyjnie, że nie płynie nawet krew, dopóki nie odpalą synapsy i pierwsze drgawki nie poddają ciała grawitacji.

Ralfi rozpadł się w czerwonym obłoku płynów organicznych; trzy niedopasowane już części potoczyły się po płytach chodnika. W absolutnej ciszy.

Poderwałem torbę i konwulsyjnie zacisnąłem palce. Odrzut niemal zgruchotał mi nadgarstek.

Musiało padać; wstążki wody spływały z potrzaskanej geodezyjnej i rozpryskiwały się na płycie obok nas. Wcisnęliśmy się w wąską szczelinę między butikiem chirurgicznym a antykwariatem. Wysunęła za róg jedno okryte lustrem oko i zameldowała, że przed Drome stoi pojedynczy moduł volksa z czerwonymi światłami na dachu. Zmiotali z chodnika Ralfiego. Zadawali pytania.

Pokrywała mnie nadpalona biała wata: tenisowe skarpety. Torba była poszarpaną plastikową bransoletą na przegubie.

– Nie rozumiem, do diabła, jak mogłem spudłować.
– Bo on jest szybki. Strasznie szybki. – Objęła rękami kolana i na obcasach kołysała się w przód i w tył. – Ma podrasowany system nerwowy. Produkt na zamówienie. – Uśmiechnęła się i pisnęła cicho z radości. – Załatwię tego chłopaczka. Jeszcze dzisiaj. Jest najlepszy, numer jeden, sam top, dzieło sztuki.
– To, co masz załatwić za dwa miliony od tego chłopaczka tutaj, to wyciągnąć stąd jego dupę. Tego twojego faceta tutaj wyhodowali w pojemnikach Chiba City. To zabójca yakuza.
– Chiba. Tak. Widzisz, Molly też była w Chibie.
Pokazała mi dłonie z lekko rozcapierzonymi palcami. Palce miała smukłe, kształtne, bardzo białe w porównaniu z paznokciami koloru burgunda. Z gniazd pod tymi paznokciami wyskoczyło nagle dziesięć ostrzy – dziesięć wąskich, obosiecznych skalpeli z błękitnej stali.

* * *

Nigdy nie przebywałem dłużej w Mieście Nocy. Nikt stąd nie płacił mi za pamiętanie, a większość regularnie płaciła sporo za zapominanie swoich spraw. Pokolenia strzelców odłupywały neony, aż w końcu zespoły naprawcze zrezygnowały. Nawet w południe łuki były czarne jak sadza na bladoperłowym tle. Gdzie można uciec, kiedy najbogatsza przestępcza organizacja świata szpera za człowiekiem chłodnymi, daleko sięgającymi palcami? Gdzie można się ukryć przed yakuzą, tak potężną, że ma własne satelity komunikacyjne i przynajmniej trzy promy? Yakuza to prawdziwa ponadnarodowa korporacja, jak ITT czy Ono-Sendai. Pięćdziesiąt lat przed moim urodzeniem wchłonęła już triady, mafię i Unione Corse.

Molly miała na to odpowiedź: trzeba się schować w Dziurze, najniższym kręgu, gdzie każda zewnętrzna ingerencja wzbudza szybkie, koncentryczne kręgi czystej przemocy. Schować się w Mieście Nocy. A jeszcze lepiej, schować się nad Miastem Nocy, ponieważ Dziura jest odwrócona i dno jej misy sięga nieba – tego nieba, którego Miasto Nocy nigdy nie ogląda, pocąc się pod własnym firmamentem akrylowych żywic. Tam, w górze, Lo Tekowie czają się w mroku jak maskarony, z wiszącymi u warg czarnorynkowymi papierosami.

Znała też inną odpowiedź.

– Czyli jesteś zatrzaśnięty na dobre, Johnny-san? Nie da się wyciągnąć tego programu bez hasła?

Prowadziła mnie w cień za jasnym peronem metra. Betonowe ściany pokrywało graffiti, wieloletnie warstwy skręcone w jeden metazygzak gniewu i frustracji.

– Zmagazynowane dane podaje się przez szereg mikrochirurgicznych protez kontrautystycznych. – Zaczęłam prymitywną wersję standardowej mowy reklamowej. – Kod klienta trafia do specjalnego chipu. Pomijając Mątwy, o których w naszym fachu nie lubimy rozmawiać, nie ma sposobu odczytania hasła. Nie można go wydobyć narkotykami, torturami, nie da się wyciąć. Nie znam go, nigdy nie znałem.

– Mątwy? Takie śliskie, z mackami?

Wyszliśmy na pusty targ uliczny. Jakieś ciemne postacie obserwowały nas przez skwerek zaśmiecony rybimi łbami i gnijącymi owocami.

– Metakwantowe trasery wibracji amagnetycznych. Używali ich podczas wojny, żeby szukać okrętów podwodnych i badać cybersystemy przeciwnika.

– Poważnie? W marynarce? Z wojny? Mątwą odczyta ten twój chip?

Zatrzymała się. Czuję na sobie jej spojrzenie zza tych podwójnych luster.

– Nawet prymitywne modele potrafiły mierzyć pole magnetyczne o mocy jednej miliardowej siły geomagnetycznej. To tak, jak wyłowić szept na ryczącym stadionie.

– Gliny już to potrafią, z parabolicznymi mikrofonami albo laserami.

– Ale dane nadal są bezpieczne. – Duma zawodowa. – Żaden rząd nie da Mątw glinom, nawet tym z bezpieki. Za duże ryzyko międzywydziałowych zabaw. Za duża szansa, że zaczną wikłać szefów w jakieś Watergate.

– Sprzęt z marynarki... – powtórzyła, a jej uśmiech błysnął w półmroku.

– Marynarka... Mam tu kumpla, który służył w marynarce. Nazywa się Jones. Powinieneś go chyba poznać. Tyle że to ćpun. No więc musimy coś dla niego zabrać.

– Ćpun?

– Delfin.

* * *

Był czymś więcej niż delfinem, chociaż z delfiniego punktu widzenia mógł się wydawać czymś mniej. Przyglądałem się, jak krąży leniwie w galwanizowanym zbiorniku. Woda chlapała na boki i moczyła mi buty.

Pochodził z demobilu po ostatniej wojnie. Cyborg.

Wyskoczył z wody, ukazując nam pociemniałe płyty na bokach – rodzaj wizualnego żartu. Gracja ginęła pod sztuczną zbroją, niezgrabną i prehistoryczną. Bliźniacze wypukłości po obu stronach czaszki zostały wbudowane jako powłoka zestawów czujników. Srebrzyste blizny połyskiwały na odsłoniętych fragmentach szarobiałej skóry.

Molly gwizdnęła. Jones machnął ogonem i przez krawędź zbiornika chlusnęło więcej wody.

– Co to za miejsce?

Spojrzałem na niewyraźne kształty w ciemności, na rdzewiejące łańcuchy i jakieś przedmioty pod brezentem. Nad zbiornikiem wisiała prosta drewniana rama z rzędami zakurzonych lampek choinkowych.

– Wesole miasteczko. Zoo i kolejki górskie. „Rozmowa z wojennym waleniem”. Takie rzeczy... Ten waleń to Jones.

Jones znowu wysunął głowę i skierował na mnie swe smutne stare oko.

– Jak on mówi?

Nagle zachciało mi się wyjść.

– W tym właśnie tkwi hak. Powiedz „cześć”, Jones.

Wszystkie żarówki zapaliły się równocześnie. Błyskały czerwono, biało, niebiesko.

C B N C B N C B N
C B N C B N C B N
C B N C B N C B N
C B N C B N C B N
C B N C B N C B N

– Jest dobry w symbolach, rozumiesz, ale kod ma ograniczony. W marynarce podłączali go do systemu audiowizualnego. – Z kieszeni kurtki wyciągnęła wąski pakunek. – Czysty proch, Jones. Chcesz?

Znieruchomiał w wodzie i zaczął opadać na dno. Poczulem falę paniki, gdy nagle przypomniałem sobie, że nie jest rybą, że może się utopić.

– Potrzebujemy klucza do banku Johnny’ego, Jones. Potrzebujemy szybko.

Światła błysnęły i zgasły.

– No spróbuj, Jones!

```

                N
      N  N  N  N  N  N  N  N  N
                N
                N
                N

```

Niebieskie żarówki, krzyż. Ciemność.

– Czysty! Jak śnieg. No dalej, Jones.

```

      B  B  B  B  B  B  B  B  B
      B  B  B  B  B  B  B  B  B
      B  B  B  B  B  B  B  B  B
      B  B  B  B  B  B  B  B  B
      B  B  B  B  B  B  B  B  B

```

Białe sodowe światło oblewało jej surowo monochromatyczne rysy z cieniami padającymi od kości policzkowych.

```

      C                C  C  C  C  C
      C                C
      C  C  C  C  C  C  C  C  C
                C                C
      C  C  C  C  C                C

```

Ramiona czerwonej swastyki skręcały się w jej srebrnych szklach.

– Daj mu – poleciłem. – Mamy. Ralfi Bużka... Żadnej wyobraźni.

Jones oparł swój opancerzony tułów o krawędź zbiornika, a ja myślałem już, że metal nie wytrzyma. Molly z rozmachu wbiła między płyty igłę strzykawkę. Syknął gaz wypychający. Świetlne wzory eksplodowały,

spazmami objęły ramę, potem ściemniały aż do czerni. Kiedy odchodziliśmy, dryfował, przewracał się leniwie w ciemnej wodzie. Może śnił o swojej wojnie na Pacyfiku, o cyberminach, które skasował, wsuwając się delikatnie w ich obwody tą Mątwą, której użył, żeby z chipa zaszytego w mojej głowie odczytać żałosne hasło Ralfiego.

– Rozumiem, że się walnęli przy demobilizacji i wypuścili go ze sprawnym wyposażeniem. Ale jak uzależnili cybernetycznego delfina od prochów?

– Wojna – odpowiedziała. – Wszyscy wtedy brali. Marynarka tego pilnowała. Jak inaczej by ich zmusili, żeby dla nich pracowali?

* * *

– Nie jestem pewien, czy to się kwalifikuje jako dobry interes – stwierdził pirat. Chciał wyciągnąć więcej forsy. – Specyfikacja zamiaru na komsata, którego nie ma nawet w spisach...

– Nie marnuj mojego czasu, bo sam nie zakwalifikujesz się już do niczego – oświadczyła Molly. Pochyliła się nad porysowanym biurkiem i dźgnęła go palcem.

– To może kupicie swoje mikrofałe gdzie indziej?

Pod tą swoją gębą Mao był twardym dzieciakiem. Prawdopodobnie urodził się w Mieście Nocy.

Dłoń Molly mignęła tylko na tle marynarki i odcięła klapę, nie powodując najmniejszej zmarszczki na materiale.

– Umowa stoi czy nie?

– Stoi – potwierdził.

Patrzył na zniszczoną marynarkę z czymś, co według niego miało być zapewne tylko uprzejmym zaciekawieniem. Kiedy sprawdzałem dwa kupione niedawno rejestratory, ona wyjęła z zapinanej kieszeni kurtki pomięty świstek papieru, który sam jej dałem. Rozwinęła go i przeczytała, bezgłośnie poruszając wargami. Wzruszyła ramionami.

– To wszystko?

– Wal – poleciłem, wciskając ZAPIS na obu dekach równocześnie.

– Christian White – wyrecytowała. – I jego Aryjska Grupa Reggae.

Wierny Ralfi, fan aż do śmierci...

Przejście w tryb idioty/mędrca jest zawsze bardziej powolne, niż tego oczekuję. Piracka radiostacja udawała skromne biuro podróży w pastelowym pudle, mieszczącym biurko, trzy krzesła i wyblakły plakat szwajcarskiego uzdrowiska orbitalnego. Para ptaszków o tułowiach z dmuchanego szkła i nóżkach ze srebrnej folii monotonicznie piła ze styropianowego kubka na półce za ramieniem Molly. Kiedy przefazowywałem się w tryb, przyspieszały stopniowo, aż ich fosforyzujące pierzaste czubki zmieniły się w jednolite łuki barw. LED-y wskazujące sekundy na plastikowym ściennym zegarze stały się bezsensownymi pulsującymi kratkami, a Molly i chłopak z twarzą Mao rozmyli się i tylko ich ręce migają czasem w szybkich jak u owadów widmach gestów. A potem wszystko rozplynęło się w chłodną szarość i nieskończony śpiewny poemat w sztucznym języku. Siedziałem przez trzy godziny i śpiewałem kradziony program martwego Ralfiego.

* * *

Ciąg handlowy ma od końca do końca prawie czterdzieści kilometrów – nierówne, zachodzące na siebie kopuły, osłaniające coś, co było kiedyś podmiejską arterią. Jeśli w pogodny dzień zgaszą łuki, przez warstwy akrylu sączy się szarość zbliżona do słonecznego światła: widok jak na więziennych szkicach Giovanniego Piranesiego. Ostatnie trzy kilometry ciągu od południa okrywają Miasto Nocy. Miasto Nocy nie płaci żadnych czynszów ani podatków. Neonowe łuki są tam martwe, geodezyjne poczerńałe po dziesiątkach lat dymiących ognisk. Kto w całkowitej niemal ciemności południa w Mieście Nocy zdoła zauważyć ukryte w krokwiach kilkadziesiąt szalonych dzieci?

Wspinaliśmy się od dwóch godzin: po betonowych schodach i żelaznych drabinach z perforowanymi szczeblami, mijając opuszczone pomosty i pokryte kurzem narzędzia. Wyruszyliśmy z czegoś, co wyglądało na nieużywany warsztat remontowy, zastawiony trójkątnymi segmentami dachu. Wszystko tu pokrywała taka sama jednolita warstwa graffiti: nazwy gangów, inicjały, daty sięgające początku wieku. Graffiti nie opuszczało nas przez całą drogę, blednąc stopniowo, aż tylko jeden tekst powtarzał się co pewien czas. LO TEK. Grubymi czarnymi literami.

– Kto to jest Lo Tek?

– Nie my, szefie. – Wspięła się na aluminiową drabinkę i zniknęła w otworze w arkuszu pogiętego plastiku. – Low Technology, niska technika. – Plastik tłumił jej słowa. Szedłem za nią, oszczędzając bóły nadgarstek. – Lo Tekowie. Twój numer z obrzytnem uznaliby za dekadencję.

Godzinę później podciągnąłem się do kolejnej dziury, tym razem wyciętej nierówno w opadającej płycie sklejk, i spotkałem swojego pierwszego Lo Teka.

– Nie ma sprawy – rzuciła Molly, muskając mnie dłonią po ramieniu. – To tylko Pies. Siemanko, Pies.

W wąskim promieniu jej przyklejonej taśmą latarki przyglądał się nam swoim jednym okiem, i wysuwając szary język, wolno oblizywał potężne kły. Nie byłem pewien, jakim cudem przeszczepy załączków zębowych dobermana można uznać za niski poziom techniki. Immunosupresanty zwykle nie rosną na drzewach.

– Moll. – Eskalacja uzębienia utrudniała mu wymowę. Pasemko śliny zwisało z wykrzywionej dolnej wargi – Słyszałem, że idziesz. Dawno.

Mógł mieć z piętnaście lat, ale kły i jaskrawa mozaika blizn połączona z pustym oczodołem tworzyła maskę bestii. Zestawienie takiej twarzy wymagało czasu i pewnych zdolności twórczych, a jego postawa świadczyła, że lubi z nią żyć. Nosił rozpadające się dzinsy, czarne od brudu i wyświecone na szwach. Pierś miał nagą, stopy bose. Wykonał wargami grymas lekko przypominający uśmiech.

– Ktoś lezie. Za tobą.

Daleko w dole, w Mieście Nocy, sprzedawca wody zachwalał swój towar.

– Nitki skaczą. Pies?

Skierowała latarkę w bok i zobaczyłem cienkie sznurki przywiązane do śrub, sznurki biegnące do krawędzi i znikające w dole.

– Zgaś to pieprzone światło!

Zgasła.

– Dlaczego ten, co za tobą lezie, nie ma światła?

– Nie potrzebuje. Ten gość to złe wieści, Pies. Jeśli twoi strażnicy go ruszą, wrócą do domu w łatwych do przenoszenia częściach.

– To przyjaciel. Moll?

Zaniepokoił się chyba. Słyszałem, jak przesuwa stopy po wytartej sklejce.

– Nie. Ale jest mój. A ten... – Klepnęła mnie w ramię. – Ten, to przyjaciel. Jasne?

– Pewno – potwierdził bez wielkiego entuzjazmu.

Przeszedł na skraj platformy, gdzie tkwiły śruby, i wygrał na napiętych sznurkach jakąś wiadomość.

Miasto Nocy rozciągało się pod nami jak tekturowa wioska dla szczurów. Małe okna lśniły światłem świec; widziałem tylko kilka ostrych, jasnych prostokątów rozświetlonych lampami bateryjnymi i karbidowymi. Wyobraziłem sobie staruszków pochylonych nad nieskończonymi partiami domina, pod ciepłym deszczem kapiącym z prania wywieszzonego na drągach między budami ze sklejki. A potem wyobraziłem sobie jego, jak wspina się cierpliwie przez ciemność w swoich sandałach i brzydkiej koszuli turysty, obojętnie i bez pośpiechu. Jak potrafił nas śledzić?

– Dobrze – stwierdziła Molly. – Czuje nas.

– Zapalisz?

Pies wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę, z której wyłowilem spłaszczony papierosa. Kiedy podawał mi ogień zapalką, dostrzegłem napis. Yiheyuany z filtrem. Beijing Cigarette Factory. Uznałem, że Lo Tekowie działają na czarnym rynku. Pies i Molly wrócili do swojego sporu, który brał się z tego, że Molly miała chęć skorzystać z pewnego konkretnego fragmentu nieruchomości Lo Teków.

– Sporo dla was zrobiłam, chłopie, i chcę tego podestu. Razem z muzyką.

– Nie jesteś Lo Tekiem.

Trwało to prawie przez cały kręty kilometr. Pies prowadził nas po rozchwianych pomostach i sznurowych drabinkach. Lo Tekowie grudami epoksydów przysysają swoje sieci i kryjówki do osnowy miasta; sypiają w hamakach. Ich kraina jest miejscami tak wytarta, że składa się prawie wyłącznie z uchwytów dla dłoni i stóp, wyciętych w zastrzałach geodezyjnych.

Zabójczy Podest – tak to nazwała. Pełznąąc za nią, czując, jak buty Eddiego Baxa ześlizgują się na śliskim metalu i wilgotnej sklejce, myślałem, że przecież nie może być bardziej niebezpieczny niż pozostała

część terytorium. A równocześnie wyczuwałem, że protesty Psa były raczej rytualne, że spodziewała się dostać to, czego żąda.

Gdzieś pod nami Jones krąży pewnie wokół zbiornika i odczuwa pierwsze sygnały głodu. Policja zamęcza stałych bywalców Drome pytaniami o Ralfiego. Czym się zajmował? Z kim rozmawiał, zanim wyszedł? A yakuza zawiesza swoje widmowe cielsko nad bankami danych miasta, poszukując moich bladych wizerunków odbitych w numerowanych kontaktach, zabezpieczanych transakcjach, rachunkach. Żyjemy w gospodarce informatycznej. Tego uczą w szkole. Nie mówią tylko, że nie można się ruszyć, nie można działać na żadnym poziomie, nie pozostawiając śladów, strzępków, pozornie pozbawionych znaczenia fragmentów osobistej informacji. Fragmentów, które da się odzyskać, powiększyć...

Ale w tej chwili pirat już pewnie przesłał naszą wiadomość do bufora czarnej skrzynki i wkrótce nastąpi transmisja do komsatu yakuzy. Prosta wiadomość: odwołajcie psy gończe, bo nadamy wasz program otwartym kodem. Program... Nie miałem pojęcia, co zawiera. I nadal nie mam. Ja tylko śpiewam, przy zerowym zrozumieniu. Prawdopodobnie chodzi o dane badawcze, bo yakuza zajmuje się zaawansowanym szpiegostwem przemysłowym. Dyskretny biznes: typowa kradzież z Ono-Sendai i trzymanie danych dla okupu. Pod groźbą publikacji, która musiałaby wpłynąć na zachwianie technicznej przewagi firmy. Ale dlaczego inni nie mogą się włączyć? I czy w yakuzie nie byłiby szczęśliwsi, gdyby mieli czym pohandlować z Ono-Sendai, zamiast zostać z jednym martwym Johnnym z Memory Lane?

Ich program był już w drodze pod pewien adres w Sydney, gdzie trzymają listy dla klientów i nie zadają pytań. Wystarczy wpłacić niewielką zaliczkę. Zwykły list, nawet nie lotniczy. Wykasowałem większą część drugiej kopii i w wolne miejsca nagrałem naszą wiadomość. Zostawiłem tyle, żeby mogli stwierdzić autentyczność programu.

Bolał mnie nadgarstek. Miałem ochotę zatrzymać się, położyć, zasnąć. Wiedziałem, że długo już nie wytrzymam, że spadnę, że lśniące czarne buty, które kupiłem na wieczorny występ w roli Eddiego Baxa, stracą kontakt z podłożem i poniosą mnie w dół, do Miasta Nocy. Ale on pojawiał się w moich myślach niczym tani religijny hologram – jarzył się widmowo,

a powiększony chip na jego koszuli unosił się nade mną niby satelitarne zdjęcie jakiegoś skazanego na zagładę miasta.

Dlatego wchodziłem za Psem i Molly przez niebo Lo Teków, prowizorycznie sklecone z odpadków, których nie chciało nawet Miasto Nocy.

* * *

Zabójczy Pomost był kwadratem o boku ośmiu metrów. Jakiś olbrzym przewiół stalową linę tam i z powrotem przez składowisko złomu, a potem naciągnął ją mocno. Pomost trzeszczał, gdy się poruszał, a poruszał się bez przerwy. Kołysał się i falował, gdy publiczność Lo Teków zajmowała miejsca na otaczającej go drewnianej półce. Drewno było srebrzyste ze starości, wypolerowane przez długie użytkowanie, pokryte głęboko rzeźbionymi inicjałami, groźbami, deklaracjami namiętności. Półka wisiała na osobnych linach, ginących w ciemności za ostrym białym blaskiem dwóch antycznych, umocowanych wysoko reflektorów.

Dziewczyna z zębami jak Pies wylądowała na Podeście na czworakach. Piersi miała wytatuowane w ciemnoniebieskie spirale. A potem skoczyła na drugą stronę i śmiejąc się, natarła na chłopaka, który pił jakiś ciemny płyn z litrowej butelki.

Moda Lo Teków wymagała blizn i tatuaży. I zębów. Elektryczność, którą kradli, żeby oświetlić Zabójczy Podest, była chyba jedynym wyjątkiem od panującej tu estetyki, dopuszczanym dla... rytuału, sportu, sztuki? Nie wiedziałem, ale rozumiałem dobrze, że Podest jest czymś szczególnym. Wyglądał, jakby montowały go pokolenia.

Trzymałem pod marynarką bezużytecznego obrzyna. Ciężar i twardość uspokajały, mimo że nie miałem już naboju. I przyszło mi do głowy, że właściwie nie mam pojęcia, co się tu dzieje i co powinno się zdarzyć. Taka zwykle była natura mojej gry, ponieważ przez większą część życia służyłem za ślepy odbiornik, wypełniany wiedzą innych ludzi, a potem opróżniany, tryskający strugami sztucznych języków, których nigdy nie rozumiałem. Techniczny chłopak. Pewno.

I wtedy zauważyłem, że Lo Tekowie ucichli.

Stał tam, na samej granicy światła, ze spokojem turysty obserwując Zabójczy Podest i galerię milczących Lo Teków. Po raz pierwszy spojrzeliśmy sobie w oczy i rozpoznaliśmy się. W pamięci rozbłysło nagle wspomnienie Paryża i długich elektrycznych mercedesów, niby ruchome cieplarnie sunących wśród deszczu ku Notre Dame. A za szybami japońskie twarze i setki nikonów unoszących się w ślepych odruchu fototropizmu, jak kwiaty ze stali i kryształu. Za jego oczami, kiedy mnie odnalazły, brzęczały takie same migawki.

Obejrzałem się za Molly Million, ale zniknęła.

Lo Tekowie rozstąpili się, żeby mógł wejść na ławkę. Ukłonił się z uśmiechem i gładko zsunął sandały, zostawił je ustawione obok siebie, idealnie równo. A potem wstąpił na Zabójczy Pomost. Ruszył do mnie przez ten falujący batut z odpadków równie pewnie, jak turysta idący po syntetycznym chodniku korytarzem typowego hotelu.

Molly z rozpędu wskoczyła na Podest.

Podest zawył.

Mieli wzmacniacze i mikrofony: cztery szerokopasmowe tkwiły na czterech grubych sprężynach w rogach, a kontaktowe poprzyklejali przypadkowo do rdzewiejących elementów maszyn. Lo Tekowie podłączyli do tego wzmacniacz i syntetyzer. Dopiero teraz zauważyłem nad głową, za okrutnym blaskiem reflektorów, kształty głośników.

Zabrzmiał perkusyjny rytm, elektroniczny, podobny do wzmocnionych uderzeń serca, równomierny jak metronom.

Zrzuciła skórzaną kurtkę i buty. Miała na sobie koszulkę bez rękawów, a delikatne ślady obwodów z Chiba City wyznaczały linie na jej ramionach. Skórzane dzinsy lśniły w świetle reflektorów.

Zaczęła taniec. Ugięła kolana, bosc stopy nacisnęły spłaszczony zbiornik gazu, a Zabójczy Podest zafalował w odpowiedzi. Wydawał dźwięk, jakby świat się kończył, jakby liny podtrzymujące niebiosy pękały i zwijały się na niebie.

On unosił się przez kilka uderzeń serca, a potem ruszył, perfekcyjnie oceniając ruchy Podestu, niczym człowiek w wypielęgnowanym ogrodzie, przechodzący z jednego płaskiego kamienia na drugi. Zdjął czubek kciuka z gracją kogoś wykonującego konwencjonalny gest bez znaczenia, i rzucił nim w Molly. W blasku reflektorów włókno było załamującą światło nicią tęczy.

Molly padła na płask, przetoczyła się i wstała jednym skokiem, kiedy przemknęła nad nią monomolekuła. Stalowe szpony wystrzeliły na zewnątrz w odruchowej zapewne reakcji obronnej. Bęben przyspieszył, a ona podskakiwała w jego rytmie, ciemne włosy powiewały wokół pustych srebrnych szkieł, zacisnęła usta i w skupieniu ściągnęła wargi. Zabójczy Podest grzmiał i huczał, a Lo Tekowie wrzeszczeli z podniecenia.

Zwinął włókno, pozostawiając metrowy krąg upiornego polichromu. Utrzymywał go, poruszając bezkciukową dłonią na wysokości mostka. Tarcza.

A w Molly jakby coś pękło... coś w jej wnętrzu. Teraz dopiero zaczęła prawdziwie wściekły taniec. Skoczyła, przekręciła się, rzuciła w bok i wylądowała obiema nogami na bloku silnika podłączonego bezpośrednio do jednej ze sprężyn. Zasłoniłem uszy i przyklęknąłem w wirze dźwięków. Miałem wrażenie, że Podest i ławki spadają, że pędzą do Miasta Nocy; widziałem już, jak łamiemy dachy bud i jak przegniłe owoce krwawym prysznicem eksplodujemy na płytach chodnika. Ale liny wytrzymały, a Zabójczy Podest wzniósł się i opadł niby obłąkane metalowe morze. A po nim tańczyła Molly.

Tuż przed końcem, zanim ostatni raz machnął włóknem, zobaczyłem coś na jego twarzy: jakąś minę, która mnie zaskoczyła, której tam być nie powinno. Nie był to strach ani gniew. Myślę, że było to chyba niedowierzanie, oszołomienie zmieszane z czysto estetycznym obrzydzeniem wobec tego, co widział i słyszał... tego, co się z nim działo. Skrócił włókno i widmowy dysk zmalał do rozmiaru talerza. Wtedy wyrzucił rękę nad głowę i szarpnął nią w dół; czubek kciuka skrzył za Molly jak coś żywego.

Podest odsunął ją w dół, monomolekuła przemknęła tuż nad nią; Podest zafalował i uniósł go na ścieżkę napiętego włókna. Powinno przelecieć mu bezpiecznie nad głową i wsunąć się do twardego jak diament gniazda... Odcięło mu rękę powyżej nadgarstka. W Podeście była szczelina, tuż przed nim. Skoczył w nią jak nurek, z przedziwną gracją – pokonany kamikaze w drodze do Miasta Nocy. Po części, tak mi się wydaje, rzucił się w dół, żeby zyskać kilka sekund godności ciszy. Zabiła go szokiem kulturowym.

Lo Tekowie krzyknęli, ale ktoś wyłączył wzmacniacz i Molly wjechała na Zabójczym Podeście w ciszę. Twarz miała bladą i martwą... Ustało

kołysanie i słycać było tylko ciche trzaski udręczonego metalu i zgrzyt rdzy o rdzę.

Bezskutecznie szukaliśmy na Podeście odciętej dłoni. Trafiliśmy tylko na gładki łuk w kawałku przerdzewiałej stali, w miejscu, gdzie przeszła monomolekuła. Krawędź była błyszcząca jak nowy chrom.

* * *

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy yakuza przyjęła nasze warunki ani nawet czy odebrała naszą wiadomość. O ile wiem, ich program wciąż czeka na Eddiego Baxa na zapleczu sklepu z pamiątkami na trzecim poziomie Sydney Central-5. Prawdopodobnie już parę miesięcy temu sprzedali oryginał Ono-Sendai. Ale może dotarła do nich ta piracka transmisja, bo minął już prawie rok, a nikt przez ten czas na mnie nie polował.

Jeśli przyjdą, czeka ich długa wspinaczka w ciemności, obok wartowników Psa, a ja ostatnio nie wyglądam już jak Eddie Bax. Molly się tym zajęła – ze znieczuleniem miejscowym. Nowe zęby już się prawie przyjęły.

Postanowiłem zostać tu, na górze. Kiedy patrzyłem na Zabójczy Podest – zanim jeszcze przyszedł on – zrozumiałem, jaki byłem pusty. I wiedziałem, że mam już dość roli wiadra. Dlatego teraz prawie każdej nocy schodzę na dół i odwiedzam Jonesa.

Jesteśmy teraz współnikami, Jones i ja. I Molly Milion, która prowadzi nasze interesy w Drome. Jones nadal tkwi w wesołym miasteczku, ale teraz ma większy zbiornik i raz na tydzień świeżą morską wodę. No i swoje prochy, kiedy ich potrzebuje. Dalej gada do dzieciaków żarówkami w ramie, ale ze mną rozmawia przez nowy zestaw wizyjny zamontowany w szopie, którą tam wynajmuję. Lepszy zestaw niż miał w marynarce.

I wszyscy zarabiamy duże pieniądze. Większe niż zarabiałem poprzednio, bo Mątwą Jonesa potrafi odczytać ślady wszystkiego, co kiedyś we mnie przechowywali. Przekazuje to na ekranie w językach, które rozumiem. Dzięki temu wiele się dowiaduję o swoich byłych klientach.

Pewnego dnia każę chirurgowi wygrzebać sobie z mózgu cały krzem i będę żył ze swoimi i tylko swoimi wspomnieniami, jak wszyscy ludzie. Ale

to dopiero za jakiś czas. A na razie jest tu naprawdę nieźle: na górze, w ciemności. Palę chińskie papierosy z filtrem i słucham, jak z geodezyjnych ściekają krople. Cisza... Chyba że para Lo Teków postanowi zatańczyć na Zabójczym Podeście.

Wiele można się przy tym nauczyć. Mając Jonesa, który pomoże mi się we wszystkim połapać, będę chyba najbardziej technicznym chłopakiem w okolicy.

kontinuum gersbacka

Szczęśliwie cała sprawa zaczęła powoli blaknąć, stawać się epizodem. Niekiedy wciąż dostrzegam jakiś przebłysk, ale już tylko na granicy pola widzenia: ledwie widoczne kątem oka odpryski przezroczy obłąkanego naukowca. W zeszłym tygodniu był ten wielki liniowiec, latające skrzydło nad San Francisco, ale wydawał się prawie przejrzysty. Coraz rzadziej spotykam skrzydlate krążowniki szos, a autostrady uprzejmiem unikają rozwijania się w lśniące osiemdziesięciopasmowe monstra, jakimi w zeszłym miesiącu musiałem jechać wynajętą toyotą. Wiem też, że nic z tego nie podąży za mną do Nowego Jorku – mój wzrok zawęży się do pojedynczej długości fali prawdopodobieństwa. Ciężko na to pracowałem. I telewizja bardzo mi pomagała.

Przypuszczam, że wszystko zaczęło się w Londynie, w tej niby greckiej tawernie przy Battersea Park Road, podczas lunchu na służbowy rachunek Cohena – jedzenie z martwej lady grzewczej i pół godziny oczekiwania, aż znajdą wiaderko do lodu na retsinę. Cohen pracuje dla Barrisa-Watforda, którzy wydają duże i modne „fachowe” albumy: ilustrowane historie neonów, bilardów elektrycznych, nakręcanych zabawek z okupowanej Japonii. Poleciałem tam, żeby zrobić serię zdjęć do reklam butów: kalifornijskie dziewczyny z opalonymi nogami w zabawnych neonowych sportowych butach brykały dla mnie na ruchomych schodach St. John’s Wood i peronach Tooting Bec. Zwinna i drapieżna młoda agencja uznała, że tajemnice londyńskiego metra dobrze sprzedadzą nylonowe tenisówki z gofrowaną podeszwą. Oni decydują, ja strzelam fotki.

Cohen, którego znałem przelotnie z dawnych czasów w Nowym Jorku, zaprosił mnie na lunch w przeddzień zaplanowanego wylotu z Heathrow. Przyprowadził bardzo modnie ubraną kobietę, niejaką Dialtę Downes, która praktycznie nie miała podbródka i najwyraźniej była znanym historykiem pop-artu. W retrospekcji widzę ją, jak idzie obok Cohena pod neonowym napisem błyskającym wielkimi bezszeryfowymi literami: TAM CZEKA SZALEŃSTWO.

Cohen przedstawił nas i wyjaśnił, że Dialta jest głównym pomysłodawcą najnowszego projektu Barrisa-Watforda, ilustrowanej historii tego, co nazywała „amerykańskim opływowym modernizmem”. Cohen mówił o tym „blasterowy gotyk”. Tytuł roboczy brzmiał *Aerodynamiczne Futuropolis: Jutro, które nie nadeszło*.

Brytyjczycy przejawiają swoistą obsesję co do bardziej barokowych elementów amerykańskiej pop-kultury – podobną do dziwaczego fetysza Indian i kowbojów u zachodnich Niemców czy niewytłumaczalnego francuskiego głodu starych filmów z Jerrym Lewisem. U Dialty Downes ta obsesja przejawiała się jako mania na punkcie tej wyjątkowo amerykańskiej formy architektury, której większość Amerykanów jest właściwie nieświadoma. Z początku nie byłem pewien, o co jej chodzi, ale stopniowo zaczynałem pojmować. I przypominałem sobie poranne niedzielne programy telewizyjne z lat pięćdziesiątych.

Lokalne stacje puszczały czasem jako wypełniacze stare kroniki filmowe. Człowiek siedział sobie z kanapką z masłem orzechowym i szklanką mleka, a hollywoodzki baryton na tle trzasków tłumaczył, że oto jest Latający Samochód w Twojej Przyszłości. A na ekranie trzech inżynierów z Detroit krzątało się obok wielkiego starego nasha ze skrzydłami, który po chwili pędził szaleńczo po jakiejś opustoszałej drodze w Michigan. Nigdy nie pokazywali, jak startuje, ale odleciał od Nibylandii Dialty Downes, prawdziwego domu dla pokolenia niczym nieskrępowanych technofilów.

Dialta mówiła o rozmaitych większych i mniejszych elementach „futurystycznej” architektury lat trzydziestych i czterdziestych, jakie każdego dnia człowiek mija w każdym amerykańskim mieście i zupełnie nie zwraca na nie uwagi; kinowe neonowe tablice, karbowane, by promieniować jakąś tajemniczą energią, tanie sklepiki z frontonami z falistych paneli aluminium, krzesła na niklowanych rurkach zbierające kurz w westybulach tanich hoteli. Dla niej wszystko to było wycinkami świata marzeń, porzuconych przez obojętną teraźniejszość. Chciała, żebym je dla niej sfotografował.

Lata trzydzieste widziały pierwszą generację amerykańskich projektantów wzornictwa przemysłowego. Do tego czasu wszystkie temperówki do ołówków wyglądały jak zwykle temperówki z czasów wiktoriańskich, z typowym mechanizmem i może dodatkowo jakimś

zawijasem dla ozdoby. Po nadejściu projektantów niektóre zaczęły sprawiać wrażenie, jakby składano je w tunelach aerodynamicznych. W większości zmiana była tylko zewnętrzna – pod chromowaną opływową skorupą krył się ten sam wiktoriański mechanizm. Co zresztą miało pewien sens, bo większość znanych designerów rekrutowała się z szeregów scenografów teatralnych z Broadwayu. Wszystko było dekoracją, serią skomplikowanych rekwizytów do wystawiania życia w przyszłości.

Przy kawie Cohen wyjął grubą brązową kopertę pełną błyszczących zdjęć. Zobaczyłem skrzydlate posągi strzegące tamy Hoovera, czterdziestostopowe betonowe ozdoby, jakby zdjęte z masek samochodów, pochylone w nieustępliwej walce z nieistniejącym huraganem. Zobaczyłem kilkanaście zdjęć biurowca Johnson's Wax, projektu Franka Lloyda Wrighta, zestawionych ze starymi grafikami Franka R. Paula na okładkach pulpowego „Amazing Stories” – pracownicy Johnson's Wax musieli się czuć, jakby wkraczali do którejs z aerografowych utopii Paula. Budynek Wrighta rzeczywiście sprawiał wrażenie zbudowanego dla ludzi noszących białe togi i lucytowe sandały.

Zatrzymałem się przy szkicu oszołamiająco wspaniałego śmigłowego samolotu – samo skrzydło, jakby gruby symetryczny bumerang z oknami w nieoczekiwanych miejscach. Podpisy i strzałki ukazywały umiejscowienie sali balowej i dwóch kortów do squasha. Rysunek był datowany na 1936.

– Coś takiego nie mogło chyba latać...? – Spojrzałem na Diałę Downes.

– Och nie, to całkiem niemożliwe, nawet z tymi dwunastoma gigantycznymi śmigłami, ale zachwycili się wyglądem, rozumiesz... Z Nowego Jorku do Londynu poniżej dwóch dni, jadalnia pierwszej klasy, prywatne kabiny, pokłady słoneczne, tańce i jazz wieczorami... Projektanci byli populistami, rozumiesz, i starali się dać publiczności to, czego chciała. A ludzie chcieli przyszłości.

* * *

Przesyłka od Cohena dotarła, kiedy już od trzech dni siedziałem w Burbank i usiłowałem nasycić charyzmą całkiem nudziarsko

wyglądającego rockmana. Można sfotografować coś, czego nie ma, ale to piekielnie trudna robota i w efekcie bardzo poszukiwany talent. Nie jestem w tym całkiem do niczego, owszem, ale też nie jestem najlepszy, a ten biedny gość naprawdę nadwerzęzył wiarygodność mojego nikonu. Wyjechałem trochę załamany, bo lubię dobrze robić swoje, ale nie całkiem załamany, bo dopilnowałem, żeby odebrać czek. I postanowiłem odzyskać wiarę w siebie przy subtelnym artyzmie zlecenia Barrisa-Watforda. Cohen przysłał mi parę książek o wzornictwie przemysłowym lat trzydziestych, następne zdjęcia opływowych budynków i od Dialty Downes listę pięćdziesięciu jej ulubionych przykładów tego stylu w Kalifornii.

Fotografia architektoniczna często wymaga długiego czasu; budynki stają się rodzajem zegarów słonecznych, a człowiek czeka, aż cień odpełźnie z detalu, na którym mu zależy, albo na krótki moment, gdy masa i równowaga struktury ukaze się w pewien szczególny sposób. I kiedy tak czekałem, wyobrażałem sobie siebie w Ameryce Dialty Downes. Niektóre budynki, gdy wyizolowałem je na szlifowanym szkle hasselblada, pojawiały się z pewnym rodzajem surowej, totalitarnej godności, jak te stadiony, które Albert Speer budował dla Hitlera. Natomiast reszta była nieodmiennie tandetna: wytłoczone przez zbiorową amerykańską podświadomość lat trzydziestych efemeryczne wizje, które przetrwały zwykle wzdłuż przygnębiających dróg między zakurzonymi motelami, hurtowniami materacy i małymi składami używanych samochodów.

Intensywnie szukałem stacji benzynowych.

W szczytowym okresie Ery Downes nadzór nad projektowaniem kalifornijskich stacji zlecieli Mingowi Bezlitosnemu. Ponieważ preferował architekturę rodzinnego Mongo, krążył wzdłuż wybrzeża i wznosił z białego stiuku stanowiska miotaczy promieni. Wiele z nich miało całkiem zbędne centralne wieże z tymi dziwacznymi kryzami chłodzącymi, które stały się charakterystycznym motywem stylu, i z którymi wyglądały, jakby mogły generować potężne impulsy czystego technicznego entuzjazmu, gdyby tylko ktoś znalazł właściwą dźwignię, by je uruchomić. Jedną w San Jose sfotografowałem na godzinę przed przybyciem buldożerów, które przejechały równo przez strukturalną prawdę tynku, desek i taniego cementu.

– Myśl o tym – mówiła Dialta Downes – jak o czymś w rodzaju alternatywnej Ameryki: o roku 1980, który się nie wydarzył. Architekturze

strzaskanych marzeń.

W takim mniej więcej nastroju zaliczałem swoją czerwoną toyotę kolejne stacje splątanej socjoarchitektonicznej drogi krzyżowej, a jednocześnie stopniowo dostrajałem się do jej wizji widmowej Ameryki, której nie było, do rozlewni coca-coli wyglądających jak wyrzucone na brzeg łodzie podwodne czy kin piątej kategorii niczym świątyń jakiejś zapomnianej sekty oddającej cześć błękitnym zwierciadłom i geometrii. I kiedy tak krążyłem wśród tajemniczych ruin, zacząłem się zastanawiać, co mieszkańcy tej zagubionej przyszłości sądziliby o świecie, w jakim teraz żyłem. Lata Trzydzieste śniły o białym marmurze i opływowym chromie, o nieśmiertelnym kryształach i lśniącym brązie, ale potem rakiety z okładek pulpowych magazynów Gernsbacka w środku nocy z wyciem spadły na Londyn. Po wojnie każdy miał samochód, ale bez skrzydeł i bez superautostrady, by nim jeździć, więc samo niebo pociemniało od spalin, zżerających marmur i dziurawiących cudowny kryształ.

Aż pewnego dnia, na przedmieściach Bolinas, gdzie szykowałem się do sfotografowania wyjątkowo wspaniałego przykładu wojennej architektury Minga, przebiłem cienką membranę – błonę prawdopodobieństwa... Delikatnie, powoli przekroczyłem Próg. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dwunastosilnikowego stwora niczym warczący wzdęty bumerang, ze słoniową gracją sunącego na wschód – tak nisko, że mogłem policzyć nity w matowym srebrzystym kadłubie i może też usłyszeć słabe echo jazzu.

* * *

Pojechałem z tym do Kihna.

Merv Kihn – niezależny dziennikarz z długą serią tekstów o teksańskich pterodaktylach, wsiowych burakach kontaktujących się z UFO, drugoligowych potworach z Loch Ness i dziesięciu najpopularniejszych teoriach spiskowych w co bardziej odjechanych rubieżach amerykańskiej zbiorowej umysłowości.

– Niezłe – ocenił, połą hawajskiej koszuli polerując szkła swoich złotych strzeleckich polaroidów. – Ale to nie psychiczne, nie ma odpowiedniego kopa.

– Ale ja to widziałem, Mervyn...

Siedzieliśmy nad brzegiem basenu, pod jaskrawym słońcem Arizony. Merv przyleciał do Tucson spotkać się z grupą emerytowanych urzędników z Las Vegas, których przywódca odbierał na swojej mikrofalówce wiadomości od Nich. Ja jechałem tu całą noc i czułem to.

– Jasne, że tak. Jasne, że widziałeś. Czytałeś moje teksty; nie załapałeś ogólnego wyjaśnienia zagadek UFO? Jest proste, oczywiste i prymitywne: ludzie. – Starannie wsunął okulary na swój długi orli nos i obrzucił mnie najlepszym bazylijszkowym wzrokiem. – Widzą... rzeczy. Ludzie widzą rzeczy. Nic tam nie ma, ale oni i tak widzą. Pewnie tego potrzebują. Czytałeś Junga, powinieneś znać powody. W twoim przypadku są tak oczywiste: sam przyznajesz, że myślałeś o tej zwariowanej architekturze, snułeś fantazje... I jestem pewien, że trochę prochów też w życiu wzięłeś, nie? Ilu ludzi przeżyło lata sześćdziesiąte w Kalifornii bez jakiejś halucynacji? Te noce, na przykład, kiedy odkrywałeś, że całe armie disneyowskich techników pracowicie wplatały w materiał twoich džinsów animowane egipskie hieroglify. Albo, powiedzmy...

– Ale to nie było tak...

– Jasne, że nie. Jasne, że było całkiem inaczej. Nastąpiło „na tle wyraźnej rzeczywistości”, zgadza się? Wszystko wygląda normalnie, aż nagle pojawia się potwór, mandala, neonowe cygaro... W twoim przypadku, aeroplan Toma Swifta. Zdarza się bez przerwy. Nie jesteś nawet szalony. Wiesz o tym, prawda? – Wyłowił piwo ze stojącej obok leżaka odrapanej styropianowej lodówki. – W zeszłym tygodniu byłem w Virginii. Rayson County. Robiłem wywiad z szesnastoletnią dziewczyną, napastowaną „szes nidźwidziego łeba”.

– Co takiego?

– Przez niedźwiedzi łeb. Odciętą głowę niedźwiedzia. No i ten nidźwidzi łeb, rozumiesz, latał w kółko na własnym małym latającym talerzyku, całkiem podobnym do dekli od starego cadillaca kuzyna Wayne’a. Miał czerwone świecące ślepia, jak dwa niedopalki cygar, i sterzące zza uszu chromowane teleskopowe anteny.

Beknął.

– I ją napastował? Jak?

– Nie chcesz wiedzieć; jesteś ewidentnie zbyt podatny. „Zimny był”... – Wrócił do swojego marnego południowego akcentu. – „...I metalowy.

I bipał erlektrycznie”. I to jest czysta prawda, towar wprost z masowej nieświadomości. Ta dziewczyna to czarownica. Nie ma dla niej miejsca, nie może funkcjonować w normalnym społeczeństwie. Widziałaby diabła, gdyby nie wychowała się na Bionic Manie i powtórkach Star Treka. Jest przyssana do głównej żyły. I wie, że to się jej przydarzyło. Wyniosłem się stamtąd dziesięć minut przed tym, jak ciężkozbrojni chłopcy od UFO zjawili się z poligrafem.

Musiałem wygłądać na cierpiącego, bo ostrożnie odstawił piwo obok lodówki i usiadł prosto.

– Jeśli wolisz bardziej eleganckie wytłumaczenie, to zobaczyłeś semiotyczne widmo. Dam ci przykład: wszystkie opowieści o kontaktach z UFO są osadzone w rodzaju wizji scifi, która przenika naszą kulturę. Ja osobiście mogę kupić historię o obcych, ale nie obcych, którzy wyglądają jak komiksowe grafiki z lat pięćdziesiątych. Są semiotycznymi fantomami, fragmentami głęboko zakorzenionej kulturowej wyobraźni, które oderwały się i zaczęły żyć własnym życiem, jak te Vernowskie maszyny latające, co to je stale widują starzy farmerzy z Kansas. Ty po prostu zobaczyłeś inne widmo i tyle. Ten samolot był kiedyś elementem masowej nieświadomości i ty jakoś do niego sięgnąłeś. Najważniejsze to się tym nie przejmować.

Jednak ja się przejmowałem.

Kihn przyczesał swe przerzedzone jasne włosy i odszedł, by wysłuchać, co Oni mieli ostatnio do powiedzenia na otwartym paśmie. Zaciągnąłem kotary w pokoju i położyłem się w klimatyzowanym mroku, by się martwić. I wciąż się martwiłem, kiedy się ocknąłem. Kihn zostawił mi kartkę w drzwiach: poleciał czarterem na północ, żeby zbadać pogłoski o okaleczeniach bydła („kalki”, jak je nazywał – były kolejną z jego dziennikarskich specjalności).

Poszedłem coś zjeść, połknąłem pokruszoną tabletkę pobudzającą, która od trzech lat pętała się na dnie mojej kosmetyczki, po czym ruszyłem do Los Angeles. Prędkość ograniczała mi pole widzenia do tunelu świateł toyoty. Ciało może prowadzić, powtarzałem sobie, gdy umysł działa samodzielnie. Działa i trzyma się z daleka od dziwacznych, peryferyjnych okiennych dekoracji amfetaminy i zmęczenia, widmowej i fosforyzującej roślinności, jaka wyrasta wzdłuż nocnych autostrad z kącików oka duszy. Ale umysł miał własne plany i opinia Kihna o tym, o czym zaczynałem już myśleć jako o swoich „obserwacjach”, krążyła mi po głowie po ciasnej,

skręconej orbicie. Semiotyczne widma, odpryski Masowego Marzenia, przelatowały obok w podmuchu mojego przejazdu. W jakiś sposób to sprzężenie zwrotne stepiło działanie tabletki i szybkościowa roślinność przy drodze zaczęła przybierać barwy podczerwonych zdjęć satelitarnych: rozjarzone strzępki rozrywane strumieniem powietrza za toyotą.

Zjechałem wtedy na parking i pół tuzina aluminiowych puszek piwa zamrugało na pożegnanie, kiedy zgasilem światła. Zastanowiłem się, która może być teraz godzina w Londynie, i spróbowałem sobie wyobrazić Diałę Downes, jak je śniadanie w swoim mieszkaniu na Hapmstead, otoczona opływowymi figurkami i książkami o amerykańskiej kulturze.

W tej okolicy noce na pustyni są niesamowite; księżyc jest bliższy. Przyglądałem mu się przez długi czas i w końcu uznałem, że Kihn ma rację. Najważniejsze, to się nie przejmować. Na całym kontynencie, każdego dnia, ludzie bardziej normalni niż ja kiedykolwiek miałem nadzieję się stać, widują gigantyczne ptaki, Wielkie Stopy albo latające rafinerie naftowe; dzięki nim Kihn miał robotę i był wypłacalny. Czemu miałyby mnie wystraszyć wizja popularnej wyobraźni lat trzydziestych, latająca swobodnie nad Bolinas? Postanowiłem przespać się, nie martwiąc się niczym groźniejszym od grzechotników i kanibalistycznych hippisów, bezpieczny wśród przyjaznych przydrożnych śmieci mojego własnego, znajomego kontinuum. A rano pojedę do Nogales fotografować stare burdele – coś, co planowałem od lat. Tabletki się poddała.

* * *

Zbudziło mnie światło i usłyszałem głosy.

Światło padało z tyłu i rzucało do wnętrza wozu zmienne cienie. Głosy były spokojne, niewyraźne – męski i kobiecy, prowadzące rozmowę.

Kark mi zeszytywniał i czułem piasek w oczach; zdrętwiała przyciśnięta do kierownicy noga. Sięgnąłem do kieszeni roboczej koszuli, szukając okularów, i po chwili wsunąłem je na nos.

Wtedy się odwróciłem i zobaczyłem miasto.

Książki o wzornictwie lat trzydziestych leżały w bagażniku. Jedna z nich zawierała szkice wyidealizowanego miasta, czerpiącego z *Metropolis* i *Rzeczy, które nadejdą*, jednak wszystko bardziej prostokątne i przez

perfekcyjne chmury architekta pociągnięte w górę, aż do doków dla zeppelinów i do obłąkanych neonowych iglic. Tamto miasto było przeskalowanym modelem tego, które widziałem za sobą. Iglica wyrastała za iglicą na świetlistych zigguratowych stopniach, wspinających się ku centralnej wieży złocistej świątyni, obramowanej tymi wariackimi pierścieniami radiatorów ze stacji benzynowych z Mongo. W najmniejszej z tych iglic można by schować cały Empire State Building. Między nimi wiły się kryształowe pasy dróg, a po nawierzchniach sunęły tam i z powrotem gładkie srebrzyste kształty, jakby krople płynnej rtęci. Powietrze było gęste od statków: gigantyczne latające skrzydła liniowców, małe szybkie srebrne obiekty (czasami jedna z tych kropli rtęci z podniebnych mostów wznosiła się zgrabnie i przelatywała, by dołączyć do tańca), milowej długości sterowce i podobne do wazek maszyny, pewnie żyrokoptery...

Zacisnąłem powieki i odwróciłem się na siedzeniu. Kiedy je otworzę, chciałem widzieć tylko wskaźnik paliwa, jasny pył drogi na czarnym plastiku deski rozdzielczej, przepelnioną popielniczkę...

– Psychoza amfetaminowa – powiedziałem głośno.

Otworzyłem oczy.

Wskaźniki były na miejscu, i kurz, i zgniecione papierosowe filtry. Bardzo powoli, nie poruszając głową, włączyłem reflektory.

I zobaczyłem ich.

Byli jasnowłosi. Stali obok swojego samochodu, aluminiowego avocado z centralnym statecznikiem sterującym z grzbietu jak płetwa rekina, i gładkimi czarnymi oponami, niczym z dziecięcych zabawek. On obejmował ją w talii ramieniem, a drugą ręką gestykulował w stronę miasta. Oboje nosili biel: luźne okrycia, gołe nogi, nieskazitelnie białe sandały. Zdawało się, że żadne nie dostrzega moich świateł. On coś mówił, mądry i silny, ona kiwała głową, a ja nagle poczułem lęk i to całkiem innego rodzaju. Normalność nie była już problemem; wiedziałem skądś, że to miasto za mną to Tucson, wysnzione Tucson, wyplute przez zbiorowe tęsknoty tamtej epoki. Wiedziałem, że jest rzeczywiste, absolutnie realne. Ale ta para przede mną żyła w nim i to oni mnie przerazili.

Byli dziećmi tych „lat osiemdziesiątych, które nie nadeszły” Djalty Downes, byli Spadkobiercami Marzenia. Byli biali, jasnowłosi i prawdopodobnie niebieskoocy. Byli Amerykanami. Djalta mówiła, że

Przyszłość nadeszła najpierw do Ameryki, ale w końcu ją ominęła. Ale nie tutaj, nie w sercu Marzenia. Tutaj szli dalej i dalej, w tej logice snu, która nic nie wiedziała o zanieczyszczeniach, o skończonych rezerwach paliw kopalnych, o obcych wojnach, które można przegrać. Byli dumni, szczęśliwi, w pełni zadowoleni z siebie i ze swego świata. I w tym Marzeniu to był naprawdę ich świat.

Za moimi plecami oświetlone miasto: reflektory omiatały niebo dla samej zabawy. Wyobraziłem ich sobie, tłoczących się na białych marmurowych placach, czujnych i posłusznych, ich jasne oczy rozjarzone entuzjazmem dla zalanych światłem alei i srebrzystych samochodów.

Ta wizja miała w sobie całą złowieszczą soczystość propagandy Hitlerjugend.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem do przodu, powolutku, aż zderzak znalazł się o trzy stopy od nich. Wciąż mnie nie widzieli. Opuściłem szybę i słuchałem, co mówi mężczyzna. Słowa były optymistyczne i puste, jak w niektórych broszurach Izby Handlowej. Wiedziałem też, że wierzy w nie absolutnie.

– John – odezwała się kobieta. – Zapomnieliśmy wziąć pigułki żywnościowe.

Z pojemnika przy pasku wysunęła dwa jasne płatki i podała mu jeden. Wycofałem się na drogę i ruszyłem do Los Angeles, krzywiąc się i kręcąc głową.

* * *

Zatelefonowałem do Kihna ze stacji benzynowej. Takiej nowej, w marnej podróbce hiszpańskiego modernizmu. Wrócił ze swoich wypraw i chyba nie był zły, że dzwonię.

– Rzeczywiście, to dziwne. Próbowalesz robić zdjęcia? I tak by nie wyszły, ale to dodaje twojej historii ciekawego dreszczyku, że nie próbowalesz fotografować.

– Ale co powinienem teraz robić?

– Oglądaj dużo telewizji, zwłaszcza teleturnieje i telenowele. Może parę pornosów. Widziałeś kiedyś *Nazistowski hotel miłości*? Mają go tu w kablówce. Naprawdę okropny. Akurat takiego ci trzeba.

O czym on w ogóle gada?

– Przestań wrzeszczeć i posłuchaj. Zdradzę ci zawodową tajemnicę: naprawdę złe programy potrafią egzorcyzmować te semiotyczne widma. Jeśli mnie zrzucają z głowy ludzi z latających talerzy, to i ciebie uwolnią od futuroidów z Art Deco. Spróbuj. Co masz do stracenia?

A potem się pożegnał, tłumacząc to porannym spotkaniem z Elektem.

– Kim?

– Od tych staruszków z Vegas, tych od mikrofalówek...

Miałem ochotę zamówić rozmowę na koszt odbiorcy z Londynem, złapać Cohena w biurach Barrisa-Watforda i wytłumaczyć mu, że jego fotograf trafił na dłuższy czas do „Strefy mroku”. W końcu jednak pozwoliłem, żeby maszyna zaparzyła mi kubek niemożliwie czarnej kawy i wróciłem do toyoty na ostatni odcinek do Los Angeles.

* * *

Los Angeles to był zły pomysł, a spędziłem tam dwa tygodnie. Miasto to prawdziwy matecznik Downes; zbyt wiele tu Marzenia, zbyt wiele jego odprysków czekających, by mnie pochwyć. O mało nie rozbiłem wozu na kawałku estakady w pobliżu Disneylandu, kiedy droga rozszerzyła się nagle jak zabawka origami i musiałem manewrować po kilkunastu minipasach pełnych mknących chromowanych kropli z rekinimi płetwami. Gorzej nawet: Hollywood okazało się pełne ludzi, którzy wyglądali zbyt podobnie do tej pary, jaką widziałem w Arizonie. Wynająłem włoskiego reżysera, który w oczekiwaniu na uśmiech fortuny, żeby związać koniec z końcem, wywoływał zdjęcia w ciemni albo instalował patia przy basenach. Przygotował odbitki ze wszystkich negatywów, jakie zgromadziłem przy robocie dla Downes. Nie chciałem sam tego wszystkiego oglądać, ale Leonardowi to nie przeszkadzało. Więc kiedy skończył, przejrzałem zdjęcia, przerzucając je niczym talię kart, a następnie wsadziłem do koperty, zakleiłem i wysłałem do Londynu. Potem złapałem taksówkę do kina, gdzie grali Nazistowski hotel miłości, i przez całą drogę miałem zamknięte oczy.

Telegram z gratulacjami od Cohena trafił do mnie tydzień później, w San Francisco. Dialta była zachwycona zdjęciami. Podziwiała to, jak

„naprawdę się wczułem”, i liczyła, że kiedyś znów będzie ze mną pracować. Tego popołudnia zauważyłem latające skrzydło nad Castro Street, ale było w nim coś niepewnego, jakby istniało tylko fragmentarycznie. Popędziłem do najbliższego kiosku i zebrałem wszystko, co znalazłem, o kryzysie naftowym i zagrożeniach energetyki jądrowej. Właśnie postanowiłem kupić bilet lotniczy do Nowego Jorku.

– W paskudnym świecie żyjemy, co? – Sprzedawca był chudym czarnym mężczyzną z żółtymi zębami i wyraźnie widoczną peruką.

Kiwnąłem głową, szukając w kieszeni drobnych; chciałem jak najszybciej znaleźć sobie jakąś ławkę i zanurzyć się w twardych dowodach na prawie-dystopię, w jakiej tkwimy.

– Ale mogłoby być gorzej, nie?

– Zgadza się – przyznałem. – Albo całkiem fatalnie: mógłby być perfekcyjny.

Spoglądał za mną, kiedy odchodziłem ulicą z moim małym pakietem skondensowanych katastrof.

odłamki holograficznej róży

Tego lata Parker miał problemy ze snem.

Zdarzały się przerwy zasilania – nagłe wyłączenia delta-induktora wywoływały boleśnie ostry powrót świadomości. By tego unikać, użył kabelków, miniaturowych krokodylków i czarnej taśmy izolacyjnej, żeby podłączyć induktor do zasilanego z baterii deku ASP. Zanik mocy w induktorze uruchamiał obwód odtwarzania w deku.

Kupił kasetę ASP, która zaczynała się od obiektu śpiącego na spokojnej plaży. Została zarejestrowana przez młodego blond jogina ze wzrokiem 20-20 i nienormalnie ostrym wyczuciem barw. Chłopak przyleciał na Barbados wyłącznie w celu przespania się i wykonania porannych ćwiczeń na przepięknej prywatnej plaży. Mikrofiszka zalaminowana w przezroczystym opakowaniu kasety mówiła, że jogin potrafi bez induktora, samą siłą woli przejść od rytmu alfa do delta. Parker, który bez induktora od dwóch lat nie potrafił zasnąć, zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe.

Tylko raz udało mu się przesiedzieć całość, choć do tej pory znał już każde wrażenie pierwszych pięciu subiektywnych minut. Za najciekawszy element sekwencji uważał niewielką usterkę montażu na początku skomplikowanej procedury oddechowej: szybkie spojrzenie wzdłuż plaży i obraz patrolującego siatkowe ogrodzenie strażnika z czarnym pistoletem maszynowym na ramieniu.

* * *

Kiedy Parker spał, energia spłynęła z miejskiej sieci.

Przeskok z delta do delta-ASP był czarną implozją do innego ciała, choć wcześniejsza znajomość złagodziła wstrząs. Poczuł chłodny piasek pod ramionami, poranna bryza łopotała nogawkami wystrzępionych džinsów o gołe kostki. Już niedługo chłopiec całkiem się obudzi i rozpocznie swoje ardha-matsyendra-cośtam; inną parą rąk Parker po omacku szukał w ciemności deku ASP. Trzecia w nocy.

* * *

W ciemności robisz sobie kawę, świecąc latarką, kiedy nalewasz wrzątek... Zarejestrowany sen poranka odpływa: w innych oczach, ciemny pióropusz dymu kubańskiego frachtowca rozmywa się na horyzoncie szarego ekranu umysłu. Trzecia w nocy. Niech wczorajszy dzień ułoży się wokół ciebie w płaskich schematycznych obrazach: co ty powiedziałeś, co ona powiedziała, patrzysz jak się pakuje, dzwoni po riksę. Jakkolwiek byś je rozkładał, tworzą wciąż ten sam obwód drukowany, hieroglify zbiegające się w elemencie centralnym: tobie, stojącym w deszczu i wrzeszczącym na rikszarza. Deszcz był gorzki i kwaśny, prawie koloru sików. Rikszarz nazwał cię dupkiem, a i tak musiałeś zapłacić podwójną taryfę. Miała trzy sztuki bagażu. W respiratorze i goglach rikszarz wyglądał jak mrówka. Odpedałował w deszczu. Nie obejrzała się. Ostatnie, co widziałeś, to wielka mrówka pokazująca ci środkowy palec.

Tego lata Parker miał problemy ze snem.

Zdarzały się przerwy zasilania – nagłe wyłączenia delta-induktora wywoływały boleśnie ostry powrót świadomości. By tego unikać, użył kabelków, miniaturowych krokodylków i czarnej taśmy izolacyjnej, żeby podłączyć induktor do zasilanego z baterii deku ASP. Zanik mocy w induktorze uruchamiał obwód odtwarzania w deku.

Kupił kasetę ASP, która zaczynała się od obiektu śpiącego na spokojnej plaży. Została zarejestrowana przez młodego blond jogina ze wzrokiem 20-20 i nienormalnie ostrym wycuciem barw. Chłopak przyleciał na Barbados wyłącznie w celu przespania się i wykonania porannych ćwiczeń na przepięknej prywatnej plaży. Mikrofiszka zalaminowana w przezroczystym opakowaniu kasety mówiła, że jogin potrafi bez induktora, samą siłą woli przejść od rytmu alfa do delta. Parker, który bez induktora od dwóch lat nie potrafił zasnąć, zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe.

Tylko raz udało mu się przesiedzieć całość, choć do tej pory znał już każde wrażenie pierwszych pięciu subiektywnych minut. Za najciekawszy element sekwencji uważał niewielką usterkę montażu na początku skomplikowanej procedury oddechowej: szybkie spojrzenie wzdłuż plaży

i obraz patrolującego siatkowe ogrodzenie strażnika z czarnym pistoletem maszynowym na ramieniu.

* * *

Kiedy Parker spał, energia spłynęła z miejskiej sieci.

Przeskok z delta do delta-ASP był czarną implozją do innego ciała, choć wcześniejsza znajomość złagodziła wstrząs. Poczul chłodny piasek pod ramionami, poranna bryza łopotała nogawkami wystrzępionych dzinsów o gołe kostki. Już niedługo chłopiec całkiem się obudzi i rozpocznie swoje ardha-matsyendra-cośtam; inną parą rąk Parker po omacku szukał w ciemności deku ASP. Trzecia w nocy.

* * *

W ciemności robisz sobie kawę, świecąc latarką, kiedy nalewasz wrzątek... Zarejestrowany sen poranka odpływa: w innych oczach, ciemny pióropusz dymu kubańskiego frachtowca rozmywa się na horyzoncie szarego ekranu umysłu. Trzecia w nocy. Niech wczorajszy dzień ułoży się wokół ciebie w płaskich schematycznych obrazach: co ty powiedziałeś, co ona powiedziała, patrzysz jak się pakuje, dzwoni po riksę. Jakkolwiek byś je rozkładał, tworzą wciąż ten sam obwód drukowany, hieroglify zbiegające się w elemencie centralnym: tobie, stojącym w deszczu i wrzeszczącym na rikszarza. Deszcz był gorzki i kwaśny, prawie koloru sików. Rikszarz nazwał cię dupkiem, a i tak musiałeś zapłacić podwójną taryfę. Miała trzy sztuki bagażu. W respiratorze i goglach rikszarz wyglądał jak mrówka. Odpedałował w deszczu. Nie obejrzała się. Ostatnie, co widziałeś, to wielka mrówka pokazująca ci środkowy palec.

* * *

Pierwszy zestaw ASP Parker zobaczył w teksańskim miasteczku szalasów, nazywanym Dżunglą Judy. Była to masywna konsola w obudowie z taniego plastiku udającego chrom. Wsunęty w szczelinę dziesięciodolarowy

banknot dawał pięć minut nieważkiej gimnastyki w szwedzkim orbitalnym spa, skoki na trampolinie przez dwudziestometrowe peryhelia z szesnastoletnią modelką „Vogue’a” – mocny materiał w Dżungli, gdzie łatwiej było o pistolet niż o gorącą kąpiel.

Był w Nowym Jorku na fałszywych papierach rok później, kiedy dwie czołowe firmy akurat na święta wprowadziły przenośne deki do głównych galerii handlowych. Kina porno ASP, które rozkwitły na krótko w Kalifornii, nigdy się nie podniosły.

Holografia też odeszła i wielkie na kwartał kopuły Fullera, będące holoświętyniami z dzieciństwa Parkera, stały się wielopoziomowymi supermarketami albo mieściły zakurzone salony gier wideo, gdzie czasem wciąż można było znaleźć stare konsole pod blado pulsującymi neonami APPARENT SENSORY PERCEPTION – percepcja pozornie zmysłowa.

Teraz Parker ma trzydziestkę i edytuje ciągłość dla emisji ASP, programując ruchy oczu dla ludzkich kamer tego przemysłu.

* * *

Wyciemnienie trwa.

W sypialni Parker stuka palcem w szczotkowane aluminium obudowy swojego Sendai Sleep-Master. Mruga światelko robocze, po czym zapada ciemność. Z kawą w ręku przechodzi po dywanie do szafy, którą wczoraj opróżnił. Promień latarki sonduje nagie półki, szukając śladów miłości; znajduje jeden zerwany pasek skórzanych sandałów, kasetę ASP i pocztówkę. Pocztówka przedstawia widoczny w białym świetle, odbiciowy hologram róży.

W kuchni wrzuca pasek sandała do zainstalowanego w zlewie młynka odpadów. Trochę ospale przy wyciemnieniu, jęcząc i zgrzytając, młynek przetyka go i przetrawia. Potem, trzymając ją ostrożnie między kciukiem i palcem wskazującym, Parker opuszcza w wirujące szczęki płytkę z hologramem.

Mechanizm wydaje z siebie wysoki pisk, stalowe zęby wgrzyzają się w laminowany plastik i róża rozpada się, pocięta na tysiące części.

Później siedzi na niezasłanym łóżku i pali. Jej kasetka czeka w deku, gotowa do odtworzenia. Niektóre kobiece taśmy go dezorientują, ale

wątpi, czy z tego właśnie powodu waha się teraz przed włączeniem sprzętu.

Mniej więcej jedna czwarta wszystkich użytkowników ASP nie jest w stanie komfortowo asymilować subiektywnego obrazu ciała płci przeciwnej. Przez lata niektóre gwiazdy emitowanego ASP stawały się coraz bardziej androgyniczne, próbując dotrzeć do tej części publiczności. Ale własne kasety Angeli nigdy przedtem go nie onieśmiały. (A co, jeśli nagrała kochanka? Nie, niemożliwe; po prostu kasetą stanowi całkowitą niewiadomą).

* * *

Kiedy Parker miał piętnaście lat, rodzice oddali go do terminu do amerykańskiej filii japońskiego koncernu tworzyw sztucznych. Wtedy uważał, że ma szczęście: stosunek liczby kandydatów do przyjętych był gigantyczny. Przez trzy lata mieszkał razem ze swoją kadrą we wspólnej sali, co rano stojąc w szyku, śpiewał hymny firmy i zwykle raz w miesiącu udawało mu się przejść przez ogrodzenie kampusu, na dziewczyny albo do holodromu. Terminowanie miało się skończyć w dniu jego dwudziestych urodzin; od tego dnia mógł otrzymać pełny status pracownika. Tydzień przed dziewiętnastymi urodzinami, z dwiema kradzionymi kartami kredytowymi i ubraniem na zmianę, przeskoczył ogrodzenie po raz ostatni. Dotarł do Kalifornii trzy dni przed kolapsem chaotycznego nowosecesjonistycznego reżimu. W San Francisco walczące frakcje prowadziły na ulicach wojnę podjazdową. Ten czy inny z czterech różnych „tymczasowych” zarządów miasta tak skutecznie zajął się gromadzeniem żywności, że na poziomie ulicy stała się praktycznie niedostępna.

Ostatnią noc rewolucji Parker spędził na wypalonym przedmieściu Tucson. Kochał się z chudą nastolatką z New Jersey; tłumaczyła co ciekawsze punkty swego horoskopu pomiędzy atakami niemal bezgłośnego szlochu, który raczej nie miał żadnego związku z czymkolwiek, co Parker robił albo mówił. Wiele lat później uświadomił sobie, że nie ma już pojęcia, jaki był oryginalny motyw zerwania terminowego kontraktu.

* * *

Początkowe trzy czwarte kasety są usunięte; przewijasz szybko do przodu przez migotliwą mgielkę wytartej taśmy, gdzie smak i zapach zlewają się w jeden kanał. Audio to biały szum, bezdźwięczność pierwszego ciemnego morza... (Zbyt długi odbiór skasowanej taśmy może indukować halucynacje hipnagogiczne).

* * *

W Nowym Meksyku, o północy, Parker przykucnął za przydrożnym krzakiem i przyglądał się, jak na autostradzie płonie czołg. Płomienie oświetlały przerywaną białą linię, za którą podążał od Tucson. Wybuch był widoczny na całe mile dookoła: biała tafla gorącego rozbłysku, który zmienił jasne gałęzie nagiego drzewa na tle nocy w ich fotograficzny negatyw: węglowe gałęzie na tle magnezjowego nieba.

Wielu uchodźców miało broń.

To tym miasteczkom szalasów parującym w ciepłych deszczach nad Zatoką Teksas zawdzięczał swą chwiejną neutralność w obliczu próby secesji Wybrzeża.

Miasteczka były zbudowane ze sklejki, tektury, wydymających się na wietrze płacht plastikowej folii i trupów samochodów. Miały nazwy w stylu Jump City albo Sugaree, luźno określone rządy i terytoria, które przesuwały się bezustannie w ukrytych podmuchach ekonomii czarnego rynku.

Żołnierze federalni i stanowi przysyłani, by przeczesać te miasta bezprawia, rzadko kiedy cokolwiek znajdowali. Ale po każdym przeszukaniu kilku ludzi nie meldowało się po powrocie. Niektórzy sprzedawali broń i palili mundury, inni za bardzo się zbliżali do kontrabandy, której mieli szukać.

* * *

Po trzech miesiącach Parker chciał się stamtąd wydostać, ale tylko dobry towar gwarantował przejście przez wojskowe kordony. Na swoją szansę trafił przypadkiem: późnym popołudniem, kiedy omijał wiszącą nisko nad Dżunglą chmurę tłustego dymu palenisk, potknął się i o mało nie przewrócił o ciało kobiety w wyschniętym korycie strumienia. Stada much wzniosły się nad nią gniewnie, a potem wylądowały znowu, nie zwracając na niego uwagi. Miała na sobie skórzaną kurtkę, a Parker zwykle marzł. Rozejrzał się po brzegach koryta, szukając jakieś dłuższej gałęzi.

W plecach kurtki, tuż pod lewą łopatką, znalazł okrągłą dziurę, przez którą dało by się wsunąć ołówek. Podszewka była kiedyś czerwona, ale teraz czarna, sztywna i błyszcząca zaschniętą krwią. Z kurtką dyndającą na końcu kija ruszył poszukać wody.

Nigdy nie wyprał tej kurtki. W lewej kieszeni znalazł prawie uncję kokainy, starannie opakowaną w folię i przezroczysty plaster chirurgiczny. Prawa kieszeń ukrywała piętnaście ampulek megaciliny-D oraz dziesięciocalowy składany nóż. Antybiotyk wart był dwa razy więcej niż ta sama ilość kokainy.

Wbił nóż po rękojęść w spróchniały pień, obok którego przechodzili zbieracze drewna z Dżungli, i powiesił tam kurtkę. Muchy zaczęły już krążyć, kiedy odchodził.

Tej nocy w barze z dachem z blachy falistej, czekając na jednego z „prawników”, którzy załatwiali przejście przez kordon, pierwszy raz spróbował maszyny ASP. Była wielka, cała w chromie i neonach, a właściciel był z niej bardzo dumny. Sam pomagał ukraść tę ciężarówkę.

* * *

Jeśli w chaosie lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku odbijała się radykalna zmiana paradygmatu umiejętności wizualnego czytania i pisanie oraz ostateczne porzucenie tradycji Lascaux/Gutenberga i zanik społeczeństwa preholograficznego, czego powinniśmy się spodziewać po tej nowej technologii z jej obietnicą dyskretnego kodowania i późniejszego odtworzenia pełnego zakresu percepcji zmysłowych?

Roebuck i Pierhal

Najnowsza historia Ameryki: wizja systemowa

* * *

Przesunięcie się przez szumiący bezczas skasowanej taśmy do jej ciała. Europejskie słońce. Ulice obcego miasta.

Ateny: napisy greckimi literami i zapach kurzu...

...i zapach kurzu.

Patrzysz jej oczami (i myślisz: ta kobieta jeszcze cię nie spotkała, ledwo co wydostałeś się z Teksasu) na szarą rzeźbę, konie w kamieniu, nad którymi wirują i krążą gołębie, zakłócenia pochłaniają ciało jego miłości, ścierają je w czystą szarość. Fale białego szumu rozbijają się o plażę, której nie ma. I taśma się kończy.

* * *

Pali się światelko induktora.

Parker leży w ciemności i myśli o tysiącu odłamków holograficznej róży. Hologram ma tę właściwość, że każdy fragment, podniesiony i oświetlony, ukazuje pełny obraz. Osuwając się do delty, widzi siebie jak tę różę – każdy z rozsypanych odłamków odsłania całość, jakiej nigdy nie pozna: kradzione karty kredytowe – wypalone przedmiocie – koniunkcja planet obcej dziewczyny – czołg płonący na autostradzie – płaski pakiet prochów – składany nóż z wyostrzoną na betonie klingą wąską jak ból. Myśli: jesteśmy odłamekami siebie nawzajem; czy zawsze tak było? Ten moment na wyprawie do Europy, opuszczony w szarym morzu wykasowanej taśmy: czy jest teraz bliższa, bardziej rzeczywista dlatego, że on również tam był?

Pomogła mu zdobyć papiery, znalazła mu pierwszą pracę w ASP. To była ich historia?

Nie; historią był czarny panel delta-induktora, pusta szafa i rozgrzebane łóżko. Historia to jego obrzydzenie dla perfekcyjnego ciała, w którym się budził, gdy zabrakło prądu, jego wściekłość na rikszarza... i to, że nie chciała spojrzeć za siebie w trującym deszczu.

Każdy strzęp ukazuje różę pod innym kątem, przypomniał sobie, ale delta zalała go, zanim zdążył sam siebie spytać, co to może znaczyć.

pasujący gatunek

William Gibson
John Shirley

Coretti nie mógł sobie przypomnieć, gdzie zobaczył ją po raz pierwszy: w Club Justine, u Jimba, Smutnego Jacka czy w Rafter's. O dowolnej porze mogła się znaleźć w dowolnym barze. Płynęła wśród podwodnego pseudożycia butelek i szklanek, między powolnymi wirami papierosowego dymu... poruszała się w swym naturalnym środowisku, zaliczając jeden lokal po drugim.

Ich pierwsze spotkanie przypominał sobie, jakby widział je przez odwrótny koniec potężnego teleskopu: maleńkie, wyraźne i bardzo dalekie.

Pierwszy raz odezwał się do niej w Tylnym Wejściu. Tak nazywano tę knajpę, ponieważ wchodziło się z wąskiej bocznej uliczki. Mury były tu zasmarowane graffiti, a latarnie upstrzone przez ćmy. Pod stopami chrzęściły płyty lakieru złuszczonego z białych cegieł. A potem człowiek wchodził w mroczną przestrzeń zamieszkaną przez mgliste impresje pół tuzina innych barów, które próbowały i padły w tym samym pomieszczeniu, choć pod innym kierownictwem. Coretti bywał tam, ponieważ lubił zmęczony uśmiech czarnego barmana i ponieważ nieliczni klienci rzadko próbowali się zaprzyjaźnić.

Rozmowy z obcymi nie wychodziły mu najlepiej – ani na przyjęciach, ani w knajpach.

Dobrze sobie radził w college'u, gdzie wykładał elementy lingwistyki. Potrafił dyskutować z szefem wydziału o sekwencyjności czy opcjach otwarcia konwersacji. Ale nigdy nie umiał rozmawiać z obcymi na przyjęciach ani w barach. Na przyjęciach bywał rzadko. Ale często chodził do barów.

Coretti nie umiał się ubierać. Ubiór to rodzaj języka, a Coretti był kostiumowym jakałą. Nie potrafił wypowiedzieć ani jednego spójnego zdania w języku mody, ułożyć deklaracji, która rozluźniłaby rozmówcę. Jego ekszona twierdziła, że ubiera się jak Marsjanin, że wygląda, jakby nie należał do żadnej z grup w mieście. Nie lubił, kiedy tak mówiła, ponieważ była to prawda.

Nigdy nie miał takiej dziewczyny jak ta, która siedziała lekko pochylona w podmorskim oświetleniu, ściekającym znad baru w Tylnym Wejściu. To samo oświetlenie wkręcało się w okulary barmana, zwijało między szybkami butelek i odbijało mętnie w lustrze. W tym świetle jej suknia miała zieloną barwę młodej kukurydzy: jak wpółobranego kaczana. Odslaniała plecy, rowek między piersiami, a przez rozcięcia po bokach także spore kawałki ud. Tej nocy miała miedziane włosy. I tej nocy jej oczy były zielone.

Przecisnął się między pustymi stolikami z chromu i płyty piłśniowej, dotarł do baru i zamówił whisky. Zdjął kurtkę z kapturem i – kiedy zajął miejsce na sąsiednim stołku – trzymał ją zwiniętą na kolanach. Świetnie, wrzasnął na siebie, pomyśli, że chcesz ukryć erekcję. I ze zdumieniem stwierdził, że naprawdę ma co ukrywać. Obserwował swoje odbicie w lustrze za barem: mężczyzna koło trzydziestki, przerzedzone włosy, wąska blada twarz, długa szyja... za długa w kołnierzyku nylonowej koszuli, pokrytej rysunkami automobili z 1910 roku w trzech ostrych kolorach. Nosił krawat w szerokie, brązowo-czarne pasy, chyba za wąski w stosunku do – jak teraz widział – groteskowo wydłużonego kołnierzyka. A może chodziło o kolor... O coś w każdym razie chodziło.

Obok, w mrocznym kryształym lustrze, zielonooka kobieta przypominała Irmę La Douce. Ale zadrżał, kiedy przyjrzał się uważnie i przestudiował jej twarz. To była twarz jak u zwierzęcia. Piękna, ale prymitywna, chytra, dwuwymiarowa. Kiedy wyczuje, że ją obserwujesz, pomyślał Coretti, odpowie ciepłym uśmiechem, wzgardliwym rozbawieniem... tym, czego oczekujesz.

– Czy mogę, hm, postawić pani drinka?

W takich sytuacjach Corettiego prześladował wyjątkowo irytujący, typowo belferski tik językowy. *Hm*. Skrzywił się. *Hm*.

– Chciałbyś, hm, postawić mi drinka? Cóż, to uprzejme z twojej strony – odparła, zaskakując go zupełnie. – Będzie mi bardzo miło. – Zauważył, że mówiła równie sztucznie i niepewnie jak on. – Tom Collins – dodała. – Na taką okazję będzie cudowny.

Na taką okazję? Cudowny? Coraz bardziej zdziwiony, Coretti zamówił dwa drinki i zapłacił.

Wysoka kobieta w dzinsach i haftowanej kowbojskiej koszuli oparła się o bar tuż obok niego i poprosiła barmana o drobne.

– Cześć – rzuciła. Potem ruszyła dumnie do szafy grającej i nastawiła *To przez ciebie nasze dzieciaki są brzydkie Conwaya i Loretty*.

Coretti spojrział na kobietę w zielonej sukni i wymruczał z zakłopotaniem:

– Jesteś wielbicielką muzyki country?

Jesteś wielbicielką...? Jęknął bezgłośnie, oceniając dobór słów, i spróbował się uśmiechnąć.

– Istotnie – odparła ze śladowo nosowym akcentem. – Bardzo ją lubię.

Kowbojka przysiadła się i mrugnęła do niej.

– Ten mały drań sprawia jakieś kłopoty?

A zwierzęcooka dama w zielonej sukni odpowiedziała:

– A skąd, kochanie. Mam na niego oko.

I roześmiała się. Dokładnie tyle śmiechu, ile należy. Ta część Corettiego, która była dialektologiem, poruszyła się niespokojnie: zbyt doskonała zmiana słownika i intonacji. Aktorka? Utalentowana imitatorka? Do głowy przyszło mu nagle określenie „mimetyczna”, ale zapomniał o nim, obserwując jej odbicie w lustrze. Rzędy butelek przesłaniały piersi kobiety niby szata ze szkła.

– Coretti – mruknął. Jego werbalny poltergeist przeskoczył nagle w zupełnie nieprzekonujący tryb twardego faceta. – Michael Coretti.

– Miło mi – odparła zbyt cicho, by druga kobieta coś usłyszała. I znowu zjechała w dość kulawą parodię Emily Post.

– Conway i Loretta – oznajmiła kowbojka, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Antoinette – przedstawiła się kobieta w zieleni, pochylając głowę. Wychyliła szklanekę, udała że patrzy na zegarek, rzuciła zbyt uprzejmie „dziękuję-za-drinka” i wyszła.

Dziesięć minut później Coretti szedł za nią Trzecią Aleją. Nigdy w życiu nikogo nie śledził, więc był równocześnie zalękniony i podekscytowany. Piętnaście metrów to chyba bezpieczna odległość, ale co robi, jeśli ona przypadkiem obejrzy się przez ramię?

Trzecia Aleja nie jest szczególnie ciemna, i właśnie tam, w świetle latarni, zaczęła się przekształcać. Ulica była pusta.

Przechodziła przez jezdnię. Zeszła z krawężnika i zaczęło się. Najpierw kolor włosów – z początku sądził, że to odbicia, ale nie było tu neonów, które rzucałyby te kleksy barw, mieszające się i zlewające jak plamy oleju.

Potem kolor spłynął zupełnie i w ciągu trzech sekund stała się platynową blondynką. Był pewien, że to złudzenie, ale wtedy suknia zaczęła wić się i skręcać jak folia do pakowania. Część odpadła całkiem i leżała w strzępach na chodniku, zrzucona niby skóra jakiegoś baśniowego zwierzęcia. Gdy Coretti podszedł, była już tylko zieloną pianą; bulgotała, rozpływała się, zniknęła. Znowu spojrzął na Antoinette: miała zupełnie inną suknię z zielonej satyny pobłyskującej odbiciami światła. Buty też się zmieniły. Ramiona miała nagie, tylko z dwoma cienkimi paskami krzyżującymi się na plecach; włosy przycięte krótko i zjeżone.

Zauważył, że oparł się o szybę wystawy jubilera i z wysiłkiem wciąga do płuc wilgotne powietrze wieczoru. Gdzieś w pobliżu pulsowała rytmem dyskoteka.

Szła w tamtą stronę, a jej ruchy ulegały subtelnym zmianom – lekkie kołysanie bioder, i to, jak stawiała na chodniku obcasy. Bramkarz przepuścił ją, obojętnie skinąwszy głową. Zatrzymał Corettiego, obejrzał jego prawo jazdy i zmarszczył brwi, widząc kurtkę z kapturem. Coretti nerwowo spoglądał na błyski świateł u szczytu schodów z mlecznobiałego plastiku. Tam zniknęła, wśród elektronicznego migotania i przeciągłych grzmotów.

Bramkarz niechętnie zszedł mu z drogi i Coretti pognał w górę. Krokami zakłócał rytm świateł pod półprzejrzystym plastikiem schodów.

Nigdy jeszcze nie był w dyskotece. Po raz pierwszy znalazł się w środowisku zaprojektowanym tak, by osiągnąć całkowite „zadowolenie-przez-zapomnienie”. Brodził niepewnie wśród poruszeń, kostiumów i mechanicznych, wielkowiejskich hymnów, ryczących z potężnych głośników. Szukał jej niemal po omacku między figurami tańczących na parkiecie, w stroboskopowym blasku.

Znalazł ją przy barze. Piła jakiś okropny koktajl i słuchała młodego człowieka w luźnej koszuli z jasnego jedwabiu i obcisłych czarnych spodniach. Kiwała głową w odpowiednich – według Corettiego – odstępach czasu. Coretti, wskazując palcem, zamówił butelkę bourbona. Ona wypila pięć drinków w wysokich szklankach, po czym ruszyła za młodym człowiekiem na parkiet.

Poruszała się, zachowując idealną zgodność z muzyką. Wykonała cały wymagany ciąg figur – z gracją, choć bez artyzmu, doskonale pasując

do otoczenia. Zawsze, zawsze doskonale pasując. Jej towarzysz tańczył mechanicznie, z trudem mieszcząc się w wymogach rytuału.

Kiedy taniec dobiegł końca, odwróciła się gwałtownie i zniknęła w tłoku. Falujący tłum zamknął się za nią jak gęsta ciecz.

Coretti skoczył za nią, nie spuszczał z niej wzroku – i był jedynym, który dostrzegł przemianę. Kiedy dotarła do schodów, miała kasztanowe włosy i długą, błękitną suknię. Biały kwiat kwitł w jej włosach, dłuższych teraz i prostych. Piersi urosły trochę, biodra były odrobinę cięższe. Zbiegała po dwa stopnie naraz i bał się o nią. Wszystkie te drinki...

Jednak alkohol chyba nie wywierał na nią żadnego wpływu.

Coretti śledził ją. Serce biło mu szybciej od rytmu disco. Był pewien, że lada chwila Antoinette odwróci się, spojrzy na niego, zawoła o pomoc.

Dwie przecznice dalej skręciła do Lotharia i jej krok znowu się zmienił. Lokal Lotharia składał się z kilku spokojnych sal pełnych paproci i luster w stylu art déco. Z sufitów zwisały podrabiane żyrandole od Tiffany'ego, na przemian z wentylatorami o drewnianych łopatach, wirujących zbyt wolno, by zakłócić lot smug dymu, dryfujących poprzez łagodny szum głosów. Po ryku dyskoteki Lothario wydawał się czymś dobrze znanym i kojącym. Jazzowy pianista w prążkowanej koszuli z luźno zawiązanym krawatem współzawodniczył niegłośno z gwarem rozmów i śmiechami przy kilkunastu stolikach.

Siedziała przy barze. Połowa stołków była wolna, ale Coretti wybrał miejsce przy ścianie, w cieniu miniaturowej palmy. Zamówił bourbona.

Wypił i zaraz zamówił następnego. Tego wieczoru alkohol prawie na niego nie działał.

Siedziała obok młodego mężczyzny, jeszcze jednego młodego mężczyzny z twarzą o typowych regularnych rysach. Miał na sobie żółty golf i wyprasowane džinsy. Ich biodra dotykały się lekko. Chyba nie rozmawiali, ale Coretti wyczuwał, że jakoś się porozumiewają. Pochylali się lekko ku sobie i milczeli. Poczul się dziwnie. Wyszedł do toalety i spryskał sobie twarz wodą. Wracając, minął ich w odległości metra. Nie poruszyli wargami, póki nie znalazł się w zasięgu głosu.

Na zmianę podejmowali całkiem realistyczną paplaninę:

- ...widziałam jego poprzednie filmy, ale...
- Nie wysilił się chyba szczególnie.
- Owszem, jednak tylko w takim znaczeniu...

I wtedy po raz pierwszy Coretti zrozumiał, czym byli, czym musieli być. Należeli do ludzi, których widuje się w barach, którzy sprawiają wrażenie, jakby tam dorastali, którzy czują się tam jak w domu. Nie pijacy, ale ludzkie sprzęty. Elementy baru. Pasujący.

Coś w nim pragnęło konfrontacji. Wrócił do stolika, ale nie zdołał usiąść. Odwrócił się, odetchnął głęboko i sztywnym krokiem pomaszerował do baru. Chciał stuknąć ją palcem w gładkie ramię i zapytać, kim, a przede wszystkim czym była. I wskazać na ironię faktu, że to on, Coretti, Marsjanin mody, słuchacz, obcy, człowiek, którego ubrania i wypowiedzi nigdy do niczego nie pasowały, właśnie on odkrył w końcu ich tajemnicę.

Ale brakło mu odwagi, więc usiadł tylko obok niej i zamówił bourbona.

– Nie wydaje ci się – zapytała swego towarzysza – że to wszystko jest względne?

Po przeciwnej stronie dwa miejsca zajęła jakaś para dyskutująca o polityce. Antoinette i Golf natychmiast płynnie przeszli na politykę. Omawiali te same tematy, wyrażając się tak głośno, by być słyszani. Kiedy mówiła, jej twarz pozostawała bez wyrazu. Jak ptak ćwierkający na gałęzi.

Siedziała na stołku tak swobodnie, jakby był gniazdem. Golf płacił za drinki. Zawsze miał odliczone pieniądze, chyba że chciał dać napiwek. Coretti przyglądał się, jak metodycznie sączą sześć kolejnych koktajli, niby owady spijające nektar. Ale nie mówili ani trochę głośniej, nie czerwieniały im policzki, a kiedy w końcu wstali, odeszli bez śladu upojenia... to błąd, pomyślał Coretti. Luka w systemie kamuflażu.

Nie zwracali na niego uwagi, gdy podążał za nimi przez trzy kolejne bary.

Kiedy weszli do Waylona, transformacja była tak szybka, że Coretti z trudem nadążał za jej kolejnymi etapami. Lokal należał do kategorii, gdzie drzwi toalet są oznaczone napisami „Na stojąco” i „Na siedząco”, a nad słojami peklowanej wieprzowiny i kielbasy wisi tabliczka z imitacji sosny „Mamy umowę z bankiem. Oni nie podają piwa, my nie przyjmujemy czeków”.

Antoinette u Waylona była pulchna, z podkrążonymi oczami. Miała plamy kawy na poliestrowym kombinezonie. Jej towarzysz nosił dzinsy, koszulkę i czerwoną baseballową czapkę z czerwono-białą naszywką Peterbilta. Ryzykując, że ich zgubi, Coretti spędził gorączkową minutę

w „Na stojąco” i mrugał z zakłopotaniem, wpatrując się w ręcznie wypisaną kartkę „Naszym celem jest sprawiać przyjemność. Ty też celuj, a sprawisz nam przyjemność”.

Trzecia Aleja kończyła się niedaleko nabrzeży, w podniszczonych skamielinach murów. Na ostatnim odcinku chodnik znaczyły jaskrawe wymiociny w równych odstępach, a staruszkowie drzemali przed czarno-białymi telewizorami, na wieczność uwięzieni za matowymi szybami wyblakłych hoteli.

Bar, jaki tam znaleźli, nie miał nazwy. As karo oblaził stopniowo z brudnego okna, a twarz barmana przypominała zaciśniętą pięść. Tranzystorowe radio w kremowym plastiku brzęczało prostym rockiem w stronę nierównych rzędów pustych stolików. Pili piwo i wódkę. Byli teraz starzy: para emerytów, którzy pili i palili w świetle nagich żarówek, kaszłąc nad zmiętą paczką cameli, które wyjęła z kieszeni brudnego beżowego deszczowca.

O drugiej dwadzieścia pięć byli już w restauracji na najwyższym piętrze nowego hotelu zbudowanego tuż nad brzegiem. Ona miała wieczorową suknię, on ciemny garnitur. Pili koniak i udawali, że podziwiają miasto nocą. Każde z nich wypilo po trzy kieliszki, gdy Coretti znad pięćdziesiątki Wild Turkey obserwował ich odbicia w kryształowej szklaneczce.

Pili do zamknięcia lokalu. Coretti wsiadł za nimi do windy. Uśmiechali się uprzejmie, ale poza tym ignorowali go. Przed hotelem stały dwie taksówki. Wzięli jedną, Coretti wsiadł do następnej.

– Za tamtym wozem – rzucił chrapliwie, wciskając podstarzałemu hipisowi za kierownicą swoją ostatnią dwudziestkę.

– Jasne, chłopie, jasne...

Minęli sześć przecznic, aż taksówka zatrzymała się przed innym, skromniejszym hotelem. Wysiedli i weszli do środka. Coretti powoli wygramolił się z samochodu. Oddychał ciężko.

Cierpiał męki zazdrości: o tę personifikację dopasowania, o kobietę, która nie była kobietą, o ludzką tapetę. Spojrzał na hotel... i stracił odwagę. Odwrócił się.

Do domu wrócił piechotą. Szesnaście przecznic. W pewnym momencie uświadomił sobie, że nie jest pijany. Ani trochę.

* * *

Rano zadzwonił i odwołał swoje pierwsze zajęcia. Ale kac jakoś nie nadchodził. Nie zaschło mu w ustach, a oglądając się w lustrze, stwierdził, że nie ma przekrwionych oczu.

Przespał całe popołudnie, śniąc o ludziach z twarzami owiec, odbijających się w zwierciadłach za rzędami butelek.

* * *

Tego wieczoru wyszedł na kolację – sam – i niczego nie przełknął. Odrzucało go od jedzenia. Zamieszał w talerzu, żeby sprawić wrażenie, że zjadł przynajmniej trochę, potem zapłacił i poszedł do baru. I drugiego. I następnego. Szukał jej. Płacił kartą kredytową, choć miał już spory dług na karcie Visa. Jeśli ją nawet zobaczył, to nie rozpoznał.

Czasami obserwował tamten hotel. Uważnie przyglądał się każdej wchodzącej i wychodzącej parze. I tak nie zidentyfikowałby jej wyglądu, ale powinno być jakieś... przecucie, rodzaj intuicyjnego kontaktu. Przyglądał się parom i nigdy nie był pewien.

Przez kolejne tygodnie systematycznie sprawdzał każdy alkoholowy wodopój w mieście. Początkowo uzbrojony w plan miasta i pięć stron wyrwanych z książki telefonicznej, stopniowo przenosił się do coraz gorszych spelunek, których numerów nie umieszcza się w spisie. Niektóre nie miały nawet telefonu. Wstąpił do kilku podejrzanych prywatnych klubów, poznał kilka nierejestrowanych, czynnych całą noc knajp, gdzie przychodziło się z własną butelką, siadywał nerwowo w mrocznych salach, gdzie zbierali się ludzie oddani obrzeżom seksualizmu, jakich istnienia nawet nie podejrzewał.

Nie przerywał jednak tego conocnego obchodu. Zawsze zaczynał w Tylnym Wejściu. Nigdy jej tam nie było, ani w następnym lokalu, ani w następnym. Barmani znali go i cieszyli się z jego odwiedzin, ponieważ bez przerwy zamawiał drinki i jakoś nigdy nie był pijany. Owszem, gapił się na innych klientów... i co z tego?

Potem stracił pracę.

Zbyt często opuszczał zajęcia – pilnował hotelu, kiedy tylko mógł, nawet w dzień. Za często widywano go w barach. Sprawiał wrażenie, że w ogóle się nie przebiera. Odmawiał prowadzenia zajęć na kursach wieczorowych. Potrafił w pół zdania przerwać wykład, odwrócić się i tępo patrzeć w okno.

W głębi ducha ucieszył się, że go zwolnili. Dziwnie mu się przyglądali na lunchach, kiedy nic nie jadł. A teraz miał więcej czasu na poszukiwania.

Odnalazł ją w środę o drugiej piętnaście, w gejowskim barze Stodoła. Ściany wyłożono szorstkimi deskami, a wszędzie wisiały końskie uprząże i rdzewiejący sprzęt rolniczy. Lokal był pełen zapachu perfum, śmiechu i piwa. Ona była rozchichotana, za pan brat ze wszystkimi, w błękitnej sukni z cekinami, z zielonym piórem w zaczesanych wysoko włosach. Obok przytłaczającego, niemal komórkowego uczucia ulgi, Coretti zauważył u siebie rodzaj podziwu, niezwyklej dumy z niej i jej gatunku. Tutaj także pasowała doskonale. Była typowym reprezentantem: homoczarownica, nie przedstawiająca żadnego zagrożenia dla pedałów ani ich facetów. Jej towarzysz stał się mężczyzną w średnim wieku, o starannie posiwiałych skroniach, w swetrze z angory i prochowcu.

Pili i pili, a potem śmiejąc się – perfekcyjnie dobranym typem śmiechu – wyszli na deszcz. Taksówka już czekała, a wycieraczki przesuwają się w rytmie uderzeń serca Corettiego.

Przebiegł niezgrabnie po mokrym chodniku i, przerażony ich ewentualną reakcją, wsunął się do samochodu.

I siedział na tylnym siedzeniu, obok niej.

Mężczyzna o siwych skroniach powiedział coś do kierowcy, kierowca rzucił kilka słów do mikrofonu, wrzucił bieg i odpłynęli w deszcz i mroczne ulice. Pejzaż miasta nie robił na Corettim wrażenia. Oczywiście wyobraźni widział, jak taksówka hamuje, siwy mężczyzna i roześmiana kobieta wypychają go na zewnątrz i z uśmiechem wskazują bramę domu wariatów. Albo: taksówka hamuje, oboje odwracają się i ze smutkiem kręcą głowami. A z dziesięć razy zdawało mu się, że widzi, jak taksówka hamuje w jakiejś pustej bocznej uliczce, gdzie oboje go duszą. I Coretti leży martwy w strugach deszczu. Ponieważ był obcy.

Dojechali jednak do hotelu Corettiego.

W słabym blasku lampki przyglądał się, jak mężczyzna sięga po pieniądze. Wyraźnie widział podszewkę – tworzyła jedną całość ze swetrem. Nie było tam żadnej kieszeni ani portfela. Była za to jakby

szczelina. Gdy zawisły nad nią palce mężczyzny, otworzyła się i wypluła pieniądze. Trzy zwinięte banknoty wysunęły się gładko, trochę wilgotne, ale wyschły, gdy mężczyzna je rozwinął – niby skrzydła ćmy, która właśnie wynurzyła się z kokonu.

– Reszty nie trzeba – rzucił pasujący człowiek, wysiadając z taksówki.

Za nim wysunęła się Antoinette, a po niej Coretti. Wciąż widział tylko tamtą szczelinę: wilgotną, o czerwonych brzegach, podobną do skrzeli.

Hol był pusty, a recepcjonista zajęty krzyżówką. Kobieta i mężczyzna przepłynęli bezgłośnie do windy. Coretti podążał za nimi. Raz tylko spróbował pochwycić jej spojrzenie, ale nie zwracała na niego uwagi. A raz, kiedy winda wjechała sześć pięter powyżej pokoju Corettiego, pochyliła się i jak pies szukający śladu powąchała ścienną, niklowaną popielniczkę.

Późną nocą hotele nigdy nie są spokojne, korytarze nigdy całkiem ciche. Dochodzą niezliczone, ledwie słyszalne westchnienia, szelest pościeli, stłumione głosy mówiące przez sen. Ale na korytarzu ósmego piętra Coretti miał wrażenie, że kroczy w próżni doskonałej, bezgłośnie; buty nie wydawały żadnego dźwięku na bezbarwnym dywanie, nawet bicie jego serca – serca obcego przybysza – jakby wsiąkało w niewyraźny deseń tapet.

Próbował liczyć niewielkie plastikowe krążki przykręcone do drzwi, każdy z własnym trzycyfrowym numerem, ale korytarz jakby wydłużał się w nieskończoność. Wreszcie mężczyzna zatrzymał się obok drzwi oklejonych imitacją palisandru, jak wszystkie pozostałe. Przyłożył rękę do zamka, płasko przyciskając dłoń do metalu. Coś zachrząściło cicho, trzasnęła zapadka i drzwi stanęły otworem. Mężczyzna cofnął rękę, a Coretti dostrzegł wilgotny, szaroróżowy kostny wyrostek w kształcie klucza, znikający wolno pod bladą skórą.

W pokoju nie paliło się światło, ale przez rolety przenikał słaby poblask neonowej aureoli miasta i Coretti widział twarze kilkunastu osób, siedzących na łóżku, na kozetce, w fotelach i na stołkach w kuchence. Z początku zdawało mu się, że mają otwarte oczy, ale zaraz pojął, że mętne źrenice przesłonięte są membranami, jakby trzecią powieką, odbijającą mgliste barwy neonów. Ubrani byli w to, czego wymagał ostatni bar: workowate płaszcze Armii Zbawienia siedziały obok jaskrawych sportowych kostiumów z dzielnic willowych, wieczorowe suknie obok brudnych roboczych kombinezonów, skóry motocyklistów przy

harrisowych tweedach. Z nadejściem snu opadło z nich całe fałszywe człowieczeństwo.

Siedzieli jak na grzędzie.

Para zajęła miejsca w kuchni, na skraju fornirowanego blatu, a Coretti zawahał się, stojąc na środku dywanu. Całe lata świetlne tego dywanu dzieliły go od pozostałych, lecz coś przyzywało go przez pustkę, obiecując ukojenie, spokój, dopasowanie. A jednak wahał się, drżąc z niezdecydowania, które jakby wyrastało z genetycznego rdzenia każdej komórki ciała.

Do chwili, gdy otworzyli oczy – wszyscy naraz. Membrany zsunęły się na boki, odkrywając nieziemski chłód mieszkańców najciemniejszego rowu oceanicznego.

Coretti wrzasnął i uciekł. Biegł pustymi korytarzami, w dół po betonowych schodach, na chłodny deszcz i prawie opustoszałe ulice.

Nigdy nie wrócił do swojego pokoju na drugim piętrze tego hotelu. Znużony detektyw zebrał jego lingwistyczne teksty i jedną walizkę ubrań. W końcu sprzedano je na aukcji. Coretti wynajął pokój w pensjonacie prowadzonym przez ponurą baptystkę-abstynentkę, która zmuszała swych lokatorów do modlitwy przed każdym rozgotowanym wieczornym posiłkiem. Nie przeszkadzało jej, że Coretti nigdy w tych posiłkach nie uczestniczył; wyjaśnił, że dostaje kolację w pracy. Kłamał biegle i bez oporów. Nigdy nie pił w pensjonacie i nigdy nie wracał pijany. Pan Coretti był może trochę dziwakiem, ale zawsze płacił komorne w terminie. I zachowywał się bardzo spokojnie.

Przestał jej szukać. Przestał odwiedzać bary. Pił z papierowej torby w drodze do pracy i z pracy w magazynie pewnego wydawnictwa w dzielnicy, gdzie przepisy dopuszczały tylko niewielką liczbę barów.

Pracował nocami.

Czasami myślał o niej o świcie, kiedy siedząc na skraju zasłanego łóżka, odpływał w sen – nie sypiał już na leżąco. O Antoinette. I o nich. Czasem zastanawiał się sennie... Może byli jak myszy domowe, niewielkie zwierzęta, które ewolucja przystosowała do życia jedynie w ścianach budowli wzniesionych przez ludzi.

Rodzaj zwierząt, które żywią się wyłącznie napojami alkoholowymi. Niezwykły metabolizm przekształca alkohol i rozmaite proteiny zawarte w koktajlach, winie i piwie we wszystko, czego potrzebują. I dla własnego

bezpieczeństwa potrafią zmieniać swój wygląd, jak kameleony czy wargacze. Mogą więc żyć wśród nas. I może, myślał Coretti, dojrzewają etapami. Z początku są jak ludzie, żywią się ludzkim jedzeniem, wyczuwają własną odmienność jedynie poprzez niejasny niepokój bycia kimś obcym.

Jak zwierzęta dysponujące specyficznym sprytem, specyficznym zespołem miejskich instynktów. I zdolnością rozpoznawania osobników własnego gatunku, gdy znajdują się w pobliżu. Może.

A może nie.

Coretti zasypiał.

W środę, po trzech tygodniach w nowej pracy, gospodyni otworzyła drzwi – nigdy nie pukała – i oznajmiła, że ktoś prosi go do telefonu. Głos miała napięty, pełen zwyczajowej podejrzliwości. Coretti ruszył za nią długim korytarzem do saloniku pierwszego piętra i do telefonu.

Gdy podniósł staromodną czarną słuchawkę, z początku słyszał tylko muzykę, a potem mur dźwięków, z wolna rozkładający się w rwany amalgamat rozmów. Śmiech. Nikt się nie odzywał, ale piosenką w tle była *To przez ciebie nasze dzieciaki są brzydkie*.

A potem sygnał, kiedy po drugiej stronie odłożono słuchawkę.

* * *

Później, kiedy samotnie nasłuchiwał stanowczych kroków gospodyni w pokoju na dole, Coretti uświadomił sobie, że wcale nie musi tu zostawać. Nadeszło wezwanie. Gospodyni wymagała jednak trzytygodniowego wypowiedzenia, gdyby ktoś z lokatorów chciał się wynieść. To oznaczało, że jest jej winien za czynsz. Instynkt podpowiedział, że należy zostawić pieniądze.

Chrześcijański robotnik w sąsiednim pokoju zakaszał przez sen, gdy Coretti szedł do telefonu. Zawiadomił szefa nocnej zmiany, że rzuca pracę. Odłożył słuchawkę, wrócił do siebie i powoli zdjął ubranie. Stanął nago przez litografię Jezusa w krzykliwych ramkach zawieszoną nad brązowym metalowym biurkiem.

A potem odliczył dziewięć dziesiątek. Ułożył je starannie obok zdobiącej blat tabliczki ze złożonymi dłońmi.

Pieniądże wyglądały ładnie. To były dobre pieniądze. Sam je zrobił.

* * *

Dzisiaj nie miał ochoty na obojętną rozmowę. Piła margaritę, więc zamówił to samo. Zapłaciła, płynnym ruchem wydobywając pieniądze z rowka między piersiami, widocznymi ponad głębokim dekoltem sukni. Dostrzegł zamykające się tam skrzydele. Narastało w nim podniecenie, ale tym razem nie objawiało się erekcją.

Po trzeciej margaricie ich biodra zetknęły się i coś przelewało się przez niego powolnymi falami orgazmu. Miejsce zetknięcia było lepkie: obszar wielkości mniej więcej kciuka, gdzie rozsunął się materiał. Był dwoma różnymi ludźmi: tym we wnętrzu, który łączył się z nią w całkowitej komunii komórek, i skorupą siedzącą obojętnie przy barze, z łokciami po obu stronach szklanki i palcami zajętymi wykałaczką. Uśmiechał się błogo. Spokojny w chłodnym półmroku.

I raz, ale tylko raz, jakaś głęboko ukryta niespokojna część umysłu kazała mu spojrzeć w dół, gdzie pulsowały miękkie, czerwone rurki, a w cieniach między nimi spletały się wici zakończone wąskimi wargami. Jak spotkanie macek dwóch dziwacznych anemonów.

Spółkowali i nikt się niczego nie domyślał.

A kiedy barman podał następnego drinka, dodał do niego swój zmęczony uśmiech i powiedział:

– Pada teraz na dworze, co? W ogóle nie przestaje.

– I tak przez cały ten cholerny tydzień – odparł Coretti. – Zwariować można od tego deszczu.

I powiedział to we właściwy sposób. Jak prawdziwa istota ludzka.

barbarzyńcy

Kiedy Hiro uderzył w wyłącznik, śniłem o Paryżu, o mokrych i mrocznych ulicach zimą.

Ból napłynął, oscylując od podstawy czaszki, by ścianą niebieskiego neonu eksplodować za oczami. Zwinąłem się wpół na siatce hamaka. Zawsze wrzeszczę; uważam to za istotne. Sprzężenia szalały mi w głowie. Przełącznik bólu to dodatkowy obwód implantu kostofonu, podpięty bezpośrednio do ośrodków bólu, akurat po to, żeby przebić się przez barbituranową mgłę surogata. Minęło kilka sekund, nim moje życie znów się poskładało; we mgle wyrastały lodowe góry biografii: kim jestem, gdzie jestem, co tu robię, kto mnie budzi...

Głos Hiro zatrzeszczał mi w głowie poprzez implant przewodnika kostnego.

– ...szlag, Toby. Wiesz, co mi to robi z uszami, kiedy tak wrzeszczysz?

– A pan wie, co mnie obchodzą pańskie uszy, doktorze Nagashima? Mniej więcej tyle, co...

– Nie ma czasu na litanię miłości, mój chłopcze. Robota czeka. Ale co to za skok fali przy pięćdziesięciu miliwoltach na skroniowych? Mieszasz coś z prochami, żeby dostać więcej koloru?

– Twój encefalograf jest spieprzony, Hiro. A ty zwariowałeś. Chcę tylko pospać...

Opadłem na hamak i próbowałem otulić się ciemnością, ale jego głos nie ustępował.

– Wybacz, chłopie, ale dzisiaj pracujesz. Mamy powrót statku, godzinę temu. Zespół śluzowy już tam jest; odpilowują silnik reakcyjny, żeby jakoś zmieścił się we wrotach.

– Kto to?

– Leni Hofmannstahl, chemik fizyczny, obywatelka Republiki Federalnej Niemiec. – Odczekał, aż przestanę jęczeć. – Potwierdzony mięsak.

To śliczna robocza terminologia, jaką tu sobie rozwinęliśmy. Chodziło mu o powracający statek z aktywną telemetrią medyczną, zawartość: jedno

(1) ciało, ciepłe, status psychologiczny jak dotąd niepotwierdzony. Zamknąłem oczy i kołysałem się w ciemnościach.

– Wychodzi na to, że jesteś jej surogatem, Toby. Jej profil synchronizuje się z Taylorem, ale on ma urlop.

Wiedziałem o tym „urlopie” Taylora. Wyniósł się do pojemników uprawnych, faszerował amitryptyliną i ćwiczył aerobik, żeby wyrwać się z ostatniego ataku klinicznej depresji. To ryzyko zawodowe pracy surogata. Taylor i ja nie dogadujemy się raczej. Zabawne, jak bardzo się to nie udaje, kiedy psychoseksualny profil gościa jest tak podobny do naszego...

– Hej, Toby, skąd bierzesz te wszystkie prochy? – To było rytualne pytanie. – Od Charmian?

– Od twojej starej, Hiro.

Przecież wie, że od Charmian, równie dobrze jak ja.

– Dzięki, Toby. Zbierz się i bądź w windzie do Nieba za pięć minut, bo przyślę po ciebie tych rosyjskich pielęgniarzy. Samych facetów.

A ja tylko bujałem się w hamaku i grałem w grę, którą nazwałem „Toby’ego Halperta Miejsce we Wszechświecie”. Nie jestem egotystą, więc w środku ustawiłem słońce, źródło światła, glob dzienny. Wokół niego zakręciłem porządnymi planetami – nasz przytulny system. Ale, o, tutaj, w punkcie stałym, mniej więcej w ósmej części drogi do orbity Marsa, zawiesiłem gruby metalowy cylinder, jak model w skali jeden do cztery stacji Ciołkowski 1, Robotniczego Raju w L5. Sam Ciołkowski 1 jest ustabilizowany w punkcie libracyjnym, gdzie równoważą się przyciągania Księżyca i Ziemi, ale my potrzebujemy świetlnego żagla, żeby się tu utrzymać: dwadzieścia ton aluminium rozciągnięte w sześciokąt wielkości dziesięciu kilometrów od boku do boku. Żagiel wyholował nas z orbity Ziemi, a teraz jest naszą kotwicą. Używamy go, żeby halsować w strumieniu fotonów, wisząc tutaj, obok obiektu, punktu, osobliwości zwanej Autostradą.

Francuzi nazywają go *le Metro*, a Rosjanie Rzeką, ale Metro nie sugeruje odległości, a Rzeka dla Amerykanów nie wyraża choćby zbliżonego poczucia samotności. Można ten punkt nazwać Koordynatami Anomalii Towiewskiej, jeśli komuś nie przeszkadza przywoływanie Olgi – Olga Towiewska, Nasza Pani Osobliwości, święta patronka Autostrady.

Hiro nie wierzył, że sam wstanę. Zanim zjawili się rosyjscy sanitariusze, włączył zdalnie światła w moim boksie i pozwolił, żeby migotały stroboskopowo przez kilka sekund, nim ich stały blask padł na zdjęcia świętej Olgi, które Charmian przykleiła do ściany działowej. Były ich dziesiątki: twarz powielona w gazetowych zdjęciach i na błyszczącej kredzie magazynów. Nasza Pani Autostrady.

* * *

Podpułkownik Olga Towiewska, najmłodsza kobieta tej rangi w rosyjskim programie kosmicznym, była w trasie na Marsa, solo, w modyfikowanym Salucie 6. Modyfikacje pozwalały jej zabrać prototyp nowego filtra powietrza, który miał trafić do czteroosobowego marsjańskiego laboratorium orbitalnego. Mogliby spokojnie kierować Salutem zdalnie, z Ciołkowskiego, ale Olga chciała zaliczyć dodatkowy czas misji. Zadbali jednak, żeby się nie nudziła: miała wykonać serię rutynowych eksperymentów z radioflarami w paśmie wodoru, stanowiącą końcowy etap niskopriorytetowej rosyjsko-australijskiej współpracy naukowej. Olga wiedziała, że jej funkcje w eksperymentach mogłyby wypełnić zwykły domowy minutnik. Była jednak skrupulatnym oficerem; dawała gwarancję, że wciśnie odpowiednie guziki we właściwych ostępach czasu.

Z kasztanowymi włosami ściągniętymi do tyłu i oplecionymi siatką musiała wyglądać jak wyidealizowana w „Prawdzie” wizja Robotnicy w Kosmosie, najbardziej fotogeniczna kosmonautka dowolnej płci. Sprawdziła zegar Saluta i zawiesiła dłoń nad przyciskami, które odpalą pierwszą flarę.

Pułkownik Towiewska nie mogła wiedzieć, że zbliża się do punktu w przestrzeni, który za jakiś czas będzie znany jako Autostrada. Kiedy wbiła sześcioprzyciskową sekwencję startową, Salut pokonał ostatnie kilometry i wyemitował flarę, przedłużony rozbłysk energii radiowej na poziomie 1420 megaherców, częstotliwości emisji atomu wodoru. Śledził to radioteleskop Ciołkowskiego, który przesyłał sygnał do geosynchronicznych satelitów telekomunikacyjnych, a te z kolei odbijały go do stacji nasłuchowych w południowym Uralu i w Nowej

Południowej Walii. Przez 3,8 sekundy radiowe odbicie Saluta było przesłonięte powidokiem flary.

A kiedy jej echo zniknęło z ekranów, Saluta nie było. Na Uralu gruziński technik w średnim wieku rozgryzł ustnik swojej ulubionej fajki z morskiej pianki. W Nowej Południowej Walii młody fizyk zaczął tłuc w bok swojego monitora, jak rozwścieczony finalista zawodów pinballa, protestujący przeciw TILTowi.

* * *

Winda czekająca, by mnie zabrać do Nieba, wyglądała na najlepsze hollywoodzkie podejście do bauhausowego pojemnika na mumie: wąski pionowy sarkofag z przejrzystą akrylową pokrywą. Rzędy identycznych konsoli za nią zniknęły niczym podręcznikowa ilustracja zasad perspektywy. Zwyczajny tłum techników w żółtych papierowych kostiumach klaunów krzątał się pilnie dookoła. Spostrzegłem Hiro w niebieskim dzinsie, z perłowymi guzikami kowbojskiej koszuli rozpiętymi i odsłaniającymi wyblakłą bluzę UCLA. Zajęty liczbami spływającymi kaskadą po ekranie monitora, nawet mnie nie zauważył. Podobnie jak nikt inny.

Dlatego stałem tam tylko i gapiłem się w sufit, na dolną stronę podłogi Nieba. Nie wyglądała specjalnie imponująco. Nasz gruby cylinder to w rzeczywistości dwa cylindry, jeden wewnątrz drugiego. Tutaj, w zewnętrznym, gdzie nasz „dół” wyznacza rotacja wokół osi podłużnej, znajdują się wszystkie przyziemne elementy naszej operacji: sypialnie, stołówki, pokład śluzy, gdzie wciągamy wracające statki, Łączność i Oddziały, gdzie bardzo pilnuję, by nigdy nie zaglądać.

Niebo, ten wewnętrzny cylinder, niezwykle zielone serce stacji, to dojrzały disneyowski sen o powrocie do domu, żarłoczne ucho globalnej gospodarki wiecznie łaknącej informacji. Bezustanny strumień czystych danych płynie, pulsując, do domu, na Ziemię: potop plotek, szeptów, sugestii transgalaktycznego ruchu. Dawniej zdarzało się, że leżałem sztywno w hamaku i czułem ucisk tych danych, czułem, jak pędzą po kablach, które wyobrażałem sobie za grodzia jak napięte ścięgna, pęczniejące przed spazmem i gotowe mnie zmiażdżyć. Potem

wprowadziła się Charmian i kiedy powiedziałem jej o tych lękach, odprawiła swoje czary ochronne i powiesiła ikony świętej Olgi. Ucisk zmniejszył się i w końcu odpłynął.

– Podłączam cię do tłumacza, Toby. Dzisiaj możesz potrzebować niemieckiego. – Głos Hiro był jak piasek w mojej czaszce, sucha modulacja szumów. – Hillary...

– Na linii, doktorze Nagashima – odparł głos jak z BBC, czysty niczym lodowy kryształ. – Masz francuski, Toby, prawda? Hofmannstahl ma francuski i angielski.

– Nie wpieprzaj się, Hillary. I nie odzywaj się niepytana. Jasne?

Jej milczenie stało się kolejną warstwą złożonego, bezustannego skwierczenia trzasków. Hiro rzucił mi wściekłe spojrzenie poprzez dwadzieścia konsoli. Wyszczrzyłem zęby.

Zaczynało się: euforia, fala adrenaliny. Czułem ją przez ostatnie resztki barbituranów. Jakiś blondas z gładką buźką surfera pomagał mi wciągnąć kombinezon – nowy, choć udawał stary, starannie powycierany, nasączony syntetycznym potem i spersonalizowanymi feromonami. Oba rękawy od mankietu po ramię miałem oblepione haftowanymi naszywkami – głównie symbole korporacji, pomniejszych sponsorów wspierających wyimaginowaną ekspedycję po Autostradzie; o wiele większe logo głównego sponsora miałem wyszyte na plecach – firma, która rzekomo wysłała na spotkanie z gwiazdami osobnika HALPERT, TOBY. Przynajmniej nazwisko było prawdziwe, haftowane dużymi szkarłatnymi, nylonowymi literami nad sercem.

Ten surfer był standardowo przystojny, co zwykle kojarzy się z młodszymi agentami CIA, ale naszywka imienna mówiła NEVSKY, a niżej powtarzała to samo cyrylicą. Czyli KGB. Nie był ciołkownikiem – brakowało mu tego luźnego stylu, nabytego po dwudziestu latach w habitacie L-5. Chłopak przyleciał pewnie prosto z Moskwy, uprzejmy, sprawny w stawianiu znaczków na listach, prawdopodobnie znał osiem sposobów zabicia człowieka zwiniętą gazetą.

Po chwili zaczęliśmy rytuał prochów i kieszeni. Do kieszeni na moim lewym przegubie wcisnął mikrostrzykawkę załadowaną którymś z nowych euforohalucynogenów, potem odstąpił o krok i odhaczył ją na specjalnej karcie – z wydrukowaną sylwetką surogata w kombinezonie przypominała tarczę strzelniczą. Z pojemnika umocowanego do pasa wyjął

pięciogramową fiolkę opium i znalazł dla niej właściwą kieszeń. Znaczek... Czternaście kieszeni. Kokaina była ostatnia.

Hiro podszedł, kiedy Rosjanin kończył.

– Może dziewczyna ma jakieś twarde dane, Toby. Pamiętaj, jest chemikiem fizycznym.

Dziwnie było słyszeć go akustycznie, a nie w formie kostnych wibracji z implantu.

– Tam w górze wszystko jest twarde, Hiro.

– Myślisz, że nie wiem?

On też to odczuwał – to szczególne podniecenie. Jakoś nie mogliśmy nawiązać normalnego kontaktu wzrokowego. Zanim zakłopotanie zdążyło się pogłębić, odwrócił się i wystawił kciuk w stronę któregoś z żółtych klaunów.

Dwóch z nich pomogło mi się zapakować do tej bauhausowej trumny; odstąpili, kiedy pokrywa opadła z sykiem, niby szyba hełmu olbrzyma. I tak zacząłem swoje wniebowstąpienie, powitanie obcej imieniem Leni Hofmannstahl. Krótka trasa, ale zdawało się, że trwa wieczność.

* * *

Olga była naszym pierwszym autostopowiczem; pierwsza wystawiła kciuk na długości fali wodoru. Wróciła po dwóch latach. W Tiuratom w Kazachstanie pewnego szarego zimowego poranka zarejestrowali jej powrót na osiemnastu centymetrach taśmy magnetycznej.

Gdyby ktoś religijny, ale z pewnym doświadczeniem w technice filmowej obserwował punkt w kosmosie, gdzie jej Salut zniknął dwa lata wcześniej, mógłby uznać, że Bóg skleił nagranie pustej przestrzeni z nagraniem statku Olgi. Jednym mrugnięciem pojawiła się w naszej czasoprzestrzeni jak na amatorskim, fatalnym efekcie specjalnym. Tydzień później i mogliby nie dotrzeć do niej na czas: Ziemia potoczyłaby się dalej po orbicie i pozostawiła ją, dryfującą w stronę słońca.

Pięćdziesiąt trzy godziny po jej powrocie dotarł do wjazdu Saluta nerwowy ochotnik nazwiskiem Kurtz, ubrany w pancerny roboczy skafander. Był wschodnioniemieckim specjalistą medycyny kosmicznej, a jego skrywanym nałogiem były amerykańskie papierosy; marzył o takim,

kiedy przedostał się przez śluzę, przecisnął obok prostokątnej bryły rdzenia filtra powietrza i brodą wcisnął przełącznik lampy na hełmie. Salut, nawet po dwóch latach, wydawał się wypełniony zdatną do oddychania atmosferą. W podwójnym snopie światła z masywnego hełmu Kurtz zobaczył przelatujące obok drobne globulki krwi i wymiocin, wirujące za jego plecami, kiedy w ciężkim skafanderze wsunął się z tunelu komunikacyjnego do modułu dowodzenia. Tam ją znalazł.

Dryfowała nad ekranami nawigacyjnymi, naga, zeszywniała, zwinięta w pozycji embrionalnej. Oczy miała otwarte, ale wpatrzone w coś, czego Kurtz nigdy nie miał zobaczyć. Pokrwawione dłonie zaciskała w pięści, twarde jak kamień, a kasztanowe włosy, teraz rozpuszczone, pływały wokół jej twarzy niczym wodorosty. Bardzo powoli, bardzo ostrożnie, Kurtz przefrunął nad białymi klawiaturami konsoli sterowania i zamocował skafander do monitorów nawigacyjnych. Musiała gołymi rękami grzebać w systemach łączności, uznał. Zdezaktywował swój prawy manipulator, który rozłożył się automatycznie, jak dwie pary szczypic udających, że są kwiatem. Wysunął rękę, nadal w hermetycznej szarej chirurgicznej rękawiczce.

Potem, najdelikatniej jak potrafił, rozprostował jej palce lewej dłoni. Nic. Ale kiedy rozgiął prawą dłoń, coś wyleciało i zakręciło się o kilka centymetrów przed syntetycznym kwarcem szyby hełmu. Wyglądało jak muszelka.

Olga wróciła do domu, ale nigdy nie wróciła do życia za tymi błękitnymi oczami. Próbowali, oczywiście, ale im bardziej się starali, tym bardziej stawała się wątpliwa. I w swym pragnieniu wiedzy rozprowadzali ją coraz cienie, aż w swym męczeństwie całe biblioteki zaczęła wypełniać zamrożonymi alejami cennych relikwii. Żadnej świętej nie cięto tak precyzyjnie; w samym laboratorium w Plesiecku reprezentowało ją ponad dwa miliony próbek tkanki, zmagazynowanych i ponumerowanych w podziemiach odpornego na bombardowania kompleksu biologicznego.

Więcej szczęścia mieli z muszelką. Egzobiologia nagle stanęła na irytująco pewnym gruncie: jeden i siedem dziesiątych grama wysoko zorganizowanej informacji biologicznej, ewidentnie pozaziemskiej. Muszelka Olgi doprowadziła do powstania całej podgałęzi nauki, poświęconej całkowicie badaniom... muszelki Olgi.

Początkowe wyniki wyraźnie potwierdziły dwa fakty. Muszelka nie była produktem żadnej znanej ziemskiej biosfery, a że w systemie słonecznym inne biosfery nie istniały, musiała przybyć z innej gwiazdy. Olga albo sama odwiedziła to miejsce, albo nawiązała kontakt, choćby daleki, z czymś, co jest – albo kiedyś było – w stanie dokonać przelotu.

Wysłali do Współrzędnych Towiewskiej majora Grosza w specjalnie wyposażonym Salucie 9. Za nim poleciała druga jednostka. Grosz wystrzeliwał ostatnie z dwudziestu wodorowych flar, kiedy jego statek zniknął. Zarejestrowali odlot i czekali. Wrócił dwieście trzydzieści cztery dni później. Przez ten czas bezustannie sondowali ten region, rozpaczliwie szukając czegokolwiek, co można by uznać za specyficzną anomalię, obcy element, wokół którego mogłaby narastać teoria. Nie znaleźli niczego – tylko statek Grosza wirujący bez żadnej kontroli. Major popełnił samobójstwo, zanim zdążyli do niego dotrzeć – druga ofiara Autostrady.

Kiedy przyholowali Saluta na Ciołkowskiego, odkryli, że skomplikowany sprzęt rejestrujący niczego nie nagrał. Był całkowicie sprawny, ale nie zadziałał. Ciało Grosza zamrożono i pierwszym promem odesłano do Plesiecka, gdzie buldożery ryły już nowe podziemne komory.

Trzy lata później, rankiem, po tym, jak stracili siódmego kosmonautę, w Moskwie zadzwonił telefon. Rozmówca przedstawił się: był dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych. Został upoważniony, jak wyjaśnił, by złożyć pewną propozycję. Pod bardzo specyficznymi warunkami, Związek Radziecki może uzyskać dostęp do najlepszych umysłów zachodniej psychiatrii. Agencja uważa, mówił dalej, że taka pomoc może być obecnie przyjęta z wdzięcznością. Jego rosyjski był perfekcyjny.

* * *

Trzaski kostofonu były jak burza piaskowa pod czaszką. Winda przesuwawała się wąskim szybem przez podłogę Nieba. Liczyłem niebieskie lampy w odstępach co dwa metry – po piątej ciemność i bezruch.

Schowany w pustym module dowodzenia makiety autostradowej kapsuły czekałem w windzie jak w ukrytym pokoju za przesuwaną biblioteczką w młodzieżowym kryminale. Statek był tylko rekwizytem,

dekoracją, niczym bawarska chatka przyklejona do gipsowej turni w jakimś parku rozrywki – miłe pociągnięcie, ale właściwie nie całkiem potrzebne. Jeśli powracający w ogóle nas akceptują, to przyjmują jako coś naturalnego; nasze legendy i rekwizyty nie robią żadnej różnicy.

– Czysto – odezwał się Hiro. – Nikt się nie czai.

Odruchowo rozmasowałem bliznę za lewym uchem, gdzie wykonali nacięcie, żeby umieścić kostofon. Bok atrapy konsoli odchylił się i wpuścił szare światło świtu Nieba. Wnętrze fałszywej kapsuły było znajome i obce jednocześnie, jak własne mieszkanie, którego człowiek przez tydzień nie oglądał. Od ostatniego razu przepęzło przez lewy iluminator jedno z tych nowych brazylijskich pnączy, ale to była chyba jedyna zmiana w całej scenerii.

Na naradach o bioarchitekturze toczyły się ostre walki o te pnącza; amerykańscy ekolodzy krzyczeli o możliwych niedoborach azotu. Rosjanie byli drażliwi w kwestii biodizajnu, odkąd musieli wypożyczyć Amerykanów, żeby im pomogli z programowaniem biotopu jeszcze na Ciołkowskim 1. Paskudny problem z butwieniem atakującym hydroponiczną pszenicę... cała ta superdoskonała radziecka inżynieria, a wciąż nie umieli ustawić funkcjonalnego ekosystemu. I wcale nie pomogło, że ta początkowa kłapa otworzyła nam drogę, by być tu teraz z nimi. To ich denerwuje, więc upierają się przy brazylijskich pnączach i czymkolwiek, co daje im możliwość kłótni. Ale ja lubię te pnącza: liście mają kształt serca, a kiedy rozetrzeć je w dłoniach, pachną cynamonem.

Stałem przy iluminatorze i patrzyłem, jak do Nieba wpada odbite słoneczne światło i polana nabiera kształtu. Niebo działa na czasie Greenwich: wielkie mylarowe zwierciadła obracały się gdzieś w jasnej przestrzeni, w zgodzie ze standardowym światem. Wśród drzew zabrzmiały nagrane śpiewy ptaków. Ptakom ciężko się żyje przy braku prawdziwej grawitacji. Nie możemy ich tu trzymać, bo wariują, próbując się dostosować do siły odśrodkowej.

Oglądane po raz pierwszy Niebo niemal odpowiada swojej nazwie: bujne, chłodne i jasne, długie trawy nakrapiane polnymi kwiatami. Pomaga, jeśli człowiek nie wie, że drzewa są w większości sztuczne, ani ile wysiłku wymaga utrzymanie czegoś w rodzaju optymalnej równowagi między sinicami i okrzemkami w stawach. Charmian mówi, że tylko czeka, aż Bambi wybiegnie spośród drzew, a Hiro twierdzi, że dokładnie wie,

ilu techników Disneya zobowiązano do dochowania tajemnicy zgodnie z Ustawą o Bezpieczeństwie Państwa.

– Odbieramy jakieś strzępki od Hofmannstahl – powiedział Hiro. Praktycznie mógł mówić do siebie; holistyczny sprzęg operator–surogat już się włączał i wkrótce przestaniemy być świadomi siebie nawzajem. Adrenalinowe wyostwienie zaczynało ustępować. – Nic specjalnie zrozumiałego. „Schöne Maschine” cośtam... „Piękna maszyna”... Hillary uważa, że brzmi jak całkiem spokojna, ale rozkojarzona.

– Nic mi nie mów. Żadnych oczekiwań, jasne? Wchodzimy na luzie. – Otworzyłem właz i odetchnąłem powietrzem Nieba; było jak chłodne białe wino. – Gdzie jest Charmian?

Westchnął: lekki podmuch trzasków.

– Charmian powinna być na Polanie 5 i zajmować się Chilijczykiem, który jest w domu od trzech dni. Ale nie ma jej tam, bo usłyszała, że się zjawisz. I teraz czeka na ciebie przy sadzawce z karpiami. Uparta suka – dodał.

Charmian rzuciła kamykami w chińską tołpygę. Za jedno ucho wetknęła wiązkę białych kwiatów, za drugie pogniecione marlboro. Stopy miała bosc i ubłoccone, a nogawki kombinezonu odcięła w połowie uda. Czarne włosy związała z tyłu w kucyk.

Pierwszy raz spotkaliśmy się na imprezie w warsztacie spawalniczym: pijane głosy odbijające się w pustej metalowej sferze, bimber w zerowej grawitacji... Ktoś miał worek wody na popitkę, wycisnął z niej dwie garście i sprawnie podrzucił, formując wirującą miękką kulę napięcia powierzchniowego. Stare dowcipy o oddawaniu wody... Ale ja w zero-g jestem strasznie niezgrabny. I kiedy nadleciała do mnie, wsadziłem rękę do środka, a potem strząsałem z włosów tysiące srebrzystych kulek i oganiałem się od nich, wirując w powietrzu. Kobieta obok mnie śmiała się i kręciła powolne salta – wysoka szczupła dziewczyna z czarnymi włosami. Miała na sobie takie luźne szarawary, które turyści zabierają na pamiątkę z Ciołkowskiego, i trzy rozmiary za dużą wyblakłą koszulkę NASA. Po chwili opowiadała mi już o startach na lotniach z nastoletnimi ciołkownikami i jak bardzo byli dumni ze słabego zioła, które hodowali w jednym ze zbiorników na kukurydzę. Nie zdawałem sobie sprawy, że też jest surogatem, dopóki Hiro się nie włączył i nie powiedział, że koniec imprezy. Tydzień później przeprowadziła się do mnie.

– Minuta, dobrze? – Hiro zgrzytnął zębami, przerażający dźwięk. – Jedna. Uno.

A potem zniknął, całkiem się wyłączył, może nawet nie słuchał.

– Jak leci na Polanie 5?

Przykucnąłem przy niej i też znalazłem parę kamyków.

– Niezbyt rewelacyjnie. Musiałam się stamtąd trochę wyrwać. Podałam mu hipnotyki. Mój translator powiedział, że jedziesz na górę.

Miała taki teksaski akcent, w którym dwadzieścia brzmi jak dwajścia.

– Myślałem, że mówisz po hiszpańsku? Gość jest Chilijczykiem, tak? – Rzuciłem kamyk do stawu.

– Mówię po meksykańsku. Te sępy z kulturoznawstwa uznały, że nie spodoba mu się mój akcent. I bardzo dobrze. Nie nadażam, kiedy szybko mówi. – Jej kamyk pofrunął za moim, i kręgi rozbiegły się po powierzchni. – To znaczy stale. – Tołpyga podpłynęła, żeby sprawdzić, czy kamyk nadaje się do jedzenia. – Nie daje rady. – Nie patrzyła na mnie. Jej ton był całkowicie neutralny. – Mały Jorge stanowczo nie daje rady.

Wybrałem najbardziej płaski z kamyków i spróbowałem rzucić kaczkę, ale zatonął. Im mniej wiedziałem o naszym chilijskim Jorge, tym lepiej. Tylko tyle, że był jednym z żywych, jednym z dziesięciu procent. Statystyka martwych powrotów to dwadzieścia procent – samobójstwa. Siedemdziesiąt procent mięsaków to natychmiastowi kandydaci na Oddziały: jedni w pieluchy, inni tylko bełkoczący, albo w pełnej apatii. Charmian i ja jesteśmy surogatami dla tych pozostałych dziesięciu procent.

Gdyby ci pierwsi, którzy wracali, przywozili tylko muszelki, wątpię, czy powstałoby tutaj Niebo.

* * *

Niebo zbudowano, kiedy martwy Francuz wrócił z trzymanym w zaciśniętej dłoni dwunastocentymetrowym pierścieniem magnetycznie kodowanej stali – ponura parodia szczęśliwego dzieciaka, który wygrywa darmowy przejazd na karuzeli. Możemy nigdy się nie dowiedzieć, gdzie i w jaki sposób go zdobył, ale ten pierścień był kamieniem z Rosetty dla raka. Więc teraz wszystko to jest jak kult cargo dla całej ludzkiej rasy.

Bo możemy tam znaleźć rzeczy, na które w badaniach byśmy nie trafili przez tysiąc lat.

Charmian mówi, że jesteśmy jak ci biedni barbarzyńcy na wyspie, którzy przez cały czas budują pasy do lądowania, żeby powróciły wielkie srebrne ptaki. Mówi też, że kontakt z „wyższymi” cywilizacjami to coś, czego człowiek nie życzy nawet najgorszemu wrogowi.

* * *

– Zastanawiałeś się, Toby, jak w ogóle wpadli na taki numer? – Mrużąc oczy, spoglądała ku wschodowi, wzdłuż naszej cylindrycznej krainy, zielonej i pozbawionej horyzontu. – Musieli pewnie ściągnąć całą wagę ciężką, elitę psychologii, i usadzić ich wszystkich przy długiej płycie z naturalnej imitacji palisandru, standardowym wyposażeniu Pentagonu. Każdy dostał czyściutki notatnik i nowiutki ołówek, specjalnie na tę okazję zaostrzony. Wszyscy tam byli: freudyści, jungowcy, adlerianie, szczurołapy Skinnera... Co tylko zechcesz. I każdy z tych dupków wiedział w głębi serca, że nadszedł czas, by rozegrać najlepsze karty. Jako przedstawiciele profesji, a nie poszczególnych frakcji. Oto siedzą tak, wcielenie psychiatrii Zachodu. I nic się nie dzieje! Ludzie wyskakują z Autostrady martwi albo wracają i ślinią się, nucąc piosenki z przedszkola. Ci żywi wytrzymują jakieś trzy dni, niczego nie mówią, a potem strzelają sobie w łeb albo wpadają w katatonię.

Odpięła od pasa małą latarkę i od niechcienia strzaskała plastikową obudowę, by wyjąć paraboliczny reflektor.

– Kreml wrzeszczy, CIA dostaje fioła. A najgorsze, że międzynarodowe korporacje, które miały finansować ten cyrk, nagle zaczynają się wahać. „Martwi astronauty? Żadnych danych? Nic z tego, przyjaciele”. No więc zaczynają się denerwować ci wszyscy superpsychiatrzy, aż jakiś wyszczerzony dziwak z Berkeley, być może, mówi nagle... – Jej głos przeszedł w parodię naćpanej łagodności. – „Hej, no wiecie, a jakbyśmy tak wstawili tych biedaków w jakieś naprawdę ładne miejsce, znaczy, z kupą dobrych prochów i kimś, z kim mogą pogadać tak jakby... Co?”

Zaśmiała się i pokręciła głową. Reflektorem z latarki starała się zapalić papierosa, skupiając słoneczne światło. Nie dają nam zapalek, bo ogień

rozwała równowagę tlenu i dwutlenku węgla. Wąska smużka szarego dymu uniosła się od rozżarzonego do białości punktu ogniska.

– W porządku – odezwał się Hiro. – Wasza minuta minęła.

Spojrzałem na zegarek – to były raczej trzy.

– Powodzenia, skarbie – powiedziała cicho, udając, że koncentruje się na papierosie. – Złamania karku.

* * *

Obietnica bólu, obecna za każdym razem... Człowiek wie, co się stanie, nie wie tylko kiedy i jak dokładnie. Próbuje ich podtrzymać, kołysze w ciemności. Ale jeśli stara się przygotować na ból, nie może funkcjonować. Ten wiersz, który cytuje Hiro: „Ucz nas, jak troszczyć się i jak nie troszczyć”... Jesteśmy niczym inteligentne muchy na międzynarodowym lotnisku: niektórym z nas może się udać zawędrować na pokład samolotu do Londynu czy Rio, może nawet przetrwać tę wyprawę i wrócić. „Hej”, mówią inne muchy, „co się dzieje za tymi drzwiami? Co oni tam wiedzą, czego my nie wiemy?”. Na skraju Autostrady każdy ludzki język pruje się w naszych rękach, z wyjątkiem może języka szamana, kabalisty, języka mistyków skupionych na opisie hierarchii demonów, aniołów i świętych. Ale Autostradą rządzą pewne reguły i kilka z nich poznaliśmy. To daje nam coś, czego możemy się trzymać.

Reguła 1: jedna jaźń na rejs; żadnych zespołów, żadnych par.

Reguła 2: żadnych sztucznych inteligencji; cokolwiek Tam jest, nie zatrzyma się dla myślącej maszyny, przynajmniej nie takiej, jaką potrafimy zbudować.

Reguła 3: urządzenia rejestracyjne tylko marnują miejsce; zawsze wracają czyste.

Dziesiątki nowych szkół fizycznych pojawiły się śladami świętej Olgi, coraz bardziej dziwaczne i bardziej eleganckie herezje, każda z nadzieją, że przecisnie się na wewnętrzny pas. Jedna po drugiej upadały. W szepczącej ciszy nocy Nieba człowiek może sobie wyobrazić odgłos

pękających paradygmatów, odłamki teorii z brzękiem rozsypujących się w diamentowy pył, kiedy praca życia jakiegoś korporacyjnego think tanku redukuje się do najkrótszego historycznego odnośnika, a wszystko to w czasie, jakiego potrzebuje udręczony wędrowiec, żeby wymamrotać w ciemności jakieś słowo. Muchy na lotnisku, szukające przejazdu. Muchom radzi się nie zadawać zbyt wielu pytań. Muchom sugeruje się, żeby nie próbowały zrozumieć Ogólnego Obrazu. Wielokrotne próby w tej dziedzinie nieodmiennie prowadzą do powolnego, niepowstrzymanego rozkwitu paranoi, gdy na ściany nocy umysł rzuca wielkie mroczne schematy, diagramy, które potrafią zestalać się, stawać szaleństwem, stawać religią. Mądre muchy trzymają się teorii Czarnej Skrzynki: Czarna Skrzynka to usankcjonowana metafora; Autostrada pozostaje niewiadomą w każdym normalnym równaniu. Nie powinniśmy się martwić, czym jest ani kto ją tam umieścił. Zamiast tego koncentrujemy się na tym, co wkładamy do Skrzynki i co z niej wyjmujemy. Są obiekty, które posyłamy na Autostradę (kobieta imieniem Olga, jej statek, wiele więcej, które poleciały jej śladem) oraz obiekty, które przylatują do nas (wariatka, muszelka, artefakty, elementy obcej techniki). Teoretycy Czarnej Skrzynki przekonują, że naszą główną troską jest optymalizacja tej wymiany. A my tkwimy tutaj i pilnujemy, by nasz gatunek dostał to, za co płaci. Mimo to pewne rzeczy są coraz bardziej oczywiste: jedna z nich to ta, że nie jesteśmy jedynymi muchami, które znalazły drogę na lotnisko. Zebraliśmy artefakty przynajmniej kilkunastu drastycznie rozbieżnych kultur. „Kolejne kmioty”, jak o nich mówi Charmian.

Jesteśmy jak stado szczurów w ładowni frachtowca, wymieniających świecidełka ze szczurami z innych portów. Marzymy o jasnych światłach, o wielkim mieście.

Trzeba widzieć sprawy możliwie prosto, jak kwestię Wejścia i Wyjścia. Na Wyjściu: Leni Hofmannstahl.

* * *

Scenę powrotu Leni Hofmannstahl ustawiliśmy na Polanie 3, znanej również jako Elizjum. Przykucnąłem w kępie skrupulatnie zreprodukowanych młodych okrągłolistnych klonów i obserwowałem jej

statek. Oryginalnie przypominał bezskrzydłą ważkę, a smukły dziesięciometrowy brzuch mieścił w sobie silnik manewrowy. Teraz, po jego usunięciu, statek wyglądał jak matowobiały kokon z larwalnymi wypukłościami oczu wypchanymi tradycyjnymi i bezużytecznymi systemami sensorów i próbników. Leżał na niewielkim wzniesieniu pośrodku polany, specjalnie zaprojektowanym wzniesieniu o rzeźbie przystosowanej do rozmaitych typów pojazdów. Nowsze łódki są mniejsze, jak pralki z Grand Prix za design: minimalistyczne kapsuły bez pretensji do bycia statkami badawczymi. Moduły dla mięsaków.

– Nie podoba mi się to – stwierdził Hiro. – Coś tu nie pasuje...

Mógłby mówić do siebie... prawie że mógłby być mną mówiącym do siebie, co oznaczało, że holistyczny sprzęg operatora z surogatem już prawie działa. Zablokowany w swojej roli, nie jestem już zwiadowcą dla żarłocznych uszu Nieba, wyspecjalizowanym próbnikiem połączonym radiowo z jeszcze bardziej wyspecjalizowanym psychiatrą; kiedy sprzęg zaskoczy, Hiro i ja zlewamy się w coś innego, do czego nigdy nie możemy się przyznać przed sobą nawzajem, nie wtedy, kiedy to się nie dzieje. Nasz związek wywołałby koszmary u klasycznego freudysty. Wiedziałem jednak, że ma rację: tym razem coś tu wydawało się straszliwie nie takie, jak powinno.

Polanka była w przybliżeniu kolistą. Musiała taka być, w rzeczywistości bowiem stanowiła wycięty w powłoce Nieba piętnastometrowy krąg, okrągłą platformę windy zamaskowaną jako alpejska miniłęczka. Odcieśli silnik Leni, wciągnęli jej kapsułę do zewnętrznego cylindra, opuścili tę polankę na pokład słuzy, a potem unieśli ją do Nieba na gigantycznej paterze dekorowanej trawą i kwiatami. Przesłoniли jej czujniki blokadami emisji, zapieczętowali iluminatory i właz – Niebo powinno być dla nowo przybyłych niespodzianką.

Odkryłem, że zastanawiam się, czy Charmian wróciła już do Jorgego. Może coś dla niego gotuje, jakąś rybę z tych, które „łapiemy”, kiedy są wypuszczane prosto w nasze ręce z klatek na dnie sadzawek. Wyobraziłem sobie zapach smażonej ryby, zamknąłem oczy i przed oczyma duszy zobaczyłem brodzącą w płytkiej wodzie Charmian, jasne krople zbierające się na jej udach... długonoga dziewczyna w rybnym stawie w Niebie.

– Ruszaj, Toby! Wchodzisz! Już!

Czaszka zadźwięczała od krzyku; przez trening i reakcje sprzęgu byłem już w połowie drogi.

– Szlag, szlag, szlag...

To mantra Hiro i wiedziałem, że jakoś wszystko zdołało się spieszyć. Translator Hillary była przenikliwym tłem, jej lodowate BBC kruszyło się, kiedy trajkotała na najwyższych obrotach – coś o schematach anatomicznych. Hiro musiał zdalnie odblokować właz, ale nie czekał, aż się odkręci, tylko uruchomił wmontowane w kadłub sześć wybuchowych sworzni i wysadził w całości cały mechanizm luku. Kłapa minęła mnie o włos. Odruchowo skręciłem, żeby zejść jej z drogi. A potem wspinałem się już na gładki pancierz kapsuły, chwytając sześciokątne wsporniki tuż za otworem włazu – mechanizm zabrał ze sobą aluminiową drabinkę.

I znieruchomiałem, przykucnięty wśród zapachu plastiku ze sworzni, ponieważ wtedy właśnie dopadł mnie Strach, naprawdę mnie znalazł... po raz pierwszy.

Odczuwałem go już wcześniej, ale tylko na granicach, na najsłabszej krawędzi. Teraz był ogromny: sama głębia nocy, lodowata i nieubłagana pustka. Był ostatnimi słowami, daleką przestrzenią, każdym długim pożegnaniem w historii naszego gatunku. Sprawił, że skuliłem się, jęcząc. Trząsałem się, pełzałem, płakałem... Uczą nas o tym, ostrzegają, próbują tłumaczyć jako rodzaj typowej dla naszej pracy przejściowej agorafobii. Ale my wiemy, co to takiego: surogaci wiedzą, operatorzy nie mogą. Żadne wyjaśnienie nawet się nie zbliżyło do prawdy.

To Strach. To długi palec Wielkiej Nocy, ciemności, która popycha bełkoczących potępieńców w łagodną białą paszczę Oddziałów. Olga poznała go pierwsza, święta Olga. Starła się ukryć nas przed nim, szarpiąc paznokciami swoją radiostację, zalewając krwią dłonie, by zniszczyć na swoim statku możliwość nadawania, modląc się, by Ziemia ją zgubiła, pozwoliła umrzeć...

Hiro był rozgorączkowany, ale musiał rozumieć i wiedział, co trzeba zrobić. Uderzył we mnie przełącznikiem bólu. Mocno, raz po raz, jak pałką elektryczną. Popędził mnie do kapsuły. Popędził mnie poprzez Strach.

Za Strachem była... kabina. Cisza i zapach kogoś obcego, kobiety. Zagracony moduł był zużyty, prawie jak dom, zmęczony plastik fotela przeciążeniowego poklejony łuszczącymi się paskami srebrnej taśmy. Wszystko jednak wyglądało tak, jakby się układało wokół nieobecności.

Nie było jej tutaj. A potem zobaczyłem obłąkany fryz długopisowych zygzaków, koślawych symboli, tysiące małych, krzywych owali, splatających się i nakładających na siebie. Rozmazane palcami i żalosne, pokrywały prawie całą tylną gródź. Hiro był jak szum zakłóceń, szepcząc, błagając. *Znajdź ją, Toby, teraz, proszę, Toby, znajdź ją, znajdź ją, znajdź...*

Znalazłem Leni we wnęce medycznej, wąskiej niszy przy korytarzu. Nad nią *Schöne Maschine*, manipulator chirurgiczny, błyszczący, ze złożonymi równo chudymi migotliwymi ramionami, chromowanymi odnóżami pacyficznego kraba, zakończonymi kleszczykami, zaciskami, skalpelem laserowym. Hillary histeryzowała na wpół wygluszona na jakimś słabym kanale, mówiła coś o anatomii ludzkiej ręki, ścięgnach, arteriach, podstawowej taksonomii. Krzyczała.

Nie było krwi, wcale. Manipulator to czysta maszyna, która nawet w nieważkości potrafi wykonać robotę bez bałaganu, odsysając krew. Leni umarła tuż przed tym, jak Hiro wysadził właz; wyciągnięte na białym plastiku powierzchni roboczej prawe ramię wyglądało jak średniowieczny rysunek: wypreparowana skóra, mięśnie i inne tkanki przypięte w niemal symetrycznej demonstracji, przytrzymywane kilkunastoma szpilkami chirurgicznymi z nierdzewnej stali. Wykrwawiła się na śmierć. Manipulator jest starannie programowany, by nie dopuszczał do samobójstw, ale pełni też funkcję robota preparującego okazy biologiczne do chłodni. Znalazła sposób, żeby go oszukać. Z maszynami zwykle się to udaje, jeśli jest dość czasu. Ona miała osiem lat.

Leżała teraz na składanej ramie, podobnej do skamieniałego szkieletu fotela dentystycznego; przez niego widziałem wyblakły haft na plecach kombinezonu, znak firmowy niemieckiego koncernu elektronicznego. Próbowałem do niej mówić. Powiedziałem: „Proszę, jesteś martwa. Wybacz nam, chcieliśmy ci pomóc, Hiro i ja. Rozumiesz? On cię zna, Hiro, jest tutaj w mojej głowie. Czytał twoje dossier, twój profil seksualny, twoje ulubione kolory; zna twoje dziecięce lęki, pierwszego kochanka, nazwisko nauczyciela, którego lubiłaś. A ja mam akurat odpowiednie feromony, a jestem chodzącym arsenałem prochów, coś z tego musiałoby ci się przecież spodobać. I umiemy kłamać, Hiro i ja; jesteśmy mistrzami kłamstwa. Proszę. Musisz zrozumieć. Jesteśmy jak obcy, Hiro i ja, bo dla ciebie udajemy kogoś zupełnie obcego, Leni”.

Była drobną kobietą, blondynką, a w jej gładkich, prostych włosach pojawiały się pasemka przedwczesnej siwizny. Dotknąłem tych włosów, tylko raz, i wyszedłem na polanę. Stałem tam, a wtedy zafalowały długie trawy, zadrżały kwiaty i zaczęliśmy zjazd, z kapsułą pośrodku udekorowanego kręgu windy. Polana zsunęła się z Nieba, a blask słońca zniknął w ostrym świetle wielkich rtęciowych lamp, rzucających wyraźne cienie na szeroki pokład śluzu. Postacie w czerwonych skafandrach, biegną. Czerwony samochód robi zwrot na grubych gumowych kołach, żeby zjechać im z drogi. Nevsky, ten surfer z KGB, czeka na końcu trapu, który podstawili pod brzeg polany. Nie zauważyłem go, dopóki nie zszedłem na sam dół.

– Muszę teraz zabrać narkotyki, panie Halpert.

Stałem chwiejnie i mrugałem, żeby pozbyć się łez z oczu. Wyciągnął rękę, by mnie podtrzymać. Ciekawe, czy w ogóle wie, czemu znalazł się tutaj, przy śluzie, żółty kombinezon na terytorium czerwonych. Prawdopodobnie się tym nie przejmował; nie wyglądał, jakby cokolwiek specjalnie się przejmował. Miał swój notatnik w pogotowiu.

– Muszę je wziąć, panie Halpert.

Ściągnąłem kombinezon, zwinąłem w kłębek i podałem mu. Wcisnął go do plastikowego worka ze strunowym zapięciem, worek włożył do neseseru przykutego kajdankami do jego lewego nadgarstka, potem zakręcił bębniem zamka.

– Tylko nie bierz wszystkiego na raz, mały – powiedziałem.

I zemdlałem.

* * *

Później tej nocy Charmian przyniosła do kabiny specjalną odmianę ciemności, zapieczętowane w grubej folii indywidualne porcje. Nie było to nic w rodzaju ciemności Wielkiej Nocy, tego świadomego, drapieżnego mroku, który czeka, by ściągnąć autostopowiczów na Oddziały, w którym lęgnie się Strach. To była raczej ciemność niczym cienie poruszające się z tyłu samochodu rodziców, bezpiecznego i ciepłego w deszczowy dzień, kiedy człowiek ma pięć lat.

Charmian jest o wiele sprytniejsza ode mnie, jeśli chodzi o omijanie odhaczających listy, takich jak Nevsky. Nie pytałem, czemu wróciła z Nieba ani co się stało z Jorgem. Ona też nie zapytała o Leni. Hiro zniknął, wyłączył się zupełnie. Widziałem go na popołudniowej naradzie i jak zwykle nasze spojrzenia się nie spotkały. To bez znaczenia. Wiedziałem, że wróci. W końcu, robota jak zwykle. Ciężki dzień w Niebie, ale nigdy nie jest łatwo. Trudno jest poczuć Strach po raz pierwszy, choć przecież zawsze wiedziałem, że tam jest, że czeka. Mówili o wykresach Leni, o jej szkicach łańcuchów molekularnych, które potrafią zmieniać się na rozkaz. Molekuły, które mogą działać jak przełączniki, elementy logiczne, nawet swego rodzaju przewody, ułożone w warstwach w jedną bardzo wielką molekułę, bardzo mały komputer. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, co tam spotkała, pewnie nigdy nie poznamy szczegółów transakcji. Moglibyśmy żałować, gdybyśmy to odkryli. Nie jesteśmy jedynym prymitywnym plemieniem w głuszy, jedynymi barbarzyńcami szukającymi odpadków.

Niech diabli porwą Leni, niech porwą tego Francuza i wszystkich, którzy przywożą coś do domu, dostarczają leków na raka, muszelek, rzeczy bez nazwy, na których tu czekamy i którzy wypełniają Oddziały, którzy przynoszą nam Strach. Ale przytulmy ten mrok, ciepły i bliski, powolny oddech Charmian, jak rytm morskich fal. Tutaj też można mieć odlot: człowiek słyszy morze, gdzieś w głębi, poza bezustannym szumem kostofonu, podobnym do szumu muszli. To coś, co zawsze mamy w sobie, nieważne, jak daleko od domu.

Charmian poruszyła się przy mnie, wymruczała obce imię – imię jakiegoś wędrowca, który dawno już trafił na Oddziały. Do niej należy obecny rekord: utrzymała przybysza przy życiu przez dwa tygodnie, zanim kciukami wydlubał sobie oczy. Krzyczała przez całą drogę na dół, połamala paznokcie o plastikową pokrywę windy. Potem ją uśpili.

Oboje jednak mamy to parcie, to szczególne pragnienie, obłąkaną dynamikę, która każe nam wciąż wracać do Nieba. Oboje uzyskaliśmy je w ten sam sposób, przez tygodnie leżąc tam w naszych małych szalupach i czekając, aż przyjmie nas Autostrada. A kiedy wypaliły się ostatnie flary, holowniki ściągnęły nas z powrotem. Pewni ludzie nie zostają zabrani i nikt nie wie dlaczego. Nigdy nie dostaje się drugiej szansy. Mówią, że to zbyt kosztowne, ale tak naprawdę chodzi im o to, kiedy zerkają

na bandażu na twoich nadgarstkach, że jesteś już zbyt cenny, zbyt użyteczny jako potencjalny surogat. Nie przejmuj się próbą samobójczą, mówią; ciągle się zdarzają. Absolutnie zrozumiałe: poczucie całkowitego odrzucenia. Ale ja chciałem odejść, tak bardzo chciałem... Charmian też. Próbowaliśmy z tabletkami. Ale popracowali z nami, trochę nas przekrzywili, dostroili popędy, wszczepili kostofony, dopasowali operatorów.

Olga musiała wiedzieć, musiała jakoś to wszystko przewidzieć – starała się nie dopuścić, byśmy znaleźli drogę do tego miejsca, gdzie była. Wiedziała, że jeśli znajdziemy, będziemy musieli próbować. Nawet teraz, wiedząc to wszystko, co wiem, nadal chcę polecieć. I nigdy mi się nie uda. Ale możemy kołysać się tutaj, w tym mroku, który wznosi się nad nami, kiedy ściskam Charmian za rękę. Między naszymi dłońmi rozdarta foliowa torebka po narkotyku. A święta Olga uśmiecha się do nas z grodzi, wszystkie odbitki z tego samego reklamowego zdjęcia, wyrwane i przyklejone taśmą na ścianach nocy, jej biały uśmiech, na zawsze.

czerwona gwiazda, orbita zimowa

William Gibson
Bruce Sterling

Pułkownik Korolew okręcił się wolno w uprząży. Śnił o zimie i grawitacji. Znowu był młodym kadetem i pędził konno przez listopadowe stopy Kazachstanu, ku czerwonej perspektywie marsjańskiej pustyni o zachodzie słońca.

Coś się nie zgadza, pomyślał.

I obudził się – w Muzeum Radzieckich Tryumfów Kosmicznych – słysząc głosy Romanienki i żony człowieka KGB. Znów to robili za zasłoną na rufie Saluta. Pasy bezpieczeństwa i tapicerka na pancerzu trzeszczały i skrzypiały rytmicznie. Kopyta na śniegu.

Korolew uwolnił się z uprząży i wprawnym kopnięciem odepchnął w stronę kabiny toaletowej. Zrzucił wytarty kombinezon, umocował na biodrach pisuar i starł ze stalowego lustra skroploną parę. Artretyczna dłoń znowu spuchła przez sen. Od zaniku wapnia nadgarstek był cienki jak ptasia łapa – dwadzieścia lat minęło od dnia, gdy po raz ostatni czuł grawitację. Postarzał się na orbicie.

Ogolił się brzytwą ssącą. Łata popękanych żył pokrywała lewy policzek i skroń – jeszcze jedna pamiątka przebicia, które go okaleczyło.

Kiedy wyszedł, cudzołożnicy właśnie skończyli. Romanienko poprawiał ubranie. Żona oficera politycznego, Walentyna, oderwała rękawy swego brązowego kombinezonu; białe ramiona lśniły potem po niedawnym wysiłku, a popielatoblond włosy falowały w podmuchu wentylatora. Błękitne jak chabry oczy, osadzone może zbyt blisko siebie, spoglądały na wół przepraszająco, na wół konspiracyjnie.

– Proszę spojrzeć, co wam przyniosłam, pułkowniku...

Wręczyła mu małą, lotniczą buteleczkę koniaku.

Korolew zamrugał oszołomiony, wpatrując się w wytłoczone na plastikowej zakrętce logo Air France.

– Przyleciała ostatnim Sojuzem. W ogórku, jak twierdzi mój mąż. – Zachichotała. – Podarował mi ją.

– Uznaliśmy, że wam bardziej się należy. – Romanienko uśmiechnął się szeroko. – W końcu nam w każdej chwili mogą dać urlop.

Korolew zignorował dyskretne spojrzenie na swoje pomarszczone nogi i blade, bezwładne stopy.

Otworzył buteleczkę; wspaniały aromat wywołał mrowienie krwi na policzkach. Uniósł ją ostrożnie i wyszał kilka mililitrów brandy. Palła jak kwas.

– Chryste! – Sapnął. – To już tyle lat. Urznię się! – stwierdził ze śmiechem. Łzy stanęły mu w oczach.

– Ojciec opowiadał, że piliście jak bohater, towarzyszu pułkowniku. Za dawnych lat.

– Owszem – przyznał Korolew i pociągnął znowu. – Piłem.

Koniak rozpływał się w żyłach niby ciekłe złoto. Nie lubił Romanienki. I nigdy nie lubił ojca tego chłopaka, beztroskiego człowieka Partii, dawno już osiadłego w rutynie gościnnych wykładów, daczy nad Morzem Czarnym, amerykańskich alkoholi, francuskich garniturów, włoskich butów... Chłopiec był podobny; miał te same czyste, szare oczy, nieprzyćmione choćby śladem zwątpienia.

Alkohol płynął wraz z rzadką krwią Korolewa.

– Jesteście zbyt łaskawi – powiedział. Kopnął delikatnie i wylądował przy konsoli. – Weźcie trochę samizdatów. Dopiero co przechwycona amerykańska telewizja kablowa. Mocna rzecz! Szkoda jej na takiego staruszka. – Wcisnął w szczelinę czystą kasetę i wybrał kod.

– Dam artylerzystom. – Romanienko się uśmiechnął. – Mogą to puścić na konsolach śledzenia w wieży.

Stację strumieni cząsteczkowych zawsze nazywano wieżą. Żołnierze, którzy ją obsługiwali, byli szczególnie spragnieni tego typu taśm. Korolew zrobił drugą kopię dla Walentyny.

– To coś świńskiego? – Wyglądała na lekko przestraszoną i zaintrygowaną. – Możemy przyjść znowu, kochany pułkowniku? Czwartek, dwudziesta czwarta zero zero?

Korolew uśmiechnął się do niej. Póki nie wybrano jej do programu kosmicznego, była robotnicą w fabryce. Wyjątkowa uroda czyniła ją przydatną dla celów propagandowych, wzorcem i modelem dla proletariatu. Teraz, gdy koniak płynął mu w żyłach, żałował jej i nie potrafił odmówić odrobiny szczęścia.

– Randka o północy w muzeum, Walentyno? Jakież to romantyczne!

Kołysząc się w stanie nieważkości, pocałowała go w policzek.

– Dziękuję, pułkowniku.

– Jesteście jak książkę, towarzyszu pułkowniku – dodał Romanienko i najdelikatniej jak potrafił klepnął Korolewa w kruche jak zapalka ramię. Po niezliczonych godzinach na trenażerze chłopak miał muskuły jak kowal.

Obserwował, jak kochankowie przesuwają się ostrożnie do centralnej sfery cumowniczej, połączenia trzech starych Sojuzów i dwóch korytarzy. Romanienko poszedł korytarzem „północnym” do wieży, Walentyna w przeciwnym kierunku, do następnej sfery cumowniczej i Saluta, gdzie spał jej mąż.

Kosmograd składał się z pięciu sfer, każda z trójką przycumowanych Salutów. Na drugim końcu zespołu znajdowały się instalacje wojskowe i wyrzutnie satelitów. Trzeszcząca, szumiąca i zgrzytająca stacja wywierała wrażenie tunelu metra i cuchnęła ostrym, metalicznym odorem parowego trampowca.

Korolew pociągnął z buteleczki. Była już w połowie pusta. Ukrył ją w jednym z eksponatów, hasselbladzie NASA znalezionym na lądowisku Apolla. Nie pił od ostatniego urlopu, jeszcze przed wypadkiem. W głowie mu się kręciło; odczuwał przyjemną, bolesną pijacką nostalgię.

Popłynął do swojej konsoli. Dotarł do sekcji pamięci, gdzie potajemnie wykasował zebrane przemówienia Aleksieja Kosygina, by zastąpić je samizdatami – digitizowaną muzyką pop, przebojami swojej młodości z lat osiemdziesiątych. Miał zespoły brytyjskie nagrane z zachodniemieckiego radia, heavy metal z Układu Warszawskiego, zdobyte na czarnym rynku importowane nagrania amerykańskie. Założył słuchawki i wybrał częstochowskie reggae Brygady Kryzys.

Po tylu latach właściwie nie słyszał już muzyki. Napłynęły za to obrazy, budząc bolesne wzruszenie. Był wtedy długowłosym dzieckiem radzieckiej elity. Pozycja ojca praktycznie stawiała go poza zasięgiem moskiewskiej milicji. Pamiętał sprzęg wyjący w głośnikach w gorącym mroku piwnicznego klubu, tłum jak mglistą szachownicę dzinsu i tlenionych włosów. Palił marlboro zaprawione sproszkowanym afgańskim haszem. Pamiętał usta córki amerykańskiego dyplomaty na tylnym siedzeniu czarnego lincolna jej ojca. Imiona i twarze dryfowały w ciepłej mgiełce koniaku. Nina ze Wschodnich Niemiec, która pokazała mu powielaczowe tłumaczenia dysydenckich biuletynów z Polski...

Aż pewnej nocy nie zjawiała się w kawiarni. Pogłoski o pasożytnictwie, działalności antyradzieckiej, o czekającej ją chemicznej groźbie psychuszki...

Korolew zaczął się trząść. Otarł twarz i stwierdził, że jest mokry od potu. Zdjął słuchawki.

Minęło pięćdziesiąt lat, a jednak nagle był przerażony. Nie pamiętał, by kiedyś tak się bał, nawet przy tym przebiciu, które połamało mu biodro. Zadrzał gwałtownie. Światła. Światła w Salucie były zbyt jaskrawe, ale nie chciał podchodzić do przełączników. Prosta czynność, wykonywana regularnie, a jednak... Przełączniki i ich izolowane kable wydawały się w jakiś sposób groźne. Patrzył zdziwiony. Mały nakręcany model Łunochoda, z kółkami na rzepach wczepionymi w cylindryczną ścianę, przysiadł tam jak coś świadomego, przyczajonego, groźnego... Oczy radzieckich pionierów Kosmosu z oficjalnych portretów wpatrywały się w niego ze wzgardą.

Koniak. Te lata w nieważkości rozregulowały metabolizm. Nie był już tym człowiekiem co kiedyś. Ale zachowa spokój i spróbuje to przetrzymać. Jeśli zwymiotuje, wszyscy będą się z niego śmiali.

Ktoś zapukał przy wejściu do muzeum i Nikita Hydraulik, pierwsza złota rączka Kosmogradu, w zwolnionym tempie zanurkował przez otwarty luk. Młody cywilny mechanik był zagniewany. Korolew poczuł lęk.

– Wcześniej wstaliście, Hydrauliku – powiedział, usiłując zachować jakieś pozory normalności.

– Przeciek punktowy w Delta Trzy. – Hydraulik zmarszczył czoło. – Znacnie japoński?

Z jednej z licznych kieszeni swojej roboczej kurtki wyciągnął kasetę i pomachał nią przed nosem Korolewa. Miał na sobie starannie sprane levisy i rozczłapane adidasy.

– Przechwyciliśmy to wczoraj w nocy.

Korolew skulił się, jakby kasetą była broń.

– Nie, japońskiego nie. – Zaskoczył go potulny ton własnego głosu. – Tylko angielski i polski.

Czuł, że się rumieni. Hydraulik był jego przyjacielem, znał go i ufał mu, a jednak...

– Dobrze się czujecie, pułkowniku? – Hydraulik wsunął kasetę i zręcznymi, silnymi palcami uruchomił program tłumaczący. –

Wyglądacie, jakbyście połknęli pluskwę. Musicie tego posłuchać.

Korolew patrzył, jak taśma migocze i rozbłyskuje reklamą baseballowych rękawic. Leksykonowe napisy cyrylicą sunęły po ekranie, gdy japoński głos paplał maniakalnie.

– Zaraz będą wiadomości – poinformował Hydraulik, przygryzając naskórek na palcu.

Korolew spojrzał zaciekawiony, a litery tekstu tłumaczenia przesuwały się po twarzy japońskiego spikera:

AMERYKAŃSKI ZESPÓŁ ROZBROJENIOWY TWIERDZI...
PRZYGOTOWANIA NA KOSMODROMIE BAJKONUR... DOWODZĄ
OSTATECZNEJ GOTOWOŚCI ROSJAN... DO LIKWIDACJI WOJSKOWEJ
STACJI ORBITALNEJ KOSMICZNE MIASTO...

– Komiczne miasto – mruknął Hydraulik. – Luka w słowniku.

ZBUDOWANA NA PRZEŁOMIE STULECIA JAKO POMOST
W PRZESTRZEŃ... AMBITNY PROJEKT SKAZANY NA PORAŻKĘ
Z POWODU NIEPOWODZENIA KOPALNI KSIĘŻYCOWYCH...
KOSZTOWNA STACJA KOSMICZNA NIE DORÓWNUJE NASZYM
BEZZAŁOGOWYM FABRYKOM ORBITALNYM... KRYSZTAŁY,
PÓŁPRZEWODNIKI I SUBSTANCJE MEDYCZNE W STANIE CZYSTYM...

– Chytre dranie! – burknął Hydraulik. – Mówię wam, że ten cholerny kagiebista, ten Jefremow, maczał w tym palce!

GIGANTYCZNY RADZIECKI DEFICYT HANDLOWY... POWSZECHNE
NIEZADOWOLENIE Z KOSZTÓW PROGRAMU KOSMICZNEGO...
OSTATNIE DECYZJE BIURA POLITYCZNEGO I SEKRETARIATU
KOMITETU CENTRALNEGO...

– Chcą nas zamknąć! – Twarz Hydraulika wykrzywiła się z wściekłości.

Korolew odwrócił się od ekranu. Nie potrafił opanować drżenia. Łzy ściekały mu z rzęs w nieważkich kropelkach.

– Zostawcie mnie w spokoju! Nic nie poradzę!

– Co z wami, towarzyszu pułkowniku? – Hydraulik chwycił go za ramiona. – Spójrzcie mi w oczy. Ktoś nafaszerował was Strachem!

– Odejdźcie – błagał Korolew.

– To ten mały skurwieli! Co wam dał? Tabletki? Zastrzyk?

Korolew zatrząsł się.

– Napilem się...

– Podał wam Strach! Jesteście chorzy, staruszkule! Skuję mu mordę! – Hydraulik podciągnął kolana, wykręcił salto w tył, odepchnął się od klamry w suficie i wystrzelił przez kabinę.

– Czekać!

Ale Hydraulik jak wiewiórka przemknął przez sferę cumowniczą i zniknął w głębi korytarza. Korolew poczuł, że nie wytrzyma samotności. W oddali słyszał metaliczne echa zniekształconych, gniewnych okrzyków.

Drżąc, zamknął oczy i czekał, aż ktoś mu pomoże.

* * *

Poprosił Byczkova, oficera nadzoru psychiatrycznego, żeby mu pomógł włożyć stary mundur, ten z przyszytym nad lewą kieszenią na piersi Orderem Gwiazdy Ciołkowskiego. Czarne buty z pikowanego nylonu z podeszwami z rzepów nie pasowały już na pokrzywione stopy; został więc bosy.

Zastrzyk Byczkova w ciągu godziny postawił go na nogi i teraz Korolew był na przemian przygnębiony i wściekły. Czekał w muzeum, aż Jefremow przybędzie na wezwanie.

Jego dom nazywano Muzeum Radzieckich Tryumfów Kosmicznych. Teraz, gdy mijał zastąpiony dawną beznadzieją gniew, czuł się prawie tak, jakby był tu jeszcze jednym eksponatem. Spoglądał posępnie na obrazy w złotych ramach przedstawiające wielkich wizjonerów przestrzeni, na twarze Ciołkowskiego, Rynina, Tupolewa. Poniżej w nieco mniejszych ramach wisiały portrety Verne'a, Goddarda i O'Neill.

W chwilach szczytowego przygnębienia miał czasem wrażenie, że dostrzega w ich oczach wspólne, niezwykle spojrzenie – zwłaszcza w oczach dwójki Amerykanów. Czy to po prostu obłąd, jak niekiedy sądził, gdy był w szczególnie cynicznym nastroju? Czy też widział subtelny manifestację jakiejś dziwnej, niezrównoważonej mocy, która – jak podejrzewał – była wizerunkiem ludzkiej ewolucji w działaniu?

Raz i tylko raz Korolew zobaczył to we własnym spojrzeniu – tego dnia, gdy zstąpił na powierzchnię basenu Coprates. Marsjańskie słońce świecące w wizjery hełmu ukazało mu odbicie pary nieruchomych, obcych oczu – nieustraszonych, ale nawiedzonych. I ten bezgłośny, tajemny szok był,

co teraz pojmował, najbardziej pamiętnym, transcendentalnym wydarzeniem jego życia.

Nad portretami, olejny i nienaturalny, wisiał obraz przedstawiający lądowanie – w kolorach, które przywodziły na myśl barszcz i sos: marsjański pejzaż zredukowany do idealistycznego kiczu radzieckiego socrealizmu. Malarz z całą głębią szczerego wulgaryzmu oficjalnego stylu ustawił przy lądowniku postać w skafandrze.

Z uczuciem zbrukania Korolew czekał na przybycie Jefremowa, człowieka KGB, oficera politycznego Kosmogradu.

A kiedy Jefremow znalazł się wreszcie w Salucie, Korolew zauważył pękniętą wargę i świeże sińce na jego szyi. Przybysz miał na sobie niebieski dres Kansai z japońskiego jedwabiu i stylowe włoskie buty pokładowe. Odchrząknął grzecznie.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku.

Korolew spojrział na niego z powagą. Pozwolił, by cisza przeciągała się.

– Jefremow – oświadczył wreszcie z powagą. – Nie jestem z was zadowolony.

Jefremow zaczerwienił się, ale wytrzymał spojrzenie.

– Porozmawiajmy szczerze, pułkowniku, jak Rosjanin z Rosjaninem. To, naturalnie, nie było przeznaczone dla was.

– Strach, Jefremow?

– Beta-karbolina, tak. Gdybyście nie okazali pobłażania ich aspołecznym zachowaniom i nie przyjęli łapówki, nic by się nie stało.

– Więc jestem alfonsem, Jefremow? Alfonsem i pijakiem? A wy jesteście rogaczem, szmuglerem i donosicielem. Mówię to – dodał – jak jeden Rosjanin do drugiego.

Twarz agenta KGB skryła się pod oficjalną maską tępej, ślepej pewności własnych racji.

– Ale powiedzcie mi, Jefremow, o co naprawdę wam chodzi. Co robiliście od przylotu do Kosmogradu? Wiemy, że kompleks zostanie opuszczony. Ale co czeka cywilnych członków załogi, kiedy wylądują na Bajkonurze? Oskarżenie o korupcję?

– Będą przesłuchiwani, naturalnie. W pewnych przypadkach nawet hospitalizowani. Czyżbyście chcieli zasugerować, towarzyszu Korolew, że Związek Radziecki jest w jakiś sposób odpowiedzialny za porażki Kosmogradu?

Korolew milczał.

– Kosmograd był marzeniem, towarzyszu pułkowniku. Marzeniem, które się nie spełniło. Jak kosmos. Po co mamy tu zostawać? Czekają na nas cały świat, który musimy uporządkować. Moskwa jest największym mocarstwem w historii. Musimy spojrzeć na wszystko z perspektywy globalnej.

– Myślicie, że tak łatwo pójdziemy w odstawkę? Jesteśmy elitą, znakomicie wyszkoloną elitą techniczną.

– Mniejszością, pułkowniku. Zdezaktualizowaną mniejszością. Czego właściwie dostarczacie, prócz stosów dekadentckiego amerykańskiego śmiecia? Tutejsza załoga miała się składać z robotników, nie spekulantów utuczonych na handlu pornografią i jazzem. – Twarz Jefremowa była spokojna i gładka. – Załoga wróci na Bajkonur. Bronią można kierować z Ziemi. Wy, naturalnie, zostaniecie. Będą też goście: kosmonauci z Afryki czy Południowej Ameryki. Dla tych ludzi przestrzeń zachowała jeszcze resztki dawnego prestiżu.

Korolew zgrzytnął zębami.

– Co zrobiliście z chłopakiem?

– Z tym waszym Hydraulikiem? – Oficer polityczny zmarszczył brwi. – Zaatakował przedstawiciela Komitetu Bezpieczeństwa Państwa. Pozostanie pod strażą do chwili, kiedy można go będzie odesłać na Bajkonur.

Korolew spróbował roześmiać się groźnie.

– Puście go. Sami będziecie mieli dość kłopotów, żeby myśleć o wysuwaniu oskarżeń. Osobiście porozmawiam z marszałkiem Gubarewem. Mój stopień jest może czysto honorowy, ale wciąż zachowałem pewne wpływy.

Jefremow wzruszył ramionami.

– Obsługa działa ma rozkazy z Bajkonuru, by trzymać moduł komunikacyjny pod kluczem. Od tego zależą ich kariery.

– Czyli stan wojenny?

– To nie Kabul, pułkowniku. Czasy są trudne. Jesteście tu autorytetem moralnym, powinniście dać przykład.

– Zobaczymy – mruknął Korolew.

* * *

Kosmograd wypłynął z cienia Ziemi w ostre światło Słońca i ściany Saluta zatrzeszczały i brzęknęły jak kosz szklanych butelek. W Salucie zawsze pierwsze puszczają iluminatory, myślał Korolew, z roztargnieniem przesuwając palec wzdłuż popękanych żył na skroni.

Ta sama myśl przyszła chyba do głowy młodemu Griszkinowi. Wyjął z kieszeni na łydce tubę silikonu i zaczął badać uszczelki wokół iluminatorów. Był asystentem i najbliższym przyjacielem Hydraulika.

– Teraz musimy głosować – oświadczył zmęczonym tonem Korolew.

Jedenastu z dwudziestu czterech cywilnych członków załogi zgodziło się przyjść na zebranie. Dwunastu, jeśli liczyć także jego. Pozostałych trzynastu albo nie chciało się mieszać, albo było otwarcie wrogo nastawionych do strajku. Z Jefremowem i szóstką artylerzystów było łącznie dwudziestu nieobecnych.

– Omówiliśmy nasze żądania. Wszyscy, którzy popierają listę, jaka została ustalona...

Podniósł zdrową rękę. Za nim jeszcze trzy osoby. Zajęty przy iluminatorze Griszkin wystawił do góry nogę.

Korolew westchnął.

– I tak jest nas mało. Lepiej uzgodnić to jednogłośnie. Wysłuchajmy waszych obiekcji.

– Określenie „areszt wojskowy” – odezwał się technik-biolog nazwiskiem Korowkin – może zostać zinterpretowane jako sugestia, że to nie przestępca Jefremow, ale armia jest odpowiedzialna za całą sytuację. – Mężczyzna sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego. – Popieramy was, ale nie podpiszemy. Należymy do Partii. – Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz zrezygnował.

– Moja matka – wtrąciła cicho jego żona – była Żydówką.

Korolew skinął głową, ale milczał.

– To kryminalna bezmyślność – oświadczył Głuszko, botanik. Ani on, ani jego żona nie głosowali. – Szaleństwo. Wszyscy wiemy, że Kosmograd jest skończony. Im szybciej w domu, tym lepiej. Czy to miejsce kiedykolwiek było czymś innym niż tylko więzieniem?

Nieważkość źle wpływała na jego metabolizm. Przy braku grawitacji krew zbiegała do twarzy i szyi, przez co przypominał jedną ze swoich doświadczalnych dyń.

– Jesteś botanikiem, Wasilij – przypomniała mu zimno żona. – A ja jestem pilotem Sojuza. Nie o twoją karierę tu chodzi.

– Nie będę popierał takich idiotyzmów. – Wściekły kopniak w gródź wyrzucił Głuszkę z kabiny.

Żona ruszyła za nim, skarżąc się zgrzytliwym tonem, jakiego używano tu zwykle w prywatnych kłótniach.

– Pięć osób zgodziło się podpisać – oznajmił Korolew. – Z załogi cywilnej liczącej dwudziestu czterech ludzi.

– Sześć – poprawiła Tatiana, drugi pilot Sojuza. Kasztanowe włosy zaczesła do tyłu i związała plecioną tasiemką z zielonej, nylonowej izolacji. – Zapominacie o Hydrauliku.

– Balony słoneczne! – krzyknął Griszkin, wskazując w stronę Ziemi. – Patrzcie!

Kosmograd leciał nad wybrzeżem Kalifornii: czyste linie brzegowe, intensywnie zielone pola, rozkładające się miasta, w których nazwach rozbrzmiewała niezwykła magia. Wysoko ponad wełną stratocumulusów płynęło pięć solarnych balonów, zwierciadlanych sfer geodezyjnych połączonych kablami energetycznymi. Były tańszym substytutem wspaniałego amerykańskiego planu budowy satelitów zasilanych energią słoneczną. Chyba działały, gdyż przez ostatnie dziesięciolecie Korolew widział ich coraz więcej.

– I oni twierdzą, że tam żyją ludzie?

Stojko, kontroler systemów, stanął obok Griszkina przy iluminatorze.

Korolew pamiętał żaloszny natłok dziwacznych amerykańskich planów rozwoju energetyki, ogłaszanych zaraz po Traktacie Wiedeńskim. Związek Radziecki ściśle kontrolował światowe rezerwy ropy i Amerykanie byli skłonni spróbować wszystkiego. Potem awaria w Kansas na stałe zniechęciła ich do reaktorów. Już ponad trzydzieści lat stopniowo zsuwali się w izolacjonizm i gospodarczą recesję.

Kosmos, pomyślał z żalem. Powinni wyjść w kosmos. Nigdy nie zrozumiał tego dziwnego paraliżu woli, jaki ogarnął ich nagle po błyskotliwych początkowych sukcesach. A może chodziło po prostu o klęskę wyobraźni, wizji? Widzicie, Amerykanie, powiedział bezgłośnie,

naprawdę powinniście spróbować przyłączyć się do nas, dzielić z nami wspaniałą przyszłość w Kosmogradzie.

– Kto by chciał w czymś takim mieszkać? – mruknął Stojko, klepiąc Griszkina w ramię i śmiejąc się z tą spokojną energią rozpaczy.

* * *

– Chyba żartujecie – stwierdził Jefremow. – I bez tego mamy dość kłopotów.

– Nie żartujemy, towarzyszu polityczny. Oto nasze żądania.

Piątka dysydentów przypierała Jefremowa do tylnej ściany Saluta, w którym mieszkał razem z Walentyną. Na grodzi wisiał pracowicie pokolorowany portret premiera, machającego ręką z siedzenia traktora. Walentyna, jak się domyślał Korolew, była teraz z Romanienką w muzeum. Znowu skrzypiały upręże. Pułkownik nie pojmował, w jaki sposób Romanienko mógł tak często unikać służby w więzy.

Jefremow wzruszył ramionami. Przejrzał listę żądań.

– Hydraulik musi pozostać w areszcie. Mam bezpośrednie rozkazy. Co do reszty tego dokumentu...

– Jesteście odpowiedzialni za bezprawne użycie środków psychotropowych! – wypalił Griszkin.

– To była sprawa osobista – odparł chłodno Jefremow.

– To przestępstwo – stwierdziła Tatiana.

– Towarzyszko pilocie, oboje wiemy, że obecny tu Griszkin jest na tej stacji najbardziej zuchwałym piratem samizdatów. Wszyscy jesteśmy przestępcami, nieprawdaż? Na tym polega całe piękno naszego systemu. – Niespodziewany uśmiezek był szokująco cyniczny. – Kosmograd to nie Potiomkin, a wy nie jesteście rewolucjonistami. Żądacie kontaktu z marszałkiem Gubarewem? Marszałek przebywa w areszcie na Bajkonurze. Żądacie kontaktu z ministrem techniki? Minister osobiście prowadzi czystkę.

Pogardliwym gestem podarł wydruk na kawałki. Strzępy żółtawego papieru rozsypały się w nieważkości jak latające w zwolnionym tempie motyle.

* * *

Dziewiątego dnia strajku Korolew spotkał się z Griszkinem i Stojką w Salucie, który Griszkin zwykle dzielił z Hydraulikiem.

Od czterdziestu lat mieszkańcy Kosmogradu toczyli antyseptyczną wojnę z pleśnią. Kurz, brud i pyły w stanie nieważkości nie osiadały, a zarodniki czaiły się wszędzie – w tapicerce, ubraniach, w przewodach wentylacyjnych. W ciepłej, wilgotnej atmosferze szalki Petriego rozrastały się jak plamy oleju na wodzie. W powietrzu unosił się odór zgnilizny, akcentowany powiewami palonej izolacji.

Korolewa obudził głuchy stuk startującego Sojuza. Pewnie Głuszko z żoną. Od czterdziestu ośmiu godzin Jefremow przeprowadzał ewakuację członków załogi, którzy nie przyłączyli się do strajku. Artylerzyści siedzieli w wieży i pierścieniu koszar, gdzie trzymali Hydraulika.

W Salucie Griszkina mieścił się sztab strajku. Mężczyźni przestali się golić, a Stojko zaraził się gronkowcem i teraz przedramiona znaczyły mu purpurowe, ciemne szramy. Wśród fotografii wyzywających pańienek z amerykańskiej telewizji buntownicy przypominali trio zdegenerowanych producentów pornografii. Panował półmrok – Kosmograd oszczędzał energię.

– Kiedy tamci odlecieli – stwierdził Stojko – nasza karta jest silniejsza.

Griszkin jęknął. Z nosa wisiały mu białe strzępy bandaża. Był przekonany, że Jefremow spróbuje złamać strajk rozpylaną aerozolem beta-karboliną. Te bawełniane filtry to kolejny dowód ogólnego stanu napięcia i paranoi. Zanim z Bajkonuru nadszedł rozkaz ewakuacji, jeden z techników zaczął na potwornym wzmocnieniu puszczać uverturę Roku 1812 Czajkowskiego, pod koniec już przez całe godziny bez przerwy. A Głuszko gonił swoją żonę, nagą, posiniaczoną i rozwrzeszczaną, wzdłuż i w poprzek Kosmogradu. Stojko uzyskał dostęp do akt KGB Jefremowa i rejestrów badań psychiatrycznych Byczkowa. Całe metry żółtych wydruków wiły się po korytarzach i falowały w podmuchu wentylatorów.

– Pomyślcie, jakie wrażenie wywrą na Ziemi ich zeznania – mruknął Griszkin. – Nie doczekamy się nawet procesu. Od razu do psychuszki.

Złowieszcza nazwa politycznych szpitali psychiatrycznych budziła w chłopcu straszliwe przerażenie. Korolew grzebał apatycznie w kleistym

budyniu z chlorelli.

Stojko złapał dryfującą wstęgę wydruku i przeczytał głośno:

– Paranoja z tendencją do przeceniania wartości idei! Rewizjonistyczne fantazje wrogie dla systemu socjalistycznego! – Zmiał kartkę. – Gdybyśmy przejęli moduł komunikacyjny, moglibyśmy połączyć się z amerykańskim komsatem i zrzucić im to wszystko na łeb. Pokazalibyśmy Moskwie odrobinę tej wrogości.

Korolew wydłubał z budynku muszkę owocową. Dwie pary skrzydełek i rozszczepiony tułów były niemyym świadectwem wysokiego poziomu radiacji w Kosmogradzie. Owady uciekły po jakimś dawno zapomnianym eksperymencie; ich kolejne pokolenia od dziesięcioleci mnożyły się na pokładzie stacji.

– Amerykanie się nami nie interesują – rzekł Korolew. – Takie rewelacje nie wzbudzą w Moskwie zakłopotania.

– Chyba że zbliżają się dostawy ziarna – wtrącił Griszkin.

– Ameryce tak samo zależy na sprzedaży, co nam na zakupie. – Korolew posępnie podniósł do ust kolejną łyżkę chlorelli, przeżuł mechanicznie i połknął. – Amerykanie nie mogą do nas dotrzeć, nawet gdyby chcieli. Canaveral leży w ruinach.

– Kończy nam się paliwo – zauważył Stojko.

– Możemy wziąć z pozostałych lądowników.

– I jak, do diabła, wrócimy na dół? – Pięści Griszkina drżały. – Nawet na Syberii są drzewa! Drzewa i niebo! Do diabła z tą stacją! Niech się rozleci! Niech spadnie i spłonie!

Budyń Korolewa chlapnął o gródź.

– Chryste! – burknął Griszkin. – Przepraszam, towarzyszu pułkowniku. Wiem, że nie możecie wrócić.

* * *

W muzeum znalazł Tatianę zawieszoną przed tym obrzydliwym obrazem przedstawiającym lądowanie na Marsie. Policzki miała mokre od łez.

– Wiecie, towarzyszu pułkowniku, że na Bajkonurze stoi wasze popiersie z brązu? Mijałam je w drodze na wykłady. – Oczy były czerwone z niewyspania.

– Zawsze są jakieś popiersia. Potrzebne do akademii. – Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

– Jak to było? – Wciąż patrzyła na obraz.

– Już prawie zapomniałem. Tak często oglądałem nagrania, że teraz pamiętam już tylko te filmy. Moje wspomnienia z Marsa są takie same, jak wyobrażenia każdego uczniaka. – Uśmiechnął się znowu. – Ale nie przypominało to tego fatalnego obrazu. Mimo wszystko, tego jestem pewien.

– Dlaczego tak się to ułożyło, towarzyszu pułkowniku? Dlaczego teraz się kończy? Kiedy byłam mała, widziałam to w telewizji. Nasza przyszłość w kosmosie miała trwać wiecznie...

– Może Amerykanie mieli rację. Japończycy wysyłali maszyny, roboty budujące orbitalne fabryki. Księżycowe kopalnie zawiodły, ale wierzyliśmy, że pozostanie przynajmniej jakaś stała placówka naukowa. Wszystko to ma chyba związek z funduszami. Z ludźmi, którzy siedzą przy biurkach i podejmują decyzje.

– Oto ich ostateczna decyzja w sprawie Kosmogradu. – Podała mu złożoną kartkę papieru. – Znalazłam to w wydruku rozkazów dla Jefremowa z Moskwy. W ciągu najbliższych trzech miesięcy pozwolą na destabilizację orbity.

Zauważył, że sam także wpatruje się nieruchomo w znienawidzony obraz. Usłyszał własny głos.

– To już właściwie bez znaczenia.

A wtedy rozplakała się gorzko, wtulając twarz w kalekie ramię Korolewa.

– Mam plan, Tatiano – szepnął, gładząc jej włosy. – Musisz mnie wysłuchać.

* * *

Spojrzał na starego Rolexa. Byli teraz nad wschodnią Syberią. Pamiętał, jak szwajcarski ambasador wręczał mu zegarek w wielkiej, łukowo sklepionej sali Pałacu Kremłowskiego.

Pora zaczynać.

Wyplłynął z Saluta do sfery cumowniczej. Odsuwał wstęgi wydruków, próbując oplątać mu głowę.

Nadal potrafił sprawnie i efektywnie używać zdrowej ręki. Z uśmiechem zdjął z zaczepów dużą butlę z tlenem. Opierając się o klamrę, z całej siły cisnął butlę przez sferę. Odbiła się, nie wyrządzając żadnej szkody, za to z głośnym brzękiem. Pogonił za nią, złapał i cisnął jeszcze raz.

Potem włączył alarm dekompresji.

Kurz uniósł się z głośników, gdy zawyły syreny. Ze zgrzytem hydrauliki zatrzasnęły się uruchomione alarmem luki bloków cumowniczych. Poczł ucisk w uszach. Ziewnął i ruszył za butlą.

Lampy rozbłysły maksymalną jasnością i zgasły. Uśmiechając się, szukał w ciemności stalowej butli. Stojko spowodował ogólną blokadę systemu. To nie było trudne – banki pamięci były już przeciążone do granic pojemności kradzionymi programami telewizyjnymi.

– Prawdziwa walka na gołe pięści – mruknął do siebie, waląc butlą o pancerz.

Lampy zamigotały słabo, gdy włączyły się baterie awaryjne.

Odczuwał ból w ramieniu. Ze stoickim spokojem łomotał dalej – pamiętał, ile hałasu robi prawdziwe przebicie.

Z jękiem obróciło się koło ręcznego otwierania na jednym z luków. Kłapa odskoczyła z chrzęstem i do sfery zajrzała uśmiechnięta nieśmiało Tatiana.

– Uwolnili Hydraulika? – zapytał, wypuszczając butlę.

– Stojko i Umański przekonują strażnika. – Uderzyła pięścią w otwartą dłoń. – Griszkin szykuje lądowiki.

Podążył za nią do sąsiedniej sfery cumowniczej. Stojko pomagał Hydraulikowi wydostać się z luku prowadzącego do pierścienia koszar. Hydraulik był boso, a jego twarz pod gęstym zarostem miała ziemisty odcień. Za nimi wynurzył się meteorolog Umański, ciągnąc bezwładne ciało żołnierza.

– Jak się czujecie? – zapytał Hydraulika Korolew.

– Trochę jestem roztrzęsiony. Trzymali mnie na Strachu. Niewielkie dawki, ale... i myślałem, że to prawdziwe przebicie!

Griszkin wyplłynął z najbliższego Sojuza. Ciągnął za sobą zawiniątko z narzędziami i kilka metrów nylonowej liny.

– Wszystkie sprawdzone. Blokada systemu uruchomiła ich własną automatykę. Przeleciałem ze śrubokrętem moduły zdalnego sterowania, więc z Ziemi nie można już nimi kierować. Jak leci, Nikita? – zwrócił się do Hydraulika. – Za chwilę stromym torem zejdziesz do centralnych Chin.

Hydraulik skrzywił się i otrząsnął.

– Nie znam chińskiego.

Stojko podał mu wydruk.

– To fonetyczny zapis dialektu mandaryńskiego. CHCĘ PROSIĆ O AZYL. ZAPROWADŹCIE MNIE DO NAJBLIŻSZEGO KONSULATU JAPONII.

Hydraulik uśmiechnął się i przeczesał palcami strzechę sztywnych od potu włosów.

– A co z wami? – zapytał.

– Sądzisz, że robimy to tylko dla ciebie? – Tatiana wykrzywiła się złośliwie. – Nie zapominaj, że chińska prasa ma dostać całą resztę tego tekstu. Każdy z nas bierze ze sobą kopię. Dopilnujemy, by świat się dowiedział, co Związek Radziecki zaplanował dla pułkownika Jurija Wasiliewicza Korolewa, pierwszego człowieka na Marsie! – Posłała Hydraulikowi całusa.

– Co zrobić z Filipczenką? – wtrącił Umański.

Obok policzka nieprzytomnego żołnierza przeleciało kilka ciemnych kul zakrzepłej krwi.

– Może weźcie tego biedaka ze sobą – zaproponował Korolew.

– No to chodźmy, ty przygłupie – mruknął Hydraulik, chwycił Filipczenkę za pas i pohołował w stronę luku Sojuza. – Zrobię ci największą przysługę w całym twoim parszywym życiu.

Korolew obserwował, jak Stojko i Griszkin uszczelniają za nimi właz.

– Gdzie są Romanienko i Walentyna? – zapytał, raz jeszcze patrząc na zegarek.

– Tutaj, pułkowniku – odpowiedziała Walentyna z luku sąsiedniego ładownika. Jasne włosy pływały jej wokół twarzy. – Sprawdzaliśmy tego Sojuza. – Zachichotała.

– W Tokio będziecie mieli dość czasu na takie zabawy – warknął Korolew. – Za parę minut poderwą myśliwce z Władywostoku i Hanoi.

Nagie, śniade ramię Romanienki wynurzyło się z luku i wciągnęło Walentynę do wnętrza. Stojko i Griszkin zatrzasnęli właz.

– Wieśniacy w kosmosie – prychnęła pogardliwie Tatiana.

Kosmograd zadźwiewał głucho, gdy wystartował Hydraulik z nieprzytomnym Filipczenką. Kolejny huk i kochankowie odlecieli także.

– Chodźmy, przyjacielu Umański – zawołał Stojko. – Powodzenia, pułkowniku!

Obaj mężczyźni odeszli korytarzem.

– Polecę z tobą – zaproponował Griszkin Tatianie. Wyszczrzył zęby. – W końcu, jesteś pilotem.

– Nie – odparła. – Osobno. Zmniejszymy ryzyko. Z autopilotem nic ci nie grozi. Po prostu niczego tam nie dotykaj.

Korolew przyglądał się, jak pomaga mu wsiąść do ostatniego Sojuza tej sfery.

– Zapraszam cię na tańce, Tatiano – rzucił Griszkin. – W Tokio.

Zatrzasnęła właz. Znowu huk – to Stojko z Umańskim oderwali się od sąsiedniej sfery cumowniczej.

– Idź już, Tatiano – ponaglił Korolew. – Śpiesz się. Nie chciałbym, żeby was zestrzelili nad wodami międzynarodowymi.

– Zostaniecie tu sami, towarzyszu pułkowniku. Sami z naszymi nieprzyjaciółmi.

– Kiedy wy odleciecie, oni odlecą także – uspokoił ją. – Mój los zależy tylko od waszej kampanii prasowej. Może Kreml poczuje się zakłopotany i zdecyduje, by utrzymać mnie tu przy życiu.

– A co mam powiedzieć w Tokio, pułkowniku? Czy macie jakąś wiadomość dla świata?

– Powiedz im... – Wszystkie banały napłynęły do mózgu, tak absolutnie słuszne, że z trudem powstrzymał histeryczny śmiech: *Mały krok człowieka... Przybывamy w pokoju... Proletariusze wszystkich krajów...* – Musisz im powiedzieć, że potrzebuję tego. – Uszczypnął się w suchy nadgarstek. – Aż do szpiku kości.

Uścisnęła go i wybiegła.

* * *

Czekał samotnie w sferze cumowniczej. Cisza szarpała mu nerwy; blokada systemu unieruchomiła układ wentylacji, którego szum towarzyszył

mu przez ostatnie dwadzieścia lat. Wreszcie usłyszał, jak wyczepia się Sojuz Tatiany.

Ktoś nadchodził korytarzem – Jefremow, kroczący niezgrabnie w skafandrze próżniowym. Korolew uśmiechnął się.

Ukryta za płytą lexanu twarz Jefremowa miała oficjalny, zimny wyraz. Unikał spojrzenia Korolewa. Szedł do wieży.

– Nie! – krzyknął Korolew.

Syrena ryknęła sygnałem alarmu bojowego.

Luk wieży otworzył się, nim Jefremow tam dotarł. Żołnierze poruszali się wewnątrz jak roboty, z odruchami wpojonymi przez bezustanną musztrę. Zatrzaszkiwali na piersiach pękatych skafandrów klamry szerokich pasów foteli.

– Nie rób tego! – Szarpał sztywną, składaną w harmonijkę tkaninę skafandra Jefremowa.

Jeden z akceleratorów ruszył z coraz głośniejszym wyciem. Dwie krzyżujące się zielone linie na ekranie celowniczym odnalazły czerwony punkt.

Jefremow zdjął hełm. Spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy, odepchnął Korolewa.

– Każ im przerwać! – szlochał Korolew. Ściany zadrżały, gdy z dźwiękiem jak trzaśnięcie bata wystrzelił strumień cząstek. – Twoja żona, Jefremow! Ona też tam jest!

– Proszę wyjść, pułkowniku. – Jefremow chwycił artretyczną dłoń i ścisnął mocno. Korolew wrzasnął. – Wyjść! – Pięść w rękawicy uderzyła go w pierś.

Wypychany na korytarz, bezradnie okładał pięściami próżniowy skafander.

– Nawet ja, pułkowniku, nie ośmielę się stanąć pomiędzy Armią Czerwoną a jej rozkazami. – Jefremow wyglądał teraz jak obłąkany. Maską spokoju opadła. – Niezła zabawa – powiedział. – Czekaście tutaj, aż się skończy.

I wtedy w instalacje promiennika uderzył Sojuz Tatiany. Koszary zadźwięczały. W świetle trwającego ułamek sekundy dagerotypu otwartego słońca Korolew zobaczył, jak wieża marszczy się niby zgnieciona butem puszka po piwie; zobaczył odpływający znad konsoli bezgłowy tors żołnierza; zobaczył, że Jefremow próbuje coś powiedzieć,

a włosy stają mu dęba, szarpane powietrzem wysysanym ze skafandra przez pierścień mocowania hełmu. Dwie cienkie strużki krwi wypłynęły z nozdrzy Korolewa, ryk uciekającego powietrza ucichł zagłuszony dużo głośniejszym rykiem w jego głowie.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był huk zatrzaskiwanego włazu.

Obudził się wśród ciemności, wśród pulsującego bólu za oczami. Pamiętał dawne wykłady. To niebezpieczeństwo było równie groźne jak samo przebicie; azot krążył we krwi, by zaatakować rozpalonym do białości, kaleczącym bólem...

Problem jednak był nieistotny, właściwie całkiem akademicki. Korolew kręcił kołami luków jedynie z powodu dziwnego poczucia *noblesse oblige*, nic więcej. Praca była ciężka; pragnął tylko wrócić do muzeum i zasnąć.

* * *

Przeciaki mógł zalać uszczelniaczem, ale blokada systemu przekraczała jego możliwości. Miał ogród Głuszki. Z warzywami i algami nie będzie głodował i nie udusi się. Moduł komunikacyjny zniknął wraz z wieżą i pierścieniem koszar, odcięty samobójczym atakiem Sojuza Tatiany. Przypuszczał, że wstrząs zakłócił orbitę Kosmogradu, lecz nie miał pojęcia, kiedy nastąpi płomienne spotkanie stacji z górnymi warstwami atmosfery. Czuł się fatalnie i zaczynał odczuwać lęk, że umrze przed spaleniem. To go niepokoiło.

Spędził niezliczone godziny, przeglądając muzealną bibliotekę taśm. Właściwe zajęcie dla Ostatniego Człowieka w Kosmosie, który był kiedyś Pierwszym Człowiekiem na Marsie.

Obsesyjnie interesował się Gagarinem. Bez końca odtwarzał ziarniste obrazy telewizyjne z lat sześćdziesiątych, kroniki obojętnie relacjonujące fakty aż do samej śmierci kosmonauty. W stęchłym powietrzu Kosmogradu unosiły się duchy męczenników: Gagarin, załoga pierwszego Saluta, Amerykanie upieczeni żywcem w swoim krępym Apollu...

Często śnił o Tatianie, spoglądającej dokładnie tak, jak portrety w muzeum. A raz przebudził się, czy może śnił, że się przebudził, w Salucie, gdzie zawsze sypiała, ubrany w swój stary mundur, z umocowanym do czoła reflektorem bateryjnym. Z wielkiej odległości –

jak gdyby oglądał kronikę na monitorze w muzeum – widział siebie, jak odrywa z klapy Gwiazdę Orderu Ciołkowskiego i przypina do jej licencji pilota.

Kiedy usłyszał pukanie, wiedział, że musi to być element snu.

Otworzyła się kłapa wjazdu.

W niebieskawym, migotliwym blasku starego filmu Korolew dostrzegł, że kobieta jest czarna. Długie loki splecionych włosów wiły się jak kobry wokół jej głowy. Nosila gogle i długi jedwabny szalik, pływający w nieważkości.

– Andy! – zawołała po angielsku. – Chodź tu i popatrz!

Niewysoki, muskularny mężczyzna, prawie łysy, ubrany jedynie w jednoczęściowy kostium, jak do zapasów, i pobrzękujący pas z narzędziami, wypłynął zza jej pleców i zajrzał przez wjazd.

– On żyje?

– Oczywiście, że żyję – odparł Korolew, lekko akcentując angielski.

Mężczyzna imieniem Andy przepłynął nad kobietą.

– Co z tobą, chłopie? – Na prawym bicepsie miał wytautowany geodezyjny balon nad dwiema skrzyżowanymi błyskawicami i napisem SŁONECZNA ISKRA 15, UTAH. – Nikogo się nie spodziewaliśmy.

– Ja też nie. – Korolew zamrugnął niepewnie.

– Przyszliśmy, żeby tu zamieszkać. – Kobieta podpłynęła bliżej.

– Jesteśmy z balonów. Na włam, można by powiedzieć. Słyszeliśmy, że nikogo tu nie ma. Wiesz, że to draństwo jest na trajektorii opadającej? – Mężczyzna wykonał powolne salto. Brzęknęły narzędzia u pasa. – Ta nieważkość jest straszna.

– Boże – westchnęła kobieta. – Nie mogę się do niej przyzwyczaić! Ale jest cudowna. Jak skoki spadochronowe, tylko że bez wiatru.

Korolew przyglądał się mężczyźnie; zachowywał się niedbale, jak ktoś od samego urodzenia pijany wolnością.

– Przecież nie macie nawet stanowisk startowych – powiedział.

– Startowych? – Mężczyzna roześmiał się. – Załatwiamy to inaczej. Na kablach wciągamy do balonów te stare silniki rakietowe, odrzucamy je i odpalamy w powietrzu.

– To szaleństwo – stwierdził Korolew.

– Jakoś dolecieliśmy, nie?

Korolew pokiwał głową. Jeśli to był sen, to rzeczywiście niezwykły.

– Jestem pułkownik Jurij Wasiliewcz Korolew.
– Mars! – Kobieta klasnęła w dłonie. – Jak się dzieciaki dowiedzą...
Zaczęła nakręcać zdjęty z grodzi model Łunochoda.
– Dobra – stwierdził mężczyzna. – Robota czeka. Mamy na zewnątrz cały stos dopalaczy. Musimy podnieść to bydłę, zanim zaczną się palić.
Pancerz Kosmogradu zadzwonił od uderzenia.
– To pewnie Tulsa. – Andy spojrzął na zegarek. – Dokładnie o czasie.
– Ale dlaczego? – Korolew pokręcił głową. Niczego nie pojmował. – Po co przylecieliście?
– Powiedziałem przecież. Żeby tu zamieszkać. Możemy powiększyć stację, kiedyś może nawet zbudować następne. Mówili, że nigdy nam się nie uda żyć w balonach, ale to tylko dzięki nam działały. To była nasza szansa na niezależność. Kto by tu siedział dla jakiegoś rządu, jakichś zadufanych generałów albo urzędników? Człowiek musi chcieć tego pogranicza, pragnąć go do szpiku kości. Zgadza się?
Korolew uśmiechnął się. Andy wyszczerzył zęby.
– Złapaliśmy te kable energetyczne i zwyczajnie podciągnęliśmy się na samą górę. A kiedy już staniesz na szczycie, chłopie, to albo robisz ten skok, albo tam gnijesz. – Podniósł głos. – I nie ma co oglądać się za siebie! O nie! Zrobiliśmy ten skok i już tu zostaniemy!
Kobieta przytknęła do wklęsłej ściany rzepowe kółka modelu. Brzęcząc wesoło, Łunochod potoczył się ponad ich głowami.
– Jaki słodki! Dzieciaki będą zachwycone.
Korolew patrzył w oczy Andy'ego. Kosmograd zadzwonił znowu, przerzucając mały Łunochod na nowy kurs.
– East Los Angeles – wyjaśniła kobieta. – To ten, na którym są dzieciaki.
Zdjęła gogle. Korolew zobaczył jej oczy pełne cudownego szaleństwa.
– Dobra – rzekł Andy, pobrzękując narzędziami u pasa. – Nie miałbyś ochoty nas po tym oprowadzić?

hotel new rose

Pięć wynajętych nocy w tej skrzyni, Sandii. Hotel New Rose. Tak bardzo cię pragnę. A czasem uderzam. Odtwarzam to tak wolno, słodko i bezlitośnie, że niemal to czuję. Czasem wyjmuję z torby twój mały pistolecik i przesuвам palcem po tanim, gładkim chromie. Chiński .22, z otworem lufy tak wąskim, jak źrenice twoich oczu, które zniknęły.

Fox nie żyje, Sandii.

Fox powiedział, żebym o tobie zapomniał.

* * *

Pamiętam Foxa pochylonego nad wyściełanym barem w mrocznym holu singapurskiego hotelu przy Bencoolen Street. I jego ręce, rysujące sfery wpływów, wewnętrzne współzawodnictwa, łuk czyjejś kariery, słaby punkt znaleziony w pancerzu jakiegoś think tanku. Fox był dowódcą w wojnie o czaszki, pośrednikiem w przejściach między korporacjami. Żołnierzem w tajnych potyczkach zaibatsu, wielonarodowych koncernów, kontrolujących gospodarki całych państw.

Widzę, jak Fox się uśmiecha, mówi szybko, machnięciem ręki zbywa moje sugestie międzykorporacyjnego szpiegostwa. Szczyt, powiada. Musimy szukać Szczytu – wyraźnie słyszę duże S. Szczyt to graal Foxa, kluczowy ułamek ludzkiego talentu, niemożliwy do przekazania, zamknięty w czaszkach najostrzejszych naukowców świata.

Nie zapiszesz Szczytu na papierze, mówi Fox, nie wstukasz go na dysk.

Pieniądze tkwią w ucieczkach z korporacji do korporacji.

Fox był gładki; chłopięcy kosmyk włosów, który nie chciał pozostać na miejscu, przełamywał surowość ciemnego, francuskiego garnituru. Nigdy nie lubiłem chwili, gdy psuł cały efekt, odchodząc od baru, z lewym ramieniem tak opuszczonym, że żaden paryski krawiec nie potrafił tego zamaskować. Ktoś w Bernie przejechał po nim taksówką i nikt dokładnie nie wiedział, jak go poskładać z powrotem.

Poszedłem za nim chyba dlatego, że szukał tego Szczytu.

I gdzieś po drodze do Szczytu spotkałem ciebie, Sandii.

* * *

Hotel New Rose to rusztowanie skrzyń na zaśmieconych obrzeżach Narita International. Plastikowe kapsuły wysokie na metr i długie na trzy, ułożone jak zapasowe zęby Godzilli na betonowym placu przy głównej trasie do lotniska. Każda kapsuła ma telewizor wmontowany gładko w sufit. Całymi dniami oglądam japońskie programy rozrywkowe i stare filmy. Czasami trzymam w dłoni twój pistolet.

Czasami słyszę samoloty, wplątane we wzorce korytarzy Narity. Zamykam oczy i wyobrażam sobie ostre białe smugi blednące wolno i tracące kontury.

Zobaczyłem cię po raz pierwszy, gdy weszłaś do baru w Jokohamie. Euroazjatka, na wpół gaijin, o długich nogach i płynnych ruchach, w chińskiej podróbce oryginału z kolekcji jakiegoś tokijskiego projektanta. Ciemne europejskie oczy i azjatyckie kości policzkowe. Pamiętam, jak później, w hotelowym pokoju, grzebałaś w kosmetykach i wyrzuciłaś na łóżko zawartość torebki. Pognieciony plik nowych jenów, wystrzępiony i opleciony gumką notesik z adresami, chip banku Mitsubishi, japoński paszport ze złotą chryzantemą na okładce i chiński .22.

Opowiedziałaś mi o sobie. Ojciec był urzędnikiem w Tokio, lecz okrył się hańbą i został zwolniony, wyrzucony przez Hosakę, najpotężniejsze ze wszystkich zaibatsu. Tamtej nocy twoja matka była Holenderką. Słuchałem, jak malujesz dla mnie te letnie dni w Amsterdamie, gołębie na placu Dam niby miękki brązowy dywan.

Nie pytałem, czym ojciec zasłużył sobie na hańbę. Obserwowałem twoją sukienkę, podziwiałem pasma ciemnych, prostych włosów; patrzyłem, jak rozcinają powietrze.

Teraz Hosaka poluje na mnie.

* * *

Skrzynie New Rose leżą na ramie budowlanego rusztowania, kratownicy stalowych rur pokrytych jaskrawą emalią. Farba odchodzi, gdy wspinam

się po drabinie, odpada przy każdym kroku po pomoście. Lewą ręką liczę klapy skrzyń, dotykam wielojęzycznych naklejek, informujących o karach za zgubienie klucza.

Podnoszę głowę, gdy z Narity startują odrzutowce. Droga do domu, nieosiągalnego teraz jak księżyc.

Fox szybko pojął, jak może cię wykorzystać. Nie był dość mądry, by dostrzec twoje ambicje. Ale przecież nie leżał z tobą nocą na plaży w Kamakura, nigdy nie wysłuchiwał opowieści o koszmarach, nie słyszał, jak pod gwiazdami zmienia się i wywraca całe wyimaginowane dzieciństwo, a ty otwierasz wąskie usta, by odkryć nową przeszłość. Zawsze tę, która – przysięgasz – jest wreszcie i ostatecznie prawdziwa.

Nie obchodziło mnie to, kiedy obejmowałem twoje biodra, a piasek stygł na skórze.

Raz zostawiłaś mnie, pobiegłaś z powrotem na plażę, mówiąc, że zapomniałaś klucza. Znalazłem go w drzwiach i poszedłem za tobą. Stałaś po kostki w wodzie, sztywna, wpatrzona w horyzont. Nie mogłaś mówić. Drżąca. Nieobecna. Szukająca innych przyszłości i lepszych przeszłości.

Sandii, zostawiłaś mnie tutaj.

I zostawiłaś wszystkie swoje rzeczy.

Ten pistolet. Kosmetyki, wszystkie cienie i róże w plastikowych pudełkach. Mikrokomputer Craya, prezent od Focha, z listą zakupów, którą zdążyłaś wprowadzić. Czasem odtwarzam ją, patrząc na kolejne punkty, przesuujące się po srebrnym ekranie.

Zamrażarka. Układ fermentacyjny. Inkubator. System elektroforezy ze zintegrowaną komorą agarową i transiluminatorem. Osadacz tkanki. Wysokoczulý chromatograf cieczowy. Cytometr przepływowy. Spektrofotometr. Cztery setki borosilikatowych płytek scyntylacyjnych. Mikrowirówka. I jeden syntetyzer DNA z wbudowanym komputerem. Plus oprogramowanie.

Drogie zabawki, Sandii, ale przecież Hosaka płacił nasze rachunki. Później kazałaś mu zapłacić jeszcze więcej, ale wtedy już cię nie było.

Hiroshi przygotował dla ciebie tę listę. Pewnie w łóżku. Hiroshi Yomiuri. Miał go Maas Biolabs GmbH. Chciał przejąć Hosakę.

Był ostry. Sam Szczyt, i to na pewniaka. Fox podążał za inżynierami genetycznymi tak, jak prawdziwy fan biega za zawodnikami ukochanego

klubu. Fox chciał Hiroshiego tak bardzo, że nie mógł myśleć o niczym innym.

* * *

Zanim jeszcze się zjawiłaś, trzy razy wysłał mnie do Frankfurtu tylko po to, żeby się przyjrzeć Hiroshiemu. Nie zbliżać się, nawet żeby mrugnąć do niego albo skinąć głową. Tylko patrzeć.

Hiroshi okazywał wszelkie oznaki stabilizacji. Znalazł niemiecką dziewczynę, lubiącą konserwatywną ciemną zielen i jeździeckie buty wypucowane do barwy świeżych kasztanów. Kupił odnowiony dom w odpowiedniej dzielnicy. Zajął się szermierką i zarzucił kendo.

I wszędzie obstawa Maasa, liczne i sprawne grupy, gęsty, czysty syrop nadzoru. Wróciłem i powiedziałem Foxowi, że nigdy go nie ruszymy.

Ty go dla nas ruszyłaś, Sandii. Ruszyłaś idealnie.

Nasze kontakty u Hosaki przypominały wyspecjalizowane komórki, chroniące organizm macierzysty. My byliśmy mutagenami, Fox i ja, niepewni agenci dryfujący w mrocznych wodach międzykorporacyjnego morza.

Kiedy mieliśmy cię już w odpowiednim miejscu, w Wiedniu, zaproponowaliśmy im Hiroshiego. Nawet nie mrugnęli. Martwa cisza w hotelowym pokoju w L.A. Powiedzieli, że muszą to przemyśleć.

Fox wymienił nazwę głównego konkurenta Hosaki w genetycznej rozgrywce. Rzucił ją wprost, łamiąc protokół zakazujący używania prawdziwych imion.

Muszą to przemyśleć, powiedzieli.

Fox dał im trzy dni.

Tydzień przed wyjazdem do Wiednia zabrałem cię do Barcelony. Pamiętam twoje włosy zwinięte pod szarym beretem, i odbicie wysokich, mongolskich kości policzkowych w oknach wystawowych starych sklepików. Szliśmy Ramblas do fenickiego portu, pod szklanym dachem Mercado, gdzie sprzedawali afrykańskie pomarańcze.

Stary Ritz, ciepły pokój, mrok, ciężar Europy naciągnięty na nas jak pled. Mogłem wejść w ciebie, gdy spałaś. Zawsze byłaś gotowa. Twoje wargi ułożone w zaskoczone O, twarz wtulona w grubą białą poduszkę –

archaiczna pościel Ritza. Wewnątrz ciebie wyobrażałem sobie wszystkie neony i tłumy kłębiące się wokół stacji Shinjuku, gorącą, elektryzującą noc. Poruszałaś się w tym rytmie, pulsie nowej ery, senna i wolna od jakiegokolwiek ojczyzny.

W Wiedniu wynająłem ci pokój w ulubionym hotelu żony Hiroshiego. Spokojny i solidny, hol wyłożony kafelkami jak marmurowa szachownica, mosiężne windy pachnące cytrynowym olejkiem i dymem cygar. Łatwo było ją sobie wyobrazić w takim miejscu, zobaczyć błyski na jeździeckich butach odbijane przez wypolerowany marmur. Wiedzieliśmy, że tym razem jej nie będzie.

Wyjechała do jakiegoś uzdrowiska nad Renem, a Hiroshi przybył do Wiednia na konferencję. Kiedy ochrona Maasa skanowała hotel, ty zniknęłaś z pola widzenia.

Hiroshi zjawił się godzinę później. Sam.

Wyobraź sobie obcego, powiedział kiedyś Fox, który przyleciał, by zidentyfikować dominującą formę inteligentnego życia na planecie. Obcy rozgląda się i decyduje. Jak myślisz, co wybierze? Chyba wzruszyłem ramionami.

Zaibatsu, stwierdził Fox. Wielonarodowe koncerny. Krwią zaibatsu jest informacja, nie ludzie. Struktura nie zależy od osobistych losów, które się na nią składają. Korporacja jest formą życia.

Tylko nie rób mi znowu wykładu o Szczycie, powiedziałem.

Maas taki nie jest, odparł, ignorując moje słowa.

Maas był niewielki, ostry, bez skrupułów. Atawizm. Sam Szczyt.

Pamiętam, jak Fox wyjaśniał istotę Szczytu Hiroshiego. Radioaktywne jądra, antyciała monoklonalne, jakieś związki protein, nukleotydy... Gorące, nazwał je Fox. Gorące proteiny. Szybkie wiązania. Hiroshi był wyjątkowy; był jednym z ludzi, którzy roztrzaskują paradygmaty, odkrywają nowe działy nauki, doprowadzają do nagłej rewizji całej wiedzy. Patenty w badaniach podstawowych, szepnął z gardłem zaciśniętym od myśli o bogactwie, od lekkiego zapachu wolnych od podatku milionów, jakie wiązały się z tymi trzema słowami.

Hosaka chciał Hiroshiego, choć jego Szczyt był dostatecznie radykalny, by budzić obawy. Dlatego miał pracować samotnie.

Poleciałem do Marrakeszu, do starego miasta, Medyny. Znalazłem laboratorium przestawione z heroiny na ekstrakcję feromonów. Kupiłem

je za pieniądze Hosaki.

Szedłem potem ze spoconym portugalskim handlowcem przez rynek na placu Dżemaa-el-Fna. Omawialiśmy fluorescencyjne oświetlenie i montaż wentylowanych klatek dla zwierząt laboratoryjnych. Za murami miasta wyrastał Atlas. Dżemaa-el-Fna roił się od akrobatów, tancerzy, bazarzy, małych chłopców obracających stopami garncarskie koła i beznogich żebraków z drewnianymi miskami pod ruchomymi hologramami reklam francuskiego oprogramowania.

Mijaliśmy bele samodiała i plastikowe pojemniki chińskich mikrochipów. Wspomniałem, że moi pracodawcy planują produkcję syntetycznej beta-endorfiny. Zawsze należy podawać im taką wersję, którą potrafią zrozumieć.

Sandii, pamiętam cię w Harajuku. Czasami. Zamykam oczy w tej skrzyni i widzę cię. Lśniący kryształowy labirynt butików i zapach nowych ubrań. Widzę twoje policzki w chromowanych stojakach z paryskimi skórami. Czasami trzymam cię za rękę.

Myśleliśmy, że znaleźliśmy cię, Sandii, ale w rzeczywistości to ty nas znalazłaś. Teraz wiem, że nas szukałaś, nas albo kogoś do nas podobnego. Fox był zachwycony: cudowne, nowe narzędzie, błyszczące jak skalpel. W sam raz, żeby odciąć oporny Szczyt, taki jak Hiroshi, od zazdrosnego organizmu macierzystego Maas Biolabs.

Musiałaś szukać długo. Badałaś drogi dojścia przez wszystkie te noce w Shinjuku. Noce, które starannie usunęłaś spomiędzy rozrzuconych kart twojej przeszłości.

Moja przeszłość nie istniała od lat, utonęła bez śladu. Dobrze rozumiałem Foxa i jego zwyczaj, by późną nocą wyrzucać zawartość portfela i przebierać w tożsamościach. Układał klocki w rozmaite wzory, przemieszczał, czekając, aż wyłoni się obraz. Wiedziałem, czego szuka. Ty robiłaś to samo ze swymi dzieciństwami.

Dzisiaj, w New Rose, wybieram z talii twych przeszłości.

Zdecydowałem się na pierwszą wersję, słynny tekst z hotelu w Jokohamie, wyrecytowany podczas pierwszej wspólnej nocy. Wybrałem pohańbionego ojca, urzędnika u Hosaki. Hosaka. Czysta perfekcja. I matkę z Holandii, lato w Amsterdamie i miękki dywan gołębi na placu Dam.

Z żaru Marrakeszu wszedłem w klimatyzację Hiltona. Wilgotna koszula kleiła się do pleców, gdy czytałem wiadomość, którą przekazałaś przez

Foxa. Szło ci znakomicie; Hiroshi miał rzucić żonę. Kontakt z nami nie sprawiał trudności, nawet poprzez szczelną błonę ochrony Maasa: pokazałaś Hiroshiemu śliczny mały lokalik, idealny na kawę i kipferl. Twój zaprzyjaźniony kelner był siwy, bardzo miły, trochę utykał i pracował dla nas. Zostawiałaś informacje pod lnianą serwetką.

Dzisiaj przez cały dzień obserwowałem, jak niewielki śmigłowiec kreśli ciasną sieć nad moją krainą, ziemią mego wygnania, hotelem New Rose. Patrzyłem spod kłapy wejścia na jego cierpliwy cień, płynący po brudnym od smaru betonie. Blisko. Bardzo blisko.

Z Marrakeszu odleciałem do Berlina. Spotkałem się w barze z pewnym Walijczykiem i zacząłem ustalać szczegóły zniknięcia Hiroshiego.

Sprawa miała być skomplikowana, precyzyjna jak mosiężne tryby i ruchome lustro w wiktoriańskim teatrze magii, lecz pożądany efekt raczej prosty. Hiroshi stanie za wodorowym mercedesem i zniknie. Kilkunastu śledzących go bez przerwy agentów Maasa zacznie biegać dookoła furgonetki niby zaalarmowane mrówki. Ich aparat bezpieczeństwa Maasa jak epoksyd stwardnieje wokół punkt odlotu.

W Berlinie potrafią robić takie rzeczy. Potrafili nawet zorganizować mi ostatnią noc przy tobie. Ukryłem to przed Foxem; mógłby się nie zgodzić. Teraz nie pamiętam nawet, jak nazywało się to miasteczko. Pamiętałem przez godzinę na autostradzie, pod szarym jak Ren niebem, i zapomniałem w twoich ramionach.

Deszcz zaczął padać przed świtem. Nasz pokój miał pojedyncze okno, wysokie i wąskie. Stałem w nim i patrzyłem, jak krople pokrywają rzekę futrem srebrnych igieł. Głos twojego oddechu. Rzeka płynęła pod niskimi kamiennymi łukami. Pusta ulica. Europa była martwym muzeum.

Zarezerwowałem ci już lot z Orly do Marrakeszu. Na twoje najnowsze nazwisko. Będziesz w drodze, gdy pociągnę ostatnią nitkę i Hiroshi zniknie z oczu świata.

Położyłaś torebkę na ciemnym antycznym biurku. Kiedy spałaś, przejrzałem twoje rzeczy, usuwając wszystko, co nie pasowało do nowej legendy, którą kupiłem dla ciebie w Berlinie. Wyjąłem chiński .22, mikrokomputer, chip bankowy. Włożyłem nowy, holenderski paszport i chip szwajcarskiego banku.

Moje palce dotknęły czegoś płaskiego. Wyciągnąłem to, podniosłem: dyskietka. Bez opisu.

Leżała mi na dłoni, cała ta śmierć. Utajona, zakodowana, wyczekująca.

Stałem tam i patrzyłem, jak oddychasz, jak wznoszą się i opadają twoje piersi. Wargi miałaś lekko rozchylone, a dolna, pełna i nieco wysunięta, niosła najdelikatniejszą sugestię stłuczenia.

Wsunąłem dyskietkę do torebki. Kiedy leżałem obok ciebie, przytuliłaś się obudzona. W twoim oddechu istniały wszystkie elektryzujące noce nowej Azji, przyszłość rosnąca w tobie jak świetlisty płyn, splukujący ze mnie wszystko prócz trwającej chwili. To były twoje czary: żyłaś poza historią, cała w terażniejszości.

Wiedziałaś, jak mnie tam zabrać.

I zabrałaś, po raz ostatni.

Goląc się, słyszałem, jak wysypujesz do mojej torby kosmetyki. Jestem teraz Holenderką, powiedziałaś. Potrzebuję nowego wyglądu.

* * *

Doktor Hiroshi zaginął w Wiedniu, na spokojnej uliczce Singerstrasse, dwie przecznice od ulubionego hotelu swojej żony. W jasne październikowe popołudnie, w obecności tuzina doświadczonych obserwatorów, dr Yomiuri Hiroshi zniknął.

Przeszedł na drugą stronę lustra. Gdzieś w tle szumiał dobrze naoliwiony wiktoriański mechanizm.

W hotelowym pokoju w Genewie odebrałem telefon od Walijczyka. Robota wykonana, Hiroshi wpadł w króliczą norę i zmierza do Marrakeszu. Nalałem dobre drinka i myślałem o twoich nogach.

Następnego dnia, w małym barku, gdzie podawali sushi, w terminalu JAL na Naricie, spotkałem Foxa. Zmęczony i tryumfujący, wysiadł właśnie z odrzutowca Air Maroc.

Kocha to miejsce, oświadczył, myśląc o Hiroshim. Ją też kocha, dodał, myśląc o tobie.

Uśmiechnąłem się. Za miesiąc obiecałaś spotkać się ze mną w Shinjuku.

Twój tani pistolecik w hotelu New Rose. Chrom zaczyna się łuszczyć. Mechanizm jest niezgrabny, chińskie znaki niewyraźnie wybite w stali. Kolba wyłożona czerwonym plastikiem z motywem smoka po obu stronach. Jak dziecięca zabawka.

W terminalu JAL Fox jadł sushi, rozemocjonowany naszym wyczynem. Ramię go bolało, ale twierdził, że to drobiazg. Mieliśmy dość forsy na lekarzy. Na wszystko.

Nie wiem czemu, ale forsa od Hosaki nie wydawała mi się ważna. Nie wątpiłem w nowe bogactwo, ale ostatniej nocy przekonałaś mnie, że wszystko to trafia do nas w sposób całkiem naturalny, w nowym porządku rzeczy, jako funkcja tego, kim i czym jesteśmy.

Biedny Fox. Jego niebieska oksfordzka koszula była świeższa niż kiedykolwiek przedtem, paryski garnitur ciemniejszy i droższy. Siedział w JAL, maczał sushi w zielonym chrzanie na małej plastikowej tacce i miał przed sobą niecały tydzień życia.

Jest ciemno, a reflektory na wysokich masztach przez całą noc oświetlają rusztowania New Rose. Nic w tym miejscu nie służy oryginalnym celom. Wszystko pochodzi z odzysku, nawet skrzynie. Czterdzieści lat temu plastikowe kapsuły stały w Tokio jako nowoczesne miejsca noclegowe dla podróżujących biznesmenów. Może twój ojciec spał w jednej z nich. Kiedy rusztowanie było nowe, otaczało szkielet jakiejś lustrzanej wieży w Ginza, używane przez kolejne zmiany budowniczych.

Wieczorna bryza niesie grzechot z salonu pachinko, zapach gotowanych jarzyn z wózków po drugiej stronie drogi.

Smaruję żółte ryżowe krakersy krylową pastą o smaku krabów.

Ostatnie kilka dni w Tokio spędziliśmy z Foxem w sąsiednich apartamentach na pięćdziesiątym trzecim piętrze Hyatta. Żadnych kontaktów z Hosaką. Zapłacili i wykasowali nas z oficjalnej pamięci korporacji.

Fox jednak nie mógł zapomnieć. Ta akcja była jego dzieckiem, jego ukochanym projektem. Wyrobił sobie szczególne, ojcowskie niemal uczucie dla Hiroshiego. Kochał go za jego Szczyt. Dlatego utrzymywałem kontakt z moim portugalskim handlowcem w Medinie; zgodził się obserwować dla nas laboratorium Hiroshiego.

Dzwonił ze straganu na Dżemaa-el-Fna, mając w tle wrzaski sprzedawców i muzykę fletni z Atlasu. Ktoś przerzucał do Marrakeszu ochronę. Fox potakiwał: Hosaka.

Po niecałych dziesięciu rozmowach zauważyłem w nim zmianę, napięcie, zamyślenie. Stawał przy oknie i patrzył na cesarskie ogrody,

pięćdziesiąt trzy piętra pod nami. Coś go gryzło i nie chciał powiedzieć, o co chodzi.

Poproś o dokładniejszy opis, polecił po którejś rozmowie. Nasz kontakt widział pewnego mężczyznę wchodzącego do laboratorium Hiroshiego. Fox sądził, że to może być Moenner, czołowy genetyk Hosaki.

To Moenner, stwierdził po następnym telefonie. Po kolejnym miał wrażenie, że zidentyfikował Chedanne'a, szefa zespołu protein u Hosaki. Od ponad dwóch lat nie widziano żadnego z nich poza kompleksem korporacji.

Tymczasem stało się jasne, że czołowi naukowcy Hosaki przylatują dyskretnie do Medyny, a czarne Leary spływają na lotnisko w Marrakeszu na skrzydłach z węglowych włókien. Fox kręcił głową. Był zawodowcem, ekspertem, a więc nagle zgromadzenie w Medinie wierzchołka Szczytu Hosaki uważał za drastyczne uchybienie w sztuce działania zaibatsu.

Jezu, mruknął, nalewając sobie Black Label. Mają tam teraz całą biosekcję. Wystarczy jedna bomba. Jeden granat we właściwym miejscu i czasie...

Przypomniałem mu o metodach wysycenia, stosowanych najwyraźniej przez ochronę Hosaki. Firma dysponowała kontaktami w samym sercu Diet, a masowy przerzut agentów do Marrakeszu mógł się odbywać jedynie za wiedzą i współpracą marokańskiego rządu.

Zostaw tę sprawę, prosiłem. Jest zakończona. Sprzedałeś im Hiroshiego. Teraz możesz o nim zapomnieć.

Wiem, o co tu chodzi, odparł. Już raz to widziałem.

Twierdził, że to coś w rodzaju czynnika nieprzewidywalności w pracy laboratoryjnej. Szczyt Szczytu, tak go określił. Kiedy naukowiec doprowadza do przewrotu, inni czasem nie są w stanie powtórzyć jego wyników. Co było tym bardziej prawdopodobne w przypadku Hiroshiego, którego prace nie mieściły się w koncepcyjnym podłożu jego dziedziny. Rozwiązanie polegało często na wizytach geniusza w kolejnych placówkach. Dokonywał rytuału przyłożenia ręki. Jakies dostrojenie aparatury, zupełnie bez znaczenia, i proces ruszał. Wariactwo, powiedział. Nikt nie wie, czemu to działa, ale działa. Uśmiechnął się.

Ale sporo ryzykują, dodał. Sukinsyny, mieli odizolować Hiroshiego, trzymać go z dala od głównych linii rozwojowych. Bzdura. Stawiam własny tyłek, że w zespole badawczym Hosaki trwa jakaś walka o władzę. Ktoś

ważny przerzuca swoich faworytów, żeby otarli się o Hiroshiego. Na szczęście. Kiedy Hiroshi podetnie całą inżynierię genetyczną, grupa z Mediny będzie gotowa.

Dopił scotcha i wzruszył ramionami.

Idź do łóżka, poradził. Miałeś rację, sprawa skończona.

Poszedłem do łóżka, ale obudził mnie telefon. Z Marrakeszu: biały szum satelitarnego łącza i przerażony, portugalski bełkot.

Hosaka nie zamroził naszego kredytu; sprawił, że wyparował. W jednej chwili byliśmy milionerami w najtwardszej walucie świata, w następnej staliśmy się biedakami. Obudziłem Foxa.

Sandii, powiedział. Sprzedała nas. Ochrona Maasa przekabaciła ją w Wiedniu. Słodki Jezu.

Wyjął szwajcarski scyzoryk i rozciął swoją poobijaną walizkę. Miał tam wklejone trzy złote sztaby. Miękkie płyty, każda z próbą i stemplem jakiegoś nieistniejącego już afrykańskiego rządu.

Powinienem to przewidzieć, stwierdził zimno.

Nie, zapewniłem. Chyba wymieniłem twoje imię.

Zapomnij o niej, poradził. Hosaka chce nas widzieć martwych. Uznają, że ich wystawiliśmy. Weź telefon i sprawdź nasz kredyt.

Nie było żadnego kredytu. Zaprzeczyli nawet, że któryś z nas miał u nich konto.

Zbieraj dupę, polecił Fox.

Uciekliśmy. Tylnymi drzwiami, na ulicę, potem w dół Shinjuku. Wtedy właśnie zrozumiałem, jak głęboko potrafi sięgnąć Hosaka.

Wszystkie drzwi były zamknięte. Ludzie, z którymi od dwóch lat robiliśmy interesy, widzieli nas i za ich żrenicami zapadały stalowe okiennice. Znikaliśmy, zanim zdążyli sięgnąć po telefon. Napięcie powierzchniowe podziemnego świata potrojiło się; w każdym punkcie spotykaliśmy tę samą napiętą błonę, która nas odpychała. Bez szans, by się wtopić, zniknąć z widoku.

Hosaka pozwolił nam uciekać przez prawie cały dzień. Potem przysłali kogoś, żeby po raz drugi skręcił Foxowi kark.

Nie widziałem, jak to zrobili. Zauważyłem tylko, jak pada. Byliśmy w magazynie handlowym na Ginza, godzinę przed zamknięciem. Dostrzegłem, że wali się z antresoli w zbiór ceramiki nowej Azji.

Jakoś mnie przepuścili, a ja uciekałem. Fox został ze złotem, ale miałem w kieszeni sto nowych jenów. Biegłem. Całą drogę do hotelu New Rose.

Nadszedł czas.

Chodź ze mną, Sandii. Słuchaj neonów brzęczących przy drodze do Narita International. Spóźnione ćmy kreślą wieloboki trajektorii wokół reflektorów New Rose.

To zabawne, Sandii, jak czasem wydajesz mi się nierzeczywista. Fox powiedział kiedyś, że jesteś ektoplazmą, duchem przywołanym przez ekstrema ekonomii. Upiorem nowego wieku, materializującym się w tysiącach łóżek świata Hyattów, świata Hiltonów.

Teraz trzymam w dłoni twój pistolet, ukryty w kieszeni kurtki, a ręka sprawia wrażenie nieskończenie dalekiej. Rozłączonej.

Pamiętam, jak mój portugalski przyjaciel zapomniał, że mówi po angielsku. Próbował przekazać wiadomość w czterech językach, których prawie nie rozumiałem. Myślałem, że płonie Medina. Ale to nie miasto. To mózgi najlepszych naukowców Hosaki. Zaraza, szeptał mój handlowiec, zaraza, gorączka i śmierć.

Spryciarz z Focha. W biegu domyślił się wszystkiego. Nie musiałem nawet wspominać o dyskietce znalezionej w twojej torebce.

Ktoś przeprogramował syntetyzer DNA, powiedział. Służył do wymodelowania w ciągu nocy odpowiedniej makromolekuły. Razem z wbudowanym komputerem i robionym na zamówienie software'em. Droga zabawka, Sandii. Ale nie tak droga, jak ty się okazałaś dla Hosaki. Mam nadzieję, że Maas dobrze ci zapłacił.

Dyskietka w dłoni. Deszcz na rzece. Wiedziałem, ale nie mogłem się z tym pogodzić. Wsunąłem ci do torebki kod tego mózgowego wirusa i położyłem się przy tobie.

Dlatego zginął Moenner i inni naukowcy Hosaki. Razem z Hiroshim. Mózg Chedanne'a został nieodwracalnie uszkodzony.

Hiroshi nie przejmował się możliwością zakażenia. Proteiny, które programował, były nieszkodliwe. Syntetyzer mruczał sobie przez całą noc, tworząc wirus zamówiony przez Maas Biolabs GmbH.

Maas. Niewielki, ostry, bez skrupułów. Sam Szczyt.

Droga na lotnisko jest długa i prosta jak strzeł. Trzyma się cienia.

Krzyczałem do tego bełkocącego po portugalsku głosu, kazałem wyjaśniać, co się stało z dziewczyną, z kobietą Hiroshiego. Zniknęła,

odpowiedział.

Warkot wiktoriańskiego mechanizmu.

Dlatego Fox musiał paść, razem z trzema żalonymi złotymi sztabami, i skrócić kark po raz ostatni. Na podłogę magazynu handlowego w Ginza. Kupujący patrzyli przez moment, zanim zaczęli krzyczeć.

Zwyczajnie nie potrafię cię nienawidzić, dziecinko.

Śmigłowiec Hosaki powrócił. Bez świateł, tylko na podczerwieni. Szuka ciepłoty ciała. Stłumiony warkot, gdy zawraca, kilometr stąd, skręca ku nam, do New Rose. Zbyt szybki cień na tle blasku Narity.

Wszystko w porządku, dziecinko. Tylko przyjdź tutaj. Weź mnie za rękę.

zimowy targ

Często tu pada. Zimą zdarzają się dni, kiedy właściwie wcale nie robi się widno, tylko wciąż trwa nieokreślona szarość. Ale też zdarzają się inne, kiedy jakby ktoś odsunął nagle zasłonę i błysnął w oczy trzema minutami zalanej słońcem zawieszanej góry, znaku firmowego na początku filmu produkcji samego Boga. Tak było tego dnia, kiedy zadzwonili jej agenci, z głębin w sercu ich lustrzanej piramidy na Beverly Boulevard; powiedzieli mi, że złała się z siecią, przekroczyła na dobre, i że *Królowie snu* zdobyli potrójną platynę. Montowałem większość *Krółów*, zrobiłem całą mapę mózgową i przeleciałem całość modułem szybkiego kasatora, więc byłem w kolejce po swoją działkę z dywidend. Nie, powiedziałem. Nie. A potem tak, tak, i rozłączyłem się. Złapałem kurtkę i wybiegłem, przeskakując po trzy stopnie, prosto do najbliższego baru i ośmiogodzinnego zaćmienia, które skończyło się na betonowym występie dwa metry nad czarnymi jak północ wodami False Creek. Światła miasta, ta sama szara kopuła nieba, rozjaśniana neonami i lampami rtęciowymi. Padał śnieg – wielkie płatki, ale nieliczne, a kiedy dotykały czarnej wody, znikaly natychmiast, bez żadnego śladu. Spojrzałem w dół, na stopy, i zobaczyłem czubki butów poza krawędzią betonu, i wodę między nimi. Buty miałem japońskie, nowe i drogie, z Ginzy, miękka skóra i gumowe czubki. Stałem tam długo, nim wreszcie zrobiłem pierwszy krok do tyłu. Ponieważ była martwa, a ja pozwoliłem jej odejść. Ponieważ teraz była nieśmiertelna, a ja pozwoliłem jej stać się taką. I ponieważ wiedziałem, że rano zadzwoni.

* * *

Ojciec był technikiem dźwięku, masteringowcem. Pracował w tym biznesie długo, jeszcze przed cyfrą. Procesy, jakimi się zajmował, były częściowo mechaniczne i niemal po wiktoriańsku toporne, jak cała dwudziestowieczna technika. W zasadzie to obsługiwał tokarkę. Ludzie przynosili mu nagrania audio, a on wypalał ich dźwięki jako rowki

na dysku tworzywa. Potem ten dysk był galwanizowany i używany do budowy prasy, która wyciskała płyty, te czarne krążki, jakie widuje się w sklepach z antykami. Pamiętam, opowiadał mi kiedyś, parę miesięcy przed śmiercią, że są takie częstotliwości – transjenty, tak chyba je nazywał – które łatwo mogą wypalić głowicę, to znaczy głowicę tnącą w tej głównej tokarce. Takie głowice były niesamowicie drogie, więc żeby nie dopuścić do uszkodzenia, używało się czegoś, co nazywał akcelerometrem. I właśnie o czymś takim myślałem, kiedy stałem tam, wystawiając nad wodę palce stóp: głowa, wypalona...

Bo to właśnie jej zrobili.

I tego właśnie chciała.

Dla Lisy nie było akcelerometru.

* * *

W drodze do łóżka rozłączyłem telefon. Zrobiłem to roboczym końcem zachodniemieckiego studyjnego statywu, którego naprawa będzie kosztować pewnie tygodniowy zarobek.

Zbudziłem się jakiś czas później i wziąłem taksówkę do Granville Island i lokalu Rubina. W pewnym sensie, którego nikt naprawę nie rozumie, Rubin jest mistrzem, nauczycielem, czymś, co Japończycy nazywają *sensei*. A mistrzem jest konkretnie śmieci, kipiszu, odpadków, morza niepotrzebnych rzeczy, na których unosi się nasze stulecie. *Gomi no sensei*. Mistrz złomu.

Tym razem znalazłem go siedzącego w kucki między dwoma groźnie wyglądającymi automatami perkusyjnymi, z pordzewiałymi pajęczymi odnóżami złożonymi w sercach powyginanych konstelacji stalowych beczek, wyłowionych ze śmietników w Richmond. Nigdy nie nazywa tego lokalu „studium”, nigdy nie mówi o sobie, że jest artystą. „Majstrowanie” – tak określa to, czym się tu zajmuje, i chyba uważa to za swego rodzaju przedłużenie tamtych nudnych podwórkowych dni z chłopięcych czasów. Wędruje po zapchanej, zagraconej przestrzeni, rodzaju minihangaru przyczepionego do Targu po stronie wody, a za nim suną sprytniejsze i zwinniejsze jego konstrukcje – jakby nieco dobroduszny Szatan skupiony na dopracowaniu jeszcze dziwniejszych procesów swego działającego

inferno *gomi*. Widziałem, jak programuje swoje twory, by identyfikowały i werbalnie obrażały przechodniów noszących odzież jakiegoś modnego w danym sezonie projektanta; inne wypełniają bardziej tajemnicze misje, a kilka wydawało się skonstruowanych wyłącznie po to, by same się dekonstruowały z możliwie dużym towarzyszącym temu hałasem. Rubin jest jak dziecko, ale jest też wart masę forsy w galeriach Tokio i Paryża.

No więc opowiedziałem mu o Lisie. Pozwolił mi, zaczekał, aż to z siebie wyrzucę, a potem pokiwał głową.

– Wiem – rzekł. – Jakiś świr z CBC dzwonił już osiem razy. – Upił łyk czegoś z wyszczerbionego kubka. – Masz ochotę na Wild Turkey sour?

– Czemu dzwonił?

– Bo moje nazwisko jest na tylnej okładce *Krółów snu*. Dedykacja.

– Jeszcze nie widziałem.

– Próbowwała już do ciebie dzwonić? No to spróbuje.

– Rubin, ona nie żyje. Już ją skremowali.

– Wiem – mruknął. – I zadzwoni do ciebie.

* * *

Gomi.

Gdzie kończy się *gomi*, a zaczyna świat? Sto lat temu Japończykom skończyła się przestrzeń na *gomi* wokół Tokio, więc przygotowali plan, by z *gomi* tworzyć przestrzeń. W 1969 zbudowali sobie wysepkę w Zatoce Tokijskiej, całą z *gomi*, i ochrzcili ją Wyspą Marzeń. Ale miasto wciąż wylewało swoje dziewięć tysięcy ton dziennie, więc zbudowali Nową Wyspę Marzeń, a obecnie koordynują cały proces i z Pacyfiku wynurzają się wciąż nowe Nippony. Rubin ogląda to w wiadomościach i nie mówi ani słowa. W ogóle nie mówi o *gomi*. To jego medium, powietrze, którym oddycha, coś, w czym pływał przez całe życie. Krąży po Wielkim Van rozklekotaną starą furgonetką, przerobioną ze staroświeckiego lotniskowego Mercedesa, z dachem całkiem niewidocznym pod falującym gumowym workiem na wpełnionym naturalnym gazem. Szuka przedmiotów pasujących do dziwacznych schematów wyrysowanych po wewnętrznej stronie czoła przez cokolwiek, co służy mu za Muzę.

Ściąga do domu więcej *gomi*. Część tego jeszcze działa. Część, tak jak Lisa, to ludzie.

Lisę poznałem na jakiejś imprezie u Rubina. Często je urządzał. Sam chyba nigdy się za dobrze nie bawił, ale były to świetne imprezy. Tamtej jesieni straciłem rachubę, ile to razy budziłem się na bloku pianki za antycznym ekspresem Rubina, obłazącym behemotem z wielkim chromowanym orłem u góry i dźwiękiem, który odbijał się przerażająco od ścian z blachy falistej, ale też wybitnie uspokajał: tam była kawa. Życie toczy się dalej.

Pierwszy raz, kiedy ją zobaczyłem: w Strefie Kuchennej. Trudno to właściwie nazwać kuchnią, po prostu trzy lodówki, płyta grzejna i zepsuty konwekcyjny piekarnik, który trafił tu razem z *gomi*.

Pierwszy raz, kiedy ją zobaczyłem: przed otwartą piwną lodówką, światło wylewało się z wnętrza, dostrzegłem kości policzkowe i zaciśnięte z determinacją wargi, ale też czarny błysk polikarbonu na przegubie i jasne, lśniące otarcie, jakie daje egzozskielet. Byłem zbyt pijany, żeby kojarzyć, żeby zrozumieć, co to takiego, ale wiedziałem, że to nie czas na zabawy. Dlatego zrobiłem to, co ludzie zwykle robili, Lisie znaczy, i przełączyłem się na inny kanał. Nalałem sobie wina z blatu przy piekarniku. Nie oglądałem się.

Ale znalazła mnie. Podeszła do mnie dwie godziny później, z wprogramowaną w egzozskielet przerażającą gracją wymijając ludzi i stosy złomu. Wtedy już wiedziałem, co to jest, gdy patrzyłem, jak się zbliża, zbyt zakłopotany teraz, by się uchylić, uciec, wymamrotać jakieś usprawiedliwienie i zniknąć. Stałem więc jak przybity, obejmując ramieniem talię jakiejś dziewczyny, której nie znałem, a Lisa przesuwiała się, czy była przesuwana z tą ironiczną gracją wprost na mnie; oczy płonęły jej od prochów. Dziewczyna wywinęła się w cichym ataku towarzyskiej paniki, odeszła i zniknęła, a Lisa stanęła przede mną, podparta swą cienką jak ołówek polikarbonową protezą. Spojrzałem w te oczy i miałem wrażenie, że słyszę jęk synaps, niemożliwie wysoki pisk, kiedy amfa otwierała każdy obwód jej mózgu.

– Zabierz mnie do siebie – powiedziała, a słowa uderzyły mnie jak pejczem.

Chyba pokręciłem głową.

– Weź mnie do siebie.

Były w tym liczne poziomy cierpienia, subtelność i zadziwiające okrucieństwo. I zrozumiałem wtedy, że nigdy nie byłym tak znienawidzony, ale to nigdy, jak głęboko i całkowicie nienawidziła mnie ta wychudzona i chora dziewczyna, nienawidziła za to, jak spojrzałem, a potem odwróciłem wzrok obok piwnej lodówki Rubina. Więc skoro tak, zrobiłem jedną z tych rzeczy, które człowiek robi i nigdy nie może pojąć dlaczego. Nawet jeśli coś w głębi umysłu zdaje sobie sprawę, że nie mógłby postąpić inaczej.

Zabrałem ją do domu.

* * *

Mam dwa pokoje w starym bloku na rogu Czwartej i MacDonalda, dziesiąte piętro. Windy zwykle działają, a jeśli usiąść na poręczy balkonu i wychylić się do tyłu, trzymając się rogu sąsiedniego budynku, można zobaczyć trochę na ukos skrawek morza i górę.

Nie powiedziała ani słowa przez całą drogę od Rubina, a ja wytrzeźwiałem na tyle, by czuć się bardzo nieswojo, kiedy otworzyłem drzwi i wpuściłem ją do środka.

Pierwsze, co zobaczyła, to przenośny szybki kasator, który wczoraj wieczorem przyniosłem z Pilota. Egzoszkielet przeprowadził ją po zakurzonej wykładzinie krokiem modelki na wybiegu. Bez gwaru imprezy słyszałem, że postukuje cicho, kiedy nią porusza. A potem stanęła i patrzyła na kasator. Widziałem zebra szkieletu, kiedy tak stała, wypukłości na wytartej czarnej skórze kurtki. Jedna z tych chorób... Albo jakaś dawna, której nie udało się rozpracować, albo z tych nowych, ewidentnie środowiskowych, których jeszcze nawet nie ponazywali. Nie mogła się ruszać, w każdym razie nie bez egzoszkieletu, wpiętego bezpośrednio do mózgu przez mioelektryczne złącze. Delikatne z wyglądu polikarbonowe wsporniki przesuwwały jej ręce i nogi, ale chudymi dłońmi sterował bardziej subtelny system galwanicznych inkrustacji. Pomyślałem o żabich nogach drgających na taśmie w licealnym laboratorium i natychmiast się za to znienawidziłem.

– To moduł szybkiej kasacji – oświadczyła głosem, jakiego dotąd nie słyszałem, jakby oddalonym, a ja pomyślałem, że działanie prochów się

kończy. – Co tu robi?

– Montuję – odparłem i zamknąłem za sobą drzwi.

– Coś takiego... – Zaśmiała się. – Montujesz. A gdzie?

– Na Wyspie. W takim studiu, nazywa się Autonomiczny Pilot.

Odwróciła się. Potem, wspierając dłoń na wysuniętym biodrze, zakołysała nim i to nią zakołysało, a prochy, nienawiść i jakaś przerażająca parodia żądz ukuły mnie zza splukanych szarych oczu.

– Masz ochotę, montażysto?

Znów poczułem uderzenie pejcza, ale nie miałem zamiaru się poddawać, nie po raz drugi. Dlatego zimno na nią spojrzałem gdzieś z głębi otumanionego piwem jądra mojego chodzącego, mówiącego, z ruchomymi kończynami i ogólnie całkiem zwyczajnego ciała, i wyrzuciłem z siebie słowa, jakbym splunął.

– Poczulabyś, gdybym miał?

Trafienie. Może mrugnęła, ale jej twarz nie drgnęła nawet.

– Nie – przyznała. – Ale czasem lubię popatrzeć.

* * *

Rubin stoi przy oknie, dwa dni po jej śmierci w Los Angeles, patrząc na płatki śniegu opadające do False Creek.

– Czyli nie poszedłeś z nią do łóżka?

Jedna z jego dwugłowych, łożyskowanych escherowskich jaszczurek sunie po blacie przede mną, w trybie zwiniętym.

– Nie – mówię, i to prawda. Potem parskam śmiechem. – Ale wpięliśmy się bezpośrednio. Tej pierwszej nocy.

– Zwariowałaś – stwierdza z tonem aprobaty w głosie. – To cię mogło zabić. Mogło ci stanąć serce, zatrzymać oddech... – Odwraca się do okna. – Dzwoniła już do ciebie?

* * *

Wpięliśmy się, bezpośrednio.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Gdyby ktoś spytał dlaczego, powiedziałbym, że jestem montażystą i że to nieprofesjonalne.

Prawda jest raczej taka...

W tym fachu, legalnym fachu – nigdy nie robiłem porno – surowy produkt nazywamy suchymi snami. Suche sny to neuralne dane wyjściowe z poziomów świadomości, do których większość ludzi ma dostęp tylko we śnie. Ale artyści, tacy, z jakimi pracuję w Autonomicznym Pilocie, są w stanie przebić napięcie powierzchniowe, zanurkować głęboko, bardzo głęboko i na zewnątrz, w morze Junga, by przynieść z powrotem... no, sny. Mówiąc prosto. Podejrzewam, że niektórzy artyści zawsze to robili, niezależnie od medium, ale neuroelektronika pozwala nam na dostęp do takich doświadczeń, a sieć wypuszcza to wszystko na kablu, więc możemy to pakować, sprzedawać, obserwować, jak się zachowuje na rynku. Cóż, im bardziej wszystko się zmienia... Tak kiedyś mawiał mój ojciec.

Zwykle surowy materiał dostaję w warunkach studyjnych, przefiltrowany przez warte parę milionów dolarów deflektory i nawet nie muszę widzieć twórcy. Towar, który dostarczamy konsumentowi, rozumiecie, został ustrukturyzowany, zrównoważony, zamieniony w sztukę. Wciąż jednak istnieją ludzie tak naiwni, by wierzyć, że naprawdę spodoba im się takie bezpośrednie wpięcie z kimś, kogo kochają. Myślę, że większość nastolatków tego próbuje – raz. To zresztą całkiem łatwe. Każdy sklep z elektroniką sprzedaje wam skrzynkę, trody i kable. Ale ja osobiście nigdy. I teraz, kiedy się zastanawiam, nie jestem pewien, czy umiałbym wytłumaczyć dlaczego. Albo czy w ogóle chciałbym próbować.

Nie wiem dlaczego zrobiłem to z Lisą. Usiadłem obok niej na moim meksykańskim futonie i wcisnąłem światłowód w gniazdo na jej karku, na gładkiej grzbietowej grani egzozszkieletu. Było wysoko, u podstawy szyi, ukryte pod jej ciemnymi włosami.

Ponieważ twierdziła, że jest artystką, i ponieważ wiedziałem, że prowadzimy jakieś starcie totalne i nie miałem zamiaru przegrywać. Dla was może to nie mieć sensu, ale w końcu nigdy jej nie znaliście, albo znaliście tylko poprzez *Krółów snu*, a to nie to samo. Nigdy nie czuliście tego głosu, który miała w sobie, okrojonego do nagiej potrzeby, ohydnej w swej jedyności celu. Ludzie, którzy dokładnie wiedzą, czego chcą, zawsze mnie trochę przerażali, a Lisa od bardzo dawna wiedziała, czego chce – i nie chciała niczego innego. Bałem się wtedy przyznać przed sobą, że się boję, zresztą w pokoju montażowym Autonomicznego Pilota widziałem

już dość dużo snów obcych ludzi, by wiedzieć, że te wewnętrzne potwory są w większości głupawe, śmieszne w chłodnym świetle własnej świadomości. No i ciągle jeszcze byłem pijany.

Założyłem trody i sięgnąłem do przycisku na kasatorze. Wyłączyłem jego funkcje studyjne i czasowo przerobiłem wartą osiemdziesiąt tysięcy dolarów japońską elektronikę na odpowiednik jednej z tych skrzynek ze sklepu na rogu.

– No to dawaj – powiedziałem i wcisnąłem guzik.

Słowa. Słowa nie mogą. A może, ale tylko z grubsza, gdybym w ogóle wiedział, jak się zabrać do opisywania tego, co się z niej wylało, co zrobiła...

W *Królach snu* jest taki fragment: jakbyście w środku nocy jechali na motocyklu, żadnych świateł, ale jakoś ich nie potrzeba, tylko pędzicie po nadbrzeżnej drodze, na krawędzi klifu – tak szybko, że wydajecie się zawieszani w stożku ciszy, a ryk motoru ginie za wami. Wszystko ginie za wami... To trwa mgnienie oka w *Królach*, ale to jedna z tysięcy rzeczy, które się pamięta, do których się wraca, które włącza się do własnego słownika emocji. Niesamowite. Wolność i śmierć, tam, właśnie tam, na krawędzi, zawsze.

Do mnie dotarła bardziej dorosła wersja: pierwotny pęd, wściekle piekielnie zabójcza nieprzycięta czysta sekwencja, wybuchająca na wszelkie możliwe sposoby prosto w pustkę cuchnącą ubóstwem, brakiem miłości i zapomnieniem.

I to właśnie było ambicją Lisy: ta jazda widziana od środka.

Prawdopodobnie zajęła pełne cztery sekundy.

I oczywiście ona wygrała.

Zdjąłem trody i gapiłem się na ścianę; oczy miałem wilgotne, a oprawione plakaty pływały w polu widzenia. Nie potrafiłem na nią spojrzeć. Słyszałem, jak odłącza kabel optyczny. Słyszałem stukanie egzoszkieletu, kiedy unosił ją z futonu. Słyszałem, jak tyka skromnie, niosąc ją do kuchni po szklankę wody.

Wtedy się rozplakałem.

* * *

Rubin wsuwa wąski próbnik w łożyskowany brzuch leniwego dwugłowca i bada obwody przez okulary ze szklami powiększającymi i z małutkimi lampkami zamocowanymi na skroniach.

– I co? Złapało cię? – Wzrusza ramionami i podnosi głowę. Jest już ciemno i dwa tensorowe promienie kłują mi twarz; w blaszanej szopie jest chłodno i wilgotno, tylko samotny głos buczka mgłowego rozlega się gdzieś nad wodą. – I co?

Moja kolej na wzruszenie ramion.

– Tak wyszło... Miałem wrażenie, że inaczej nie można.

Promienie wracają do krzemowego serca zepsutej zabawki.

– No to w porządku. To był prawdziwy wybór. Chodzi mi o to, rozumiesz, że ona była zdecydowana, by stać się tym, kim jest. I tyle miałeś wspólnego z tym, gdzie się dzisiaj znalazła, ile ten kasator. Gdyby nie trafiła na ciebie, znalazłaby kogoś innego...

* * *

Dogadałem się z Barrym, szefem montażu, i dostałem dwadzieścia minut o piątej, w zimny wrześnieowy ranek. Lisa przysłała i walnęła mnie tym samym pociskiem, ale tym razem byłem gotów ze swoimi deflektorami, mapami mózgowymi, i nie musiałem tego odczuwać. Jeszcze dwa tygodnie sklejałem minuty montażu, żeby przyciąć to, co zrobiła, w coś, co mógłbym odegrać Maxowi Bellowi, właścicielowi Pilota.

Bell nie był zadowolony, wcale, kiedy mu wytłumaczyłem, co zrobiłem. Tacy niezależni montażyści mogą sprowadzać kłopoty, a prędzej czy później prawie każdy uznaje, że znalazł kogoś, kto będzie hitem, następną eksplozją – a wtedy zaczynają marnować czas i pieniądze. Pokiwał głową, kiedy skończyłem swoją mowę, i poskrobał się po nosie nakładką czerwonego mazaka.

– Uhm... Łapię. Najmocniejsza rzecz, odkąd ryby wyhodowały sobie nogi, tak?

Ale wpiął się w to demo, które poskładałem, a kiedy wyskoczyło z gniazda na jego desktopowym zestawie Brauna, gapił się tępo w ścianę.

– Max?

– No...

- Co o tym myślisz?
- Myśle? Ja... Mówiłeś, że jak się nazywa? – Zamrugął. – Liza? Mówiłeś, że z kim ma kontrakt?
- Lisa. Z nikim, Max. Jeszcze z nikim nie podpisała.
- Jezu Chryste...
- Ciągle był oszołomiony.

* * *

– Wiesz, jak ją znalazłem? – pyta Rubin, brodząc wśród pogniecionych tekturowych pudeł, by znaleźć wyłącznik światła.

Pudła są pełne starannie posortowanego *gomi*: baterie litowe, tantalowe kondensatory, złącza antenowe, płyty drukowane, kostki elektryczne, stabilizatory ferorezonansowe, przewody bezpieczników... Jedno pudło zawiera kilkaset odciętych głów Barbie, inne – opancerzone przemysłowe rękawice ochronne, które wyglądają jakby pochodziły ze skafandrów kosmicznych. Światło zalewa całe pomieszczenie, i coś w rodzaju modliszki Kandinsky'ego z ciętej i malowanej cyny przechyla w stronę jasnej żarówki swoją głowę wielkości golfowej piłeczki.

– Byłem w Granville i szukałem *gomi* w jakimś zaułku, i zobaczyłem ją, jak sobie tam zwyczajnie siedzi. Zauważyłem szkielet, zresztą ogólnie nie wyglądała dobrze, więc spytałem, czy wszystko w porządku. Nic, tylko zamknęła oczy. Nie moja wachta, myślę sobie. Ale akurat wracałem tamtędy jakieś cztery godziny później, a ona się nie ruszyła. „Słuchaj no, skarbie”, mówię do niej, „może to twój sprzęt się sypnął. Mogę pomóc, tak?”. Znow nic. „Długo tak tu siedzisz?”. Nic. No więc spadam...

Podchodzi do pulpitu i bladym palcem wskazującym gładzi chude metalowe odnóża modliszki. Za nim, na spuchniętych od wilgoci starych płytach perforowanych, wiszą kleszcze, śrubokręty, pistolety do zaciskania opasek, zardzewiały airsoftowy karabinek z Daisy, zdzieracze izolacji, zaciskarki, próbniki logiczne, opalarki, kieszonkowy oscyloskop... Jest tu na pozór każde narzędzie znane w historii ludzkości, bez najmniejszego śladu próby ułożenia ich w jakimś porządku – chociaż jeszcze nie widziałem, by ręka Rubina choćby na moment zatrzymała się z wahaniem.

– Wróciłem – mówi. – Odczekałem godzinę. Wtedy była już out, nieprzytomna, więc ściągnąłem ją tutaj i przeleciałem diagnostykę egzoszkieletu. Baterie zdechły. Odczołgała się tam, kiedy skończyła się energia, i ułożyła, pewnie żeby umrzeć z głodu.

– Kiedy to było?

– Jakiś tydzień wcześniej, zanim wziąłeś ją do domu.

– A gdyby umarła? Gdybyś jej nie znalazł?

– Ktoś by ją znalazł. Nie potrafiła o nic poprosić. Tylko brać. Nie mogła znieść przysługi.

* * *

Max znalazł dla niej agentów i dzień później trójka niesamowicie eleganckich młodszych przedstawicieli przyleciała learem na YVR. Lisa nie chciała przyjechać na spotkanie do Pilota, ale uparła się, żeby ściągnąć ich do Rubina, gdzie nadal sypiała.

– Witam w Couverville – powiedział Rubin, kiedy wsunęli się przez drzwi.

Długą twarz miał upapraną smarem, a skrzywiony spinacz do papieru mniej więcej przytrzymał rozporek wystrzępionych bojówek. Chłopcy automatycznie wyszczerzyli zęby, ale w uśmiechu dziewczyny błysnęło coś odrobinę bardziej autentycznego.

– Pan Stark... – powiedziała. – W zeszłym tygodniu byłem w Londynie. Widziałam pańską instalację u Tate.

– Fabryka Baterii Marcella – odparł Rubin. – Mówią, że jest skatologiczna, ci Brytyjczycy. – Wzruszył ramionami. – Brytyjczycy... Znaczą: kto wie?

– To prawda. Jest też bardzo zabawna.

Chłopcy w swoich garniturach promienieli jak opalone w solarium latarnie morskie. Demo dotarło do Los Angeles – wiedzieli.

– A ty jesteś Lisa – domyśliła się dziewczyna, wybierając ścieżkę wśród stosów *gomi* Rubina. – Już niedługo będziesz bardzo sławną osobą, Liso. Mamy wiele do omówienia.

A Lisa stała tam, wsparta polikarbonem, a wyraz twarzy miała taki, jaki widziałem tej pierwszej nocy w moim lokalu, kiedy spytała, czy chcę iść

do łóżka. Jeśli jednak ta młodsza przedstawicielka to dostrzegła, nie dała po sobie poznać. Była zawodowcem.

Powtarzałem sobie, że też jestem zawodowcem.

Powtarzałem sobie, żeby się rozluźnić.

* * *

Śmieci płoną w blaszanych pojemnikach w rynsztokach wokół Targu. Śnieg ciągle pada i dzieciaki kulą się nad płomieniami niczym artretyczne kruki, przeskakują z nogi na nogę, a wiatr szarpie ich ciemnymi płaszczami. Dalej w pretensjonalnych slumsach Fairview czyjeś pranie zamarzło na beton na sznurze, różowe prostokąty pościeli wyraźnie widoczne na tle czerni i chaosu talerzy anten satelitarnych i paneli słonecznych. Turbina Darrieusa u jakiegoś ekologa kręci się w kółko, w kółko, w kółko, pokazując wirujący palec cenom dyktowanym przez Hydro.

Rubin człapie przed siebie w zachlapanych farbą kaloszach L.L. Beana, z wielką głową ukrytą pod kapturem za luźnej kurtki z demobilu. Czasem jeden czy drugi z tych skulonych nastolatków pokazuje go palcem, kiedy ich mijamy: gościa, który buduje wszystkie te zwariowane zabawki, roboty i różne takie.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – pyta, kiedy przechodzimy pod mostem w stronę Czwartej. – Należysz do takich, którzy zawsze czytają instrukcję. Cokolwiek ludzie zbudują, dowolna technologia, musi mieć jakieś konkretne przeznaczenie. Służy do robienia czegoś, co ktoś już rozumie. Ale jeśli to nowa technologia, otwiera obszary, o jakich nikt wcześniej nie pomyślał. Przeczytasz instrukcję, chłopie, i już nie będziesz się nią bawił, nie w taki sam sposób. Do tego świrujesz, kiedy ktoś inny wykorzysta ją do czegoś, co tobie nie przyszło do głowy. Jak Lisa.

– Nie była pierwsza.

Samochody dudnią nam nad głowami.

– Nie, ale to pewne jak diabli, że jest pierwszą znaną ci osobą, która wzięła i przetłumaczyła się na sprzętowy program. Też nie mogłeś zasnąć, kiedy ten, jakmutam, to zrobił trzy, może cztery lata temu? Ten chłopak z Francji, pisarz?

- Właściwie to nie myślałem o tym specjalnie. PR-owa sztuczka...
- On nadal pisze. A najdziwniejsze, że będzie pisał, dopóki ktoś nie wysadzi w powietrze jego mainframe'u...
- Krzywię się i kręcę głową.
- Przecież to nie on, prawda? To tylko program.
- Interesująca kwestia. Trudno powiedzieć. Ale z Lisą się dowiemy. Ona nie jest pisarką.

* * *

Miała to wszystko, całych *Królów* zamkniętych w głowie, tak jak jej ciało było zamknięte w egzozskielecie.

Agenci załatwili jej kontrakt z wytwórnią i sprowadzili zespół produkcyjny z Tokio. Powiedziała im, że to mnie chce do montażu. Powiedziałem: nie. Max wciągnął mnie do swojego gabinetu i zagroził, że z miejsca wywali. Gdybym się nie zaangażował, nie byłoby powodów, aby nagrania studyjne wykonywać w Pilocie – Vancouver to w końcu nie centrum świata, a agenci chcieli ją mieć w Los Angeles. Ta sprawa oznaczała dla niego duże pieniądze i mogła umieścić Autonomicznego Pilota na mapie. Nie potrafiłem mu wytłumaczyć, czemu odmówiłem. To było zbyt obłąkane, zbyt osobiste; Lisa odślaniała się ostatecznie. Przynajmniej tak wtedy myślałem.

Ale Max nie żartował. Naprawdę nie dał mi wyboru. Obaj wiedzieliśmy, że inna robota nie wpadnie mi raczej w ręce. Dlatego wyszedłem razem z nim i przekazaliśmy agentom, że wszystko sobie wyjaśniliśmy i że wchodzę.

Agenci odślonili masę zębów.

Lisa wyjęła inhalator pełen amfy i strzeliła sobie na ostro. Miałem wrażenie, że ta agentka unosi perfekcyjną brew, ale była to jedyna oznaka niezadowolenia. Po podpisaniu papierów Lisa robiła mniej więcej to, co chciała.

A Lisa zawsze wiedziała, czego chce.

* * *

Podstawową rejestrację *Królów* zrobiliśmy w trzy tygodnie. Znalazłem masę powodów, żeby unikać lokalu Rubina, a w niektóre nawet sam wierzyłem. Ona wciąż tam mieszkała, choć agenci nie byli zadowoleni z czegoś, co uważali za absolutny brak zabezpieczeń. Rubin powiedział mi później, jak to musiał polecić swojemu agentowi, żeby zadzwonił do nich i zrobił piekło, i potem chyba przestali się martwić. Nie wiedziałem, że Rubin ma agenta. Łatwo było zapomnieć, że Rubin Stark był wtedy sławniejszy niż ktokolwiek, kogo znałem, z pewnością sławniejszy niż sądziłem, że może się stać Lisa. Wiedziałem, że pracujemy nad czymś mocnym, ale nigdy nie wiadomo, jakie są szanse na hit.

Ale po tym czasie spędzonym w studiu już wiedziałem. Lisa była niesamowita.

Sprawiała wrażenie, jakby urodziła się dla tej formy, choć technika, która tę formę umożliwiała, nie istniała jeszcze w chwili jej narodzin. Człowiek widzi coś takiego i zastanawia się, ile tysięcy, może milionów fenomenalnych artystów przez całe wieki zmarło niemych – ludzie, którzy nie mogli być poetami, malarzami, saksofonistami, ale mieli to w sobie, te psychiczne formy falowe, czekające na obwody niezbędne, by do nich sięgnąć...

Podczas pracy w studiu dowiedziałem się o niej paru rzeczy – przypadkowych. Że urodziła się w Windsorze. Że jej ojciec był Amerykaninem, służył w Peru, a wrócił do domu obłąkany i na wpół ślepy. Że cokolwiek było nie tak z jej ciałem, było wrodzone. Że miała te rany, bo nie chciała zdjąć egzozszkieletu, nigdy, ponieważ zaczęłaby się dławić i umarła na samą myśl o tej absolutnej bezradności. Że była uzależniona od amfy i brała dość, by rozłożyć drużynę footballową.

Agenci sprowadzili medyków, którzy obłożyli polikarbon pianką, a rany zasklepili mikroporowymi plastrami. Wpompowali w nią witaminy i starali się dopracować dietę, ale nikt nawet nie próbował jej zabrać inhalatora.

Ściągnęli też fryzjerów i speców od makijażu, ludzi od garderoby i tworzenia wizerunku, oraz elokwentnych małych chomików od PR-u. A ona zносиła to wszystko z czymś, co mogłoby niemal być uśmiechem.

I przez całe te trzy tygodnie nie rozmawialiśmy ze sobą, Tylko takie studyjne gadki, jak artysta z montażystą, praktycznie kod uproszczony. Jej wizualizacje były tak mocne, tak niezwykle, że właściwie nigdy nie musiała

mi wyjaśniać danego efektu. Brałem, co dawała na wyjściu, i obrabiałem, a potem przesyłałem jej z powrotem. Mówiła „tak” albo „nie”, ale zwykle było to „tak”. Agenci zauważali to i aprobowali, klepali Maxa Bella po ramionach i zapraszali na kolacje, a moja pensja rosła.

Byłem zawodowcem w każdym calu. Pomocnym, dokładnym i uprzejmym. Bardzo nie chciałem załamać się po raz drugi i nigdy nie myślałem o tamtej nocy, kiedy się rozplakałem. Poza tym wykonywałem najlepszą robotę w życiu i to samo w sobie dawało niezły odlot.

Aż pewnego ranka, koło szóstej, po długiej, bardzo długiej sesji, kiedy pierwszy raz wypuściła tę niesamowitą kotylionową sekwencję, którą jakiś dzieciak nazwał „tańcem duchów”, odezwała się do mnie. Siedział tam i szczerzył zęby jeden z dwóch chłopaków-agentów, ale teraz odszedł i w Pilocie panowała martwa cisza; słuchać było tylko szum wentylatora gdzieś w okolicach gabinetu Maxa.

– Casey – powiedziała głosem chrapliwym od amfy. – Przepraszam, że trafiłam cię tak mocno.

Przez chwilę myślałem, że chodzi jej o to nagranie, które właśnie skończyliśmy. Podniosłem głowę, spojrzałem na nią, i dotarło do mnie, że jesteśmy tu sami, a nie byliśmy sami, odkąd nagraliśmy tamto demo.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedziałem nawet, co czuję.

Rozpięta na egzozkielecie wyglądała gorzej niż tej pierwszej nocy u Rubina. Amfa zżerała ją pod tym wszystkim, co rozsmarowywał na niej zespół od makijażu, i czasami zdawało się, że człowiek widzi trupa czaszkę pod twarzą niezbyt ładnej nastolatki. Nie miałem pojęcia, ile naprawdę ma lat. Ani stara, ani młoda.

– Efekt pochylni – stwierdziłem, zwiijając kabel.

– Co to jest?

– W ten sposób natura mówi ci, żeby wrócić na dobrą drogę. To takie jakby prawo matematyczne, które stwierdza, że tylko ileś razy możesz mieć naprawdę dobry odlot na jakimś stymulancie, nawet jeśli zwiększasz dawki. Nigdy nie uda ci się tak miło jak pierwsze kilka razy. W każdym razie nie powinno. To problem ze sztucznymi stymulantami: są za sprytne. To, co bierzesz, ma taki chytry ogonek na jednej z molekuł i on nie pozwala ci przerabiać rozłożonej adrenaliny na adrenochrom. Gdyby nie to, wpadłabyś już w schizofrenię. Masz jakieś drobne kłopoty, Liso? Jak bezdech? Może czasem przestajesz oddychać, kiedy zasypiasz?

Ale nie byłem nawet pewien, czy naprawdę czuję ten gniew, który słyszałem w swoim głosie.

Patrzyła na mnie tymi bladoszarymi oczami. Ludzie od garderoby zastąpili jej kurtkę ze sklepu dobroczynnego matową czarną bluzą, która o wiele lepiej maskowała polikarbonowe zębra. Nosiła ją zapiętą pod szyję, zawsze, chociaż w studiu było za ciepło. Fryzjerzy wypróbowali wczoraj coś nowego, ale nie udało się, a jej szorstkie czarne włosy były wykrzywioną eksplozją na wychudzonej trójkątnej twarzy. Wpatrywała się we mnie i znowu to wyczułem, tę jedyność celu.

– Nie sypiam, Casey.

Dopiero później, dużo później przypomniałem sobie, że powiedziała „przepraszam”. Nigdy więcej tego nie powtórzyła i tylko ten jeden raz usłyszałem od niej coś, co raczej do niej nie pasowało.

* * *

Rubin żywi się kanapkami z automatów, pakistańskim żarciem na wynos i espresso. Nigdy nie widziałem, żeby jadł cokolwiek innego. Jemy samosy w wąskim sklepiku przy Czwartej z jednym plastikowym stolikiem wkliniowanym między ladę i drzwi do kibla. Rubin pochłania swój tuzin, sześć z mięsem i sześć wegetariańskich, z całkowitą koncentracją, jeden po drugim, nie tracąc czasu na wytarcie brody. Jest przywiązany do tego miejsca. Nie cierpi greckiego sprzedawcy, zresztą z wzajemnością – gorący związek. Gdyby sprzedawca odszedł, Rubin mógłby tu już nie wrócić. Grek zerka wściekle na okruchy na brodzie i kurtce Rubina. Ten, między samosami, odpowiada sztyletami spojrzeń, mrużąc oczy za ubrudzonymi szklami okularów w drucianych oprawkach.

Samosy to obiad. Śniadanie będzie sałatką jajeczną na martwym białym chlebie, zapakowaną w jeden z tych trójkątów mlecznego plastiku, oraz sześć małych filiżanek zabójczo mocnego espresso.

– Nie widziałeś, że to się kroi, Casey. – Patrzy na mnie z głębin swoich okularów poznaczonych odciskami palców. – Bo nie radzisz sobie z nietypowym kojarzeniem. Czytasz instrukcje. Myślałeś, że na czym jeszcze jej zależy? Seks? Więcej amfy? Trasa po świecie? To wszystko pozostawiła już za sobą. Dzięki temu była taka silna. To było poza nią.

Dlatego *Królowie snu* są takim hitem, jakim są, dlatego dzieciaki to kupują, dlatego w to wierzą. Bo wiedzą. Te dzieciaki przy Targu, które grzeją tyłki przy ogniu i zastanawiają się, czy znajdą dziś jakieś miejsce do spania... oni w to wierzą. To najostrzejszy soft od ośmiu lat. Gość ze sklepu na Granville mówił mi, że więcej mu kradną tych nagrań, niż kupują czegokolwiek innego. Mówi, że samo trzymanie tego na półkach to kłopot... Ona jest na szczycie, bo była tym, czym oni są teraz, tylko bardziej. Wiedziała, chłopie. Żadnych marzeń, żadnej nadziei. Nie widzisz klatek wokół tych dzieciaków, ale coraz lepiej i lepiej jarzą, że nigdzie się stąd nie wyrwą. – Strzepuje z podbródka tłusty kawałek mięsa, ale zostawia trzy inne. – No więc wyśpiewała to dla nich, opowiedziała tak, jak oni nie potrafią, namalowała im pejzaż. A pieniądze wykorzystwała, by kupić sobie wyjście stąd... I tyle.

Patrzę, jak para skrapla się i wielkimi kroplami ścieka po szybie, rysując ścieżki w szarości kondensacji. Za oknem rozróżniam częściowo rozebraną ładę, bez kół, z osiami na chodniku.

– Ilu ludzi to zrobiło, Rubin? Orientujesz się?

– Nie za wielu. Zresztą trudno powiedzieć, bo duża część z nich to pewnie politycy, których uważamy za bezpiecznie i pewnie martwych. – Rzuca mi dziwne spojrzenie. – Niezbyt przyjemna myśl. No i oni pierwsi testowali technologię. To wciąż za drogi biznes dla dowolnego tuzina zwyczajnych milionerów... W każdym razie słyszałem o co najmniej siedmiu. Podobno Mitsubishi załatwił to Weinbergowi, zanim jego system immunologiczny w końcu padł na wznak. Był szefem ich hybrydomowego laboratorium w Okayamie. Dalej stoją bardzo wysoko w monoklonalach, więc może to prawda. I Langlais, ten francuski chłopak, ten powieściopisarz... – Wzrusza ramionami. – Lisa nie miała na to pieniędzy. Nawet teraz pewnie jej brakuje. Ale ustawiła się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Miała się wkrótce wykończyć, była w Hollywood i oni tam już widzieli, co osiągną *Królowie*.

* * *

W dniu, kiedy skończyliśmy, zespół wysiadł z promu JAL z Londynu: czterech chudych chłopaków, którzy działali jak dobrze nasmarowana

maszyna i demonstrowali hipertroficzne wyczucie mody oraz totalny brak emocji. Usadziłem ich rządkiem w Pilocie, na identycznych białych fotelach biurowych z Ikei. Rozsmarowałem im na skroniach salinową pastę, przykleiłem trody i przepuściłem roboczą wersję tego, co miało się stać *Królami snu*. Kiedy się wypięli, zaczęli mówić wszyscy naraz, totalnie mnie ignorując. Używali brytyjskiej wersji tego tajnego języka, jakim się posługują wszyscy studyjni muzycy; cztery pary bladych dłoni zoomowało i cięło powietrze.

Zrozumiałem dość, by uznać, że są podekscytowani. I uważają, że materiał jest dobry. No więc wzięłem kurtkę i wyszedłem. Mogli sobie sami powycierać tę pastę.

Tej nocy widziałem Lisę po raz ostatni, choć tego nie planowałem.

* * *

Idąc wzdłuż Targu, Rubin hałaśliwie trawi posiłek. Czerwone tylne światła samochodów odbijają się w mokrym bruku, a miasto za Targiem jest czystą rzeźbą światła, kłamstwem, w którym zrujnowani i zagubieni kopią nory w *gomi*, rosnącym jak humus u podstawy szklanych wież.

– Muszę jutro lecieć do Frankfurtu, montować instalację. Chciałbyś się zabrać? Mógłbym cię wpisać jako technika. – Wzruszając ramionami, wsuwa się głębiej w wojskową kurtkę. – Nie mogę ci zapłacić, ale przelot miałbyś za darmo, jeśli chcesz...

Zabawna propozycja od Rubina i wiem, że to dlatego, że się o mnie martwi, uważa, że dziwnie się zachowuję w kwestii Lisy i to jedyne, co potrafił wymyślić, żeby mnie wyrwać z miasta.

– We Frankfurcie jest teraz zimniej niż tutaj.

– Może trzeba ci zmiany, Casey. Nie wiem...

– Dzięki, ale Max ma w kolejce masę zleceń. Pilot jest teraz sławny, ludzie przylatują ze wszystkich stron...

– Jasne.

* * *

Kiedy zostawiłem zespół w Pilocie, ruszyłem do domu. Przeszedłem Czwartą i złapałem trolejbus. Jechałem obok sklepowych wystaw, które oglądałem codziennie, a każda oświetlona krzykliwie i kolorowo, ciuchy, buty, software, japońskie motocykle przyczajone jak lśniące emaliowane skorpiony, włoskie meble. Wystawy zmieniają się z porami roku, sklepy pojawiają się i znikają. Wtedy obowiązywał tryb przedświąteczny, po ulicach krążyło sporo ludzi, wiele par mijających te jaskrawe wystawy energicznym szybkim krokiem w drodze po to perfekcyjne coś tam dla kogoś tam. Połowa dziewcząt paradowała w tych watowanych nylonowych dziwacznych butach do pół uda, które zeszłej zimy trafiły tu z Nowego Jorku – tych, o których Rubin mówi, że wygląda się w nich, jakby człowiek miał słoniowaciznę. Uśmiechnąłem się, kiedy to sobie przypomniałem, i nagle do mnie dotarło, że z Lisą już naprawdę koniec, teraz Hollywood wessie ją równie nieubłagane, jakby wetknęła palec w czarną dziurę, schwytana przez niewyobrażalną siłę przyciągania Wielkich Pieniędzy. Wierząc w to – że odeszła, prawdopodobnie odeszła już wtedy – opuściłem w sobie jakąś gardę i poczułem obrzeża żalu. Tylko obrzeża, bo nie chciałem, żeby cokolwiek popsuło mi wieczór. Planowałem niezłą imprezę. Pierwszą od dłuższego czasu.

Wysiadłem na swoim rogu, a winda ruszyła po pierwszej próbie – dobry znak, powiedziałem sobie. Na górze rozebrałem się, wziąłem prysznic, znalazłem czystą koszulę, podgrzałem w mikrofali burrito. Czuj się normalnie, poradziłem swojemu odbiciu przy goleniu. Za ciężko pracowałeś. Twoje karty kredytowe mocno przytyły. Pora coś z tym zrobić.

Burrito smakowały jak tektura, ale uznałem, że je lubię, ponieważ są tak agresywnie normalne. Mój samochód był w Barnaby, bo wymieniali mu nieszczelne ogniwo wodorowe, więc nie musiałem się przejmować prowadzeniem. Mogłem wyjść, poszukać balangi, a rano zadzwonić do Maxa i powiedzieć, że jestem chory. Nie będzie się wściekał – byłem jego gwiazdą. Wiele mi zawdzięczał.

Jesteś mi to winien, Max, zwróciłem się do wyłowionej z zamrażalnika subzerowej butelki Moskovskoj. Jesteś mi winien jak diabli. Właśnie spędziłem trzy tygodnie, montując sny i koszmary pewnej bardzo pokręconej osoby, Max. Dla ciebie. Żebyś mógł rosnąć i prosperować, Max.

Nalałem wódki na trzy palce do plastikowej szklaneczki, która została mi z imprezy, jaką urządziłem w zeszłym roku, i przeszedłem do salonu.

Czasami mam wrażenie, że nikt konkretny tu nie mieszka. Nie chodzi o bałagan – jestem niezłym, choć nieco mechanicznym gospodarzem, i pamiętam nawet, żeby odkurzać górne krawędzie plakatów w ramach i takie rzeczy, ale zdarzają się chwile, kiedy swym typowym nagromadzeniem typowych konsumenckich sprzętów to miejsce budzi we mnie mocne dreszcze. Znaczy, nie o to chodzi, że chcę tu napakować kotów, kwiatków w doniczkach czy czego tam jeszcze, ale niekiedy widzę, że mógłby tu mieszkać ktokolwiek, że ktokolwiek mógłby posiadać te rzeczy, że wszystko jest tak jakby wymienialne: moje życie i wasze, moje i czyjekolwiek...

Myślę, że Rubin widzi rzeczy podobnie, ale dla niego stanowi to źródło siły. Żyje wśród śmieci innych ludzi, a wszystko, co wlecze do domu, musiało kiedyś być nowe i błyszczące, musiało – choćby krótko – coś dla kogoś znaczyć. Dlatego zmiata to wszystko do swojej zwariowanej z wyglądu ciężarówki, wiezie do siebie i kompostuje na parę miesięcy, aż wymyśli, co nowego można z tym zrobić. Kiedyś pokazał mi książkę o dwudziestowiecznej sztuce, którą lubił; było tam zdjęcie zautomatyzowanej rzeźby zatytułowanej *Martwe ptaki latają znowu* – konstrukcja, która kręciła w kółko prawdziwymi martwymi ptakami na sznureczkach. Uśmiechał się i kiwał głową, a ja rozumiałem, że uważa autora za kogoś w rodzaju duchowego przodka. Ale co Rubin mógłby zrobić z moimi plakatami w ramach, moim meksykańskim futonem z Bay, moim piankowym łóżkiem z Ikei? No cóż, pomyślałem, wypijając pierwszy chłodny łyk, coś by pewnie wykombinował i właśnie dlatego on jest sławny, a ja nie.

Podszedłem do okna i przycisnąłem czoło do szyby, zimnej jak kieliszek w dłoni. Pora ruszać, powiedziałem sobie. Zdradzasz objawy niepokoju miejskiego singla. Są na to lekarstwa. Wypij. Wyjdź.

Tej nocy nie osiągnąłem imprezowego stanu ducha. Nie wykazałem się też rozsądkiem człowieka dojrzałego i nie zrezygnowałem, żeby wrócić do domu, obejrzeć jakiś prehistoryczny film i zasnąć na futonie. Napięcie, jakie wywołały te minione trzy tygodnie, pędziło mnie niczym sprężyna mechanicznego zegarka, więc tykałem przez nocne miasto, smarując ten mniej czy bardziej przypadkowy marsz kolejnymi drinkami. To była jedna z tych nocy, uświadomiłem sobie szybko, kiedy człowiek prześlizguje się do alternatywnego kontinuum, do miasta, które wygląda dokładnie tak jak

to, w którym mieszka, z jedną niezwykłą różnicą, że nie ma w nim ani jednej osoby, którą by kochał, znał, albo choćby z którą rozmawiał kiedyś wcześniej. W takie noce człowiek wchodzi do znajomego baru i odkrywa, że właśnie zmieniono personel, i nagle pojmuję, że prawdziwym motywem wejścia tam była zwykła chęć zobaczenia znajomej twarzy – barmana, kelnerki, kogokolwiek... Takie rzeczy na ogół gaszą imprezowe nastroje.

Ale nie poddawałem się jeszcze przez sześć czy osiem knajp, aż trafiłem do westendowego klubu, który wyglądał, jakby go nie remontowali od lat dziewięćdziesiątych. Masa łuszczącego się chromu na plastikach, rozmyte hologramy, wywołujące ból głowy, jeśli człowiek próbował dokładniej się im przyglądać. Myślę, że Barry mówił mi o tym lokalu, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

Rozejrzałem się i uśmiechnąłem. Jeśli chciałem popaść w depresję, trafiłem we właściwe miejsce. Tak jest, powiedziałem sobie, siadając na narożnym stolku przy barze; to naprawdę smutne, normalna otchłań. Dostatecznie okropne, żeby wyhamować rozpęd tego gównianego wieczoru, co bez wątpienia było godne pochwały. Pomyślałem, że walnę jeszcze jednego strzemiennego, pozachwycam się tym brudem, a potem wezmę taksówkę do domu.

I wtedy zobaczyłem Lisę.

Nie zauważyła mnie, jeszcze nie, wciąż miałem na sobie kurtkę z tweedowym kołnierzem postawionym dla ochrony przed chłodem. Siedziała za rogiem przy barze, mając przed sobą kilka pustych szklanek, takich dużych, które podają z małymi parasolkami albo plastikowymi syrenami w środku. A kiedy spojrzała na chłopaka obok, zobaczyłem w jej oczach błysk amfy i wiedziałem, że w tych drinkach nie było kropli alkoholu, bo te poziomy prochów, na jakich działała, nie dopuszczają mieszanek. Chłopak za to praktycznie odjechał; zdawało się, że z tępym pijackim uśmieszkiem zjedzie zaraz ze stolka na podłogę. Bełkotał coś i usiłował zogniskować wzrok, by lepiej się przyjrzeć Lisie, która siedziała tam w tej dobranej przez ekipę garderobianą czarnej skórzanej bluzie, zapiętej pod brodę, z czaszką mającą właśnie rozbłysnąć spod bladej twarzy jak tysiącwatowa żarówka.

I widząc to, widząc ją tam, zrozumiałem kilka rzeczy naraz.

Że naprawdę umiera, od prochów albo od tej choroby, albo połączenia obu. Że bardzo dobrze o tym wie. Że ten chłopak obok jest zbyt pijany, żeby

zauważyć egzozskielet, ale nie aż tak, by nie zwrócić uwagi na kosztowną kurtkę i pieniądze, jakie wydawała na drinki. I że to, co widzę, jest dokładnie tym, na co wygląda.

Ale nie potrafiłem tego skojarzyć, nie umiałem pojąć. Coś we mnie się wzdragało.

Uśmiechała się, a w każdym razie robiła coś, co pewnie jej zdaniem przypominało uśmiech – wyraz twarzy, o jakim wiedziała, że jest odpowiedni do sytuacji; kiwała głową do rytmu bełkotliwych bzdur chłopaka, a ja przypominałem sobie ten jej potworny tekst, ten, że lubi popatrzeć.

I teraz wiem coś jeszcze. Wiem, że gdybym tam nie trafił, gdybym ich nie widział, pewnie potrafiłbym zaakceptować to, co zdarzyło się później. Może nawet znalazłbym sposób, by cieszyć się za nią, albo żeby zaufać temu czemuś, czym przez ten czas się stała, czy też co stworzono na jej podobieństwo – programowi udającemu Lisę tak dobrze, by sam uwierzył, że nią jest. Mógłbym uwierzyć w to, co wierzy Rubin, że tak daleko odeszła ta nasza hi-techowa święta Joanna, płonąca pragnieniem związku z tym elektronicznym bóstwem w Hollywood, że nic już nie miało dla niej znaczenia prócz godziny odlotu. Że z okrzykiem radości odrzuciła smętną, nędzną powłokę, uwolniona od więzów polikarbonu i znienawidzonego ciała.

Cóż, możliwe, że tak. Może tak się stało. Jestem pewien, że ona sama tego właśnie oczekiwała.

Ale kiedy ją tu zobaczyłem, trzymającą dłoń pijanego dzieciaka – dłoń, której nawet nie czuła – zrozumiałem raz na zawsze, że żaden ludzki motyw nie jest czysty. Nawet Lisa z tym swoim żrącym, szaleńczym pędem do gwiazdorstwa i cybernetycznej nieśmiertelności miała swoje słabości. Była ludzka w pewien sposób – musiałem to przyznać i sam siebie za to znienawidziłem.

Wiedziałem, że wyszła tamtej nocy, by pocałować się na pożegnanie. Znaleźć kogoś dostatecznie pijanego, by to dla niej zrobił. Ponieważ, jak wtedy zrozumiałem, to była prawda: lubiła patrzeć.

Myślę, że mnie zauważyła, kiedy wychodziłem, praktycznie biegiem. Jeśli tak, to pewnie nienawidziła mnie bardziej niż kiedykolwiek, za tę groźę i litość na twarzy.

Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

* * *

Któregoś dnia zapytam Rubina, czemu jedyne drinki, jakie potrafi robić, to whiskey sour z Wild Turkey. Mają przemysłową moc, te jego drinki. Rubin podaje mi wgnieciony aluminiowy kubek, a cały jego lokal tyka i drży wokół nas od dyskretnej aktywności pomniejszych jego tworców.

– Powinieneś lecieć do Frankfurtu – powtarza.

– Czemu, Rubin?

– Bo całkiem niedługo ona do ciebie zadzwoni, a myślę sobie, że może jeszcze nie jesteś na to gotowy. Wciąż ci odwała z tego powodu, a to będzie brzmiało jak ona, myślało jak ona, i za bardzo od tego ześwirujesz. Poleć ze mną do Frankfurtu, a złapiesz trochę oddechu. Nie dowie się, że tam jesteś...

– Mówiłem ci – odparłem, pamiętając ją przy barze w tamtym klubie. – Masa roboty. Max...

– Pieprz Maxa. Z Maxa zrobiłeś właśnie człowieka bogatego. Max może teraz palcem nie kiwnąć. Sam jesteś bogaty z twojej działki tantiem z *Królów*, tyle że uparłeś się, żeby nie sprawdzać stanu konta. Stać cię na wakacje.

Patrzę na niego i zastanawiam się, kiedy mu opowiem historię o tym ostatnim spotkaniu.

– Rubin, doceniam to, naprawdę, tylko że...

Wzdycha, pije.

– Tylko że co?

– Rubin... jeśli zadzwoni... czy to będzie ona?

Długo mi się przygląda.

– Bóg jeden wie. – Jego kubek stuka o blat. – Widzisz, Casey, technologia już jest, no więc kto, chłopie, ale naprawdę kto może wiedzieć?

– I uważasz, że powinienem lecieć z tobą do Frankfurtu?

Zdejmuje okulary w drucianych oprawkach i nieskutecznie przeciera szkła połą grubej flanelowej koszuli.

– Tak, uważam. Musisz odpocząć. Może teraz tego nie potrzebujesz, ale później na pewno.

– A to czemu?

– Bo będziesz musiał montować jej następny album. Co prawie na pewno nastąpi szybko, ponieważ ona bardzo potrzebuje pieniędzy. Zajmuje mnóstwo ROMu na jakimś korporacyjnym mainframe, a jej działka z *Królów* nawet z grubsza nie spłaci tego, co musieli zrobić, żeby ją tam umieścić. A ty jesteś jej montażystą, Casey. Znaczący: kto inny?

Tylko gapię się na niego, kiedy znowu zakłada okulary – jakbym nie mógł się ruszyć.

– No, kto inny, chłopie?

A jeden z jego konstruktów tyka głośno właśnie w tej chwili – czysty, cichy dźwięk, nic więcej, a do mnie dociera wtedy, że ma rację.

starcie

William Gibson
Michael Swanwick

Planował jechać wciąż dalej, nie schodzić z trasy aż do Florydy. Zarobić na przejazd u jakiegoś przemytnika broni, może dać się zaciągnąć do jakiejś obdartej armii buntowników w strefie wojny. Albo może – skoro bilet miał ważny, dopóki nie przerwie jazdy – zwyczajnie nigdy nie wysiadać, jak Latający Holender Greyhounda. Uśmiechnął się do swego niewyraźnego odbicia w zimnej, brudnej szybie, kiedy za oknem przesuwały się światła śródmieścia Norfolk. Autobus zakołysał się na zużytych resorach, gdy kierowca skręcał na ostatnim rogu. Potem zadrżał i stanął na terminalu – oświetlony beton, szary i surowy jak plac ćwiczeń w więzieniu. Ale Deke widział oczyma wyobraźni, jak zdycha z głodu, być może w śnieżycy pod Oswego, z policzkiem przyciśniętym do tego samego okna w autobusie, widział swoje szczątki wymiatane na następnym przystanku przez mamroczącego staruszka w wyblakłym drelichu. W ten czy inny sposób, pomyślał; nie miało to znaczenia. Tyle że nogi już teraz wydawały się martwe. A kierowca ogłosił dwudziestominutowy postój na Tidewater Station, Virginia. Był to stary budynek z pustaków, z dwoma wejściami do każdej z toalet, zachowany z zeszłego stulecia.

Na nogach jak z drewna, bez przekonania próbował się przymierzyć do stoiska z drobiazgami, ale stojąca tam czarna dziewczyna była czujna i strzegła skromnej zawartości starej szklanej szafki, jakby od tego zależał jej tyłek. I pewnie zależy, pomyślał Deke, odwracając się. Naprzeciwko toalet otwarte drzwi proponowały GRY, a słowo migotało słabo, wycięte w biofluorescencyjnym plastiku. Widział tłum miejscowych wieśniaków, zebranych wokół stołu bilardowego.

Bez celu, z nudą sunącą za nim jak chmura, wsunął głowę do środka. I zobaczył dwupłatowca, ze skrzydłami nie dłuższymi od kciuka, jak rozkwita pomarańczowym płomieniem. Wirując w korkociągu i ciągnąc za sobą smugę dymu, zniknął w chwili, gdy uderzył o zielone pole filcu na stole.

– Dobrze, Tiny! – huknął wieśniak. – I co, sukinsynu?

– Hej – odezwał się Deke. – Co się dzieje?

Najbliższy wieśniak był chudy jak tyka i nosił czarną siatkową czapeczkę Peterbilta.

– Tiny broni Maxa – wyjaśnił, nie odrywając wzroku od stołu.

– Aha... A niby jak?

Ale już pytając, zobaczył go: niebieski emaliowany medal w kształcie krzyża maltańskiego, z mottem *Pour le Merite* podzielonym między ramiona.

Błękitny Max leżał na brzegu stołu, przed ogromnym i całkowicie nieruchomym cielskim wbitym w delikatne z wyglądu krzesło z chromowanych rurek. Koszula w kolorze khaki na Deke'em wisiałaby jak fałdy żagla, ale wzdęty tors mężczyzny opinała tak mocno, że guziki lada moment groziły zerwaniem. Deke pomyślał o żołnierzach z południa, których widywał po drodze; o tym dziwnym brzuchatym endotypie, balansującym na chudych nóżkach, wyglądających jak pożyczone z innego ciała. Tiny tak by pewnie wyglądał, tylko w większej skali; dzinsy czterdzieści cali w obwodzie potrzebowałyby stalowego pasa, by podtrzymać ciężar wypiętego brzuszyska. To znaczy, o ile Tiny w ogóle by wstał, bo Deke zauważył teraz, że ta błyszcząca rama jest w rzeczywistości wózkiem inwalidzkim. W twarzy mężczyzny było coś niepokojąco dziecięcego: przerażająca sugestia młodości, a nawet piękna w rysach niemal całkowicie zagrzebanych pod fałdami i obwisłymi policzkami. Zakłopotany Deke odwrócił wzrok. Drugi mężczyzna, stojący naprzeciwko Tiny'ego, miał krzaczaste bokobrody i wąskie wargi. Zdawało się, że próbuje pchnąć coś oczami, zmarszczki koncentracji rozbiegały się z kącików...

– Ówok jesteś czy jak? – Człowiek w czapeczce Peterbilta odwrócił się i po raz pierwszy zauważył u Deke'a indonezyjskie dzinsy prolboya i mosiężne łańcuchy na przegubach. – Może zabierzesz stąd swój tyłek, dupku? Nikt tu nie chce takich jak ty.

I wrócił do oglądania pojedynku.

Robiono zakłady, krążyły pieniądze. Wieśniacy wyciągali twardą gotówkę, starą: dolary z głową Statuy Wolności i rooseveltowskie dziesiątki ze sklepów numizmatycznych; ostrożniejsi kładli na stół laminowane przezroczystym plastikiem antyczne papierowe dolary. Z mgielki wyleciała trójka czerwonych samolotów w szyku – Fokkery D VII.

Sala ucichła. Fokkery wykręciły majestatycznie pod słoneczną kulą dwustuwatowej żarówki.

Niebieski Spad zanurkował znikąd. Dwa kolejne pikowały zaraz za nim spod mrocznego sklepienia. Wieśniacy zakłęli, jeden zachichotał. Szyk rozłamał się gwałtownie: jeden Fokker zanurkował niemal do filcu, ale nie zdołał zgubić siedzącego mu na ogonie Spada. Zygzakował wściekle nad zieloną równiną, wciąż bez skutku. W końcu wzniósł się, nadal ścigany przez przeciwnika, jednak zbyt stromo, i przeciągnął, za nisko, by wyprowadzić na czas.

Ktoś zgarnął stosik srebrnych dziesiątek.

Fokkery walczyły teraz w mniejszości. Jeden z nich miał na ogonie dwa Spady. Strumień pocisków smugowych rozerwał mu kokpit. Fokker wykonał zwrot, wykręcił immelmana i znalazł się za jednym ze ścigających. Strzelił i dwupłat runął w korkociągu.

– Dobrze jest, Tiny!

Wieśniacy zacieśnili krąg wokół stołu.

Deke znieruchomiał w zachwycie. Czuł się tak, jakby narodził się na nowo.

* * *

Parking ciężarówek u Franka znajdował się dwie mile od miasta, na trasie tylko dla pojazdów komercyjnych. Deke zauważył go z okna autobusu i z przyzwyczajenia zapamiętał. Teraz wrócił piechotą, idąc pomiędzy jezdnią a betonowymi barierami. Ciężarówki z naczepami mijały go szybko – wielkie, ośmiosegmentowe wozy, grożące, że zdmuchną go z drogi samym pędem powietrza. Ale takie parkingi były łatwym łupem. Kiedy wszedł swobodnym krokiem do Franka, nie było nikogo, kto by wątpił, że wysiadł z wielkiej ciężarówki; mógł więc bez pośpiechu rozejrzeć się po sklepie z pamiątkami. Druciany stojak z płytkami projekcyjnego softu stał za stosem koreańskich kowbojskich koszul i wystawką chlapaczy Fuzz Buster. Nad stojakiem skręcała się w powietrzu para orientalnych smoków – pieprzyły się albo walczyły, nie potrafił określić. Gra, której szukał, też tam była: płytka z etykietą SPADY&FOKKERY. Potrzebował trzech sekund, żeby ją zapakować, a jeszcze mniej, żeby przejechać magnesem – którego

glinom w Detroit nie chciało się nawet konfiskować – przez uniwersalny pasek zabezpieczenia. W drodze do wyjścia zwinął jeszcze dwa zestawy programowania i mały transmitter – remotkę Batanga, podobną do antycznego aparatu słuchowego.

Blok mieszkalny wybrał przypadkowo i agentowi wynajmu sprzedał tę samą historyjkę, z jakiej korzystał, odkąd zabrali mu prawa do socjału. Nikt nigdy nie sprawdzał; państwo tylko liczyło zajęte pokoje i płaciło.

Pokój cuchnął trochę moczem, a ktoś powypisywał na ścianach hasła Radykalnie Anarchistycznego Frontu Wyzwolenia. Deke wykopał śmieci z kąta, usiadł oparty plecami o ścianę i rozerwał opakowanie płytki.

Była tam złożona kartka z instrukcją i schematami pętli, beczek i immelmanów, tuba pasty solankowej i wydrukowana lista specyfikacji komputera. No i sama płytka, biały plastik z logo i niebieskim dwupłatowcem po jednej stronie, a czerwonym po drugiej. Obracał ją w palcach: SPADY&FOKKERY, FOKKERY&SPADY. Czerwone albo niebieskie...

Wsunął Batanga za ucho, najpierw posmarował pastą powierzchnię induktora, po czym wpiął taśmę światłowodu do programatora, a ten podłączył do gniazdka w ścianie. Wsunął płytkę. Zestaw był tani, indonezyjski, i Deke czuł nieprzyjemne brzęczenie u podstawy czaszki, póki program się wczytywał. Ale wreszcie skończył i błękitny jak niebo Spad przemknął niespokojnie przez powietrze o dziesięć centymetrów od twarzy Deke'a. Jarzył się niemal, tak był rzeczywisty. Miał to niezwykle wewnętrzne życie, typowe raczej dla fantastycznie szczegółowych modeli muzealnych, wymagał jednak pełnej koncentracji, by utrzymać swe istnienie. Wystarczyło, że uwaga Deke'a rozproszyła się odrobinę, a tracił ostrość i rozmywał się w żalospną plamę.

Deke ćwiczył, dopóki nie wyczerpały się baterie w zestawie nausznym, a potem osunął się przy ścianie i zasnął. Śnił o lataniu we wszechświecie złożonym całkowicie z białych chmur i błękitnego nieba, bez góry i dołu, i bez zielonego pola, by się o nie rozbić.

* * *

Obudził się, czując zjełczały smród smażonych kryłowych czipsów, i skrzywił się z głodu. Forsy też nie miał. Ale w bloku mieszkała masa różnych studentów. Na pewno znajdzie się jakiś chętny na zestaw programatora.

Ze zwiniętym wczoraj egzemplarzem wyszedł na korytarz. Całkiem niedaleko trafił na drzwi z plakatem: TUŻ OBOK CZEKA PIEKIELNIE DOBRY WSZECHŚWIAT. Pod spodem widniał gwiazdny pejzaż z wirem kolorowych pigulek, wyrwanym z reklamy jakieś firmy farmaceutycznej, naklejony na inspirującą grafikę „kolonii kosmicznej”, której budowa rozpoczęła się jeszcze przed narodzinami Deke’a. RUSZAJMY, zachęcał plakat pod kolażem hipnotyków.

Zapukał. Drzwi otworzyły się, a zasuwki bezpieczeństwa zatrzymały je, odsłaniając pięciocentymetrowy pasek dziewczęcej twarzy.

– Tak?

– Pomyślisz pewnie, że jest kradziony – powiedział, przekładając z ręki do ręki programator. – Znaczący, ponieważ jest całkiem nowy, praktycznie błysk, i wciąż ma naklejony kod kreskowy. Ale wiesz, nie mam zamiaru tego tłumaczyć. Nie. Oddam ci go za połowę tego, co byś zapłaciła gdziekolwiek indziej.

– Ej, łau, powaga, nie żartujesz? – Widzialna część ust wykrzywiła się w dziwnym uśmiechu. Wyciągnęła rękę, otwartą dłonią do góry. – Popatrz no tutaj.

W dłoni był otwór, czarny tunel biegnący wzdłuż ramienia. Dwa małe czerwone światełka: szczurze ślepie. Pobiegły ku niemu, rosnąc, błyszcząc... Coś szarego przemknęło do przodu i skoczyło mu na twarz.

Wrzasnął i uniósł ręce, by się przed tym osłonić. Nogi ugięły mu się i upadł, zgniatając pod sobą programator.

Krzemowe odłamki rozsypały się, kiedy wił się na podłodze, ściskając rękami głowę. Jak już bolało, to bolało, i to mocno...

– O Boże... – Zasuwki puściły i dziewczyna pochyliła się nad nim. – Słuchaj, ocknij się, tutaj... – Podsunęła mu niebieski ręcznik. – Złap się, to cię podciągnę.

Spojrzał na nią przez zasłonę łez. Studentka. Syta z wyglądu, za duża bluza, zęby tak białe i proste, że mogłyby posłużyć do oceny zdolności kredytowej. Cienki złoty łańcuszek na kostce (pokrytej, jak zauważył,

dziecięcym meszkiem włosów). Wzburzone, po japońsku przycięte włosy. Pieniądze.

– To draństwo miało być moim obiadem – stwierdził żałośnie, chwycił ręcznik i pozwolił postawić się na nogi.

Uśmiechnęła się, ale odsunęła od niego płochliwie.

– Spróbuję jakoś ci to wynagrodzić – powiedziała. – Chcesz coś zjeść? To była tylko projekcja, rozumiesz...

Poszedł za nią, czujny, jak zwierzę wchodzące do pułapki.

* * *

– Niech mnie... – westchnął Deke. – To prawdziwy ser.

Siedział na sprężynującej kanapie, zaklinowany między ponad metrowym pluszowym misiem i nierównym stosem dysków. Pokój był po kostki zasłany książkami, ciuchami i papierami. Ale jedzenie, które wyczarowała: ser Gouda, wołowinę z puszkii i prawdziwe cieplarniane pszeniczne wafle, pochodziło wprost z Tysiąca i Jednej Nocy.

– Hej – rzuciła. – Wiemy, jak traktować prolboya, co?

Nazywała się Nance Bettendorf i miała siedemnaście lat. Oboje jej rodzice pracowali, chciwe dranie, a ona robiła dyplom z nauk technicznych w College of William and Mary. I miała najwyższe oceny, z wyjątkiem angielskiego.

– Przypuszczam, że masz jakąś ostrą reakcję na szczury. Jakaś fobia?

Zerknął z ukosa na jej łóżko. Właściwie to było prawie niewidoczne, tylko lekka wypukłość w wykładzinie podłogowej.

– To nie tak. Tylko sobie o czymś przypominałem, nic więcej.

– Niby o czym?

Przykucnęła przed nim, a luźna koszula wjechała wysoko po gładkim udzie.

– No... Widziałaś kiedy... – Głos wzniósł mu się mimowolnie, kiedy w pośpiechu wyrzucał z siebie słowa: – ...pomnik Washingtona? Nocą, znaczy? Ma te dwa czerwone światełka, markery dla samolotów czy coś, a ja... ja...

Zaczął się trząść.

– Boisz się pomnika Washingtona? – zawołała Nance i przewróciła się ze śmiechu, machając w powietrzu długimi opalonymi nogami. Nosiła fioletowe majtki od bikini.

– Raczej zdechnę, niż znów na niego spojrzę – odparł stanowczo.

Wtedy przestała się śmiać, usiadła i przyjrzała się jego twarzy. Pobladła, i nawet zęby przygryzły dolną wargę, jakby starała się wydobyć z umysłu coś, o czym wolą nie myśleć.

– Blokada mózgowa? – spytała w końcu.

– Tak – przyznał z goryczą. – Powiedzieli, że już nigdy nie wrócę do D.C. A potem dranie się śmiali.

– I za co cię tak załatwili?

– Jestem złodziejem.

Nie miał ochoty jej tłumaczyć, że w rzeczywistości zarzut mówił o zawodowym okradaniu sklepów.

* * *

– Kupa dawnych hakerów komputerowych zarabia na życie programowaniem maszyn. I wiesz co? Ludzki mózg wcale nie jest podobny do maszyny, w ogóle. Nie da się ich tak samo programować.

Deke dobrze znał ten piskliwy, desperacki rap, długą, nawracającą gadkę, jaką samotni wygłaszają rzadko spotykanym słuchaczom. Znał ją z setki zimnych i pustych nocy spędzonych w towarzystwie obcych. Nance całkiem w tym zatoneła, a Deke – kiwając głową i ziewając – zastanawiał się, czy w ogóle będzie w stanie nie zasnąć, kiedy już trafią do tego jej łóżeczka.

– Sama zbudowałam tę projekcję, którą ci przyłożyłam – oświadczyła. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi rękami. – Na bandytów, rozumiesz. Akurat miałam ją ze sobą, i rzuciłam w ciebie, bo uznałam, że to śmieszne, nie, jak próbujesz mi sprzedać ten gówniany indojawajski programator. – Pochyliła się i znów wyciągnęła dłoń. – Popatrz.

Deke skulił się.

– Nie, nie, w porządku. Słowo, to coś innego.

Rozprostowała palce.

Na jej dłoni tańczył samotny błękitny płomień, doskonały i wiecznie zmienny.

– Spójrz na to – powiedziała z zachwytem. – Tylko popatrz. Ja to programowałam. I to nie jest żaden siedmioobrazkowy badziew. To ciągła dwugodzinna pętla, siedem tysięcy dwieście sekund, bez żadnej powtórki, każdy moment tak niepowtarzalny jak pieprzony płatek śniegu!

Rdzeniem płomienia był lodowy kryształ, odłamki i fasety błyskające, skręcające się i znikające, pozostawiały niemal podświadome obrazy tak jasne i ostre, że raniły oczy. Deke drgnął. Obrazy, głównie ludzi. Licznych małych nagich ludzików, którzy się pieprzą.

– Jak to zrobiłaś, do diabła?

Wstała; jej bose stopy ślizgały się po kredowym papierze magazynów. Melodramatycznym gestem odsunęła papierowe fałdy składankowych wydruków, odsłaniając półkę z surowej sklejki. Zobaczył tam równy rząd niewielkich konsoli: ascetyczne i kosztowne z wyglądu. Robota na zamówienie.

– To jest prawdziwy sprzęt, jaki tu trzymam. Transmitter obrazu. Mój moduł kasatora. To jest analizator funkcji map mózgowych, jeden do jednego. – Wyśpiewywała te nazwy jak litanie. – Stabilizator migotania kwantowego. Sploter programowy. Assembler obrazu...

– Wszystko to potrzebne, żeby uzyskać jeden mały płomyk?

– No jasne. To jest topowy, profesjonalny sprzęt do projekcyjnego wetware'u. O lata wyprzedza wszystko, co widziałeś.

– Moment... – wtrącił. – Wiesz coś o SPADACH&FOKKERACH?

Zaśmiała się. I wtedy, ponieważ chwila wydawała się odpowiednia, wyciągnęła rękę, by ująć jej dłoń.

– Nie dotykaj mnie, ja to pieprzę, nie, nigdy mnie nie dotykaj! – wrzasnęła Nance i uderzyła głową o ścianę, kiedy odsunęła się gwałtownie, błada i drżąca ze zgrozy.

– Jasne! – Uniósł ręce. – W porządku. Patrz, w ogóle nie jestem blisko. Dobrze?

Cofała się przed nim; oczy miała okrągłe i nie mrugała, a łzy wzbierały jej w kącikach i spływały na poszarzałe policzki. W końcu potrząsnęła głową.

– Hej, Deke... Przepraszam. Powinnam cię uprzedzić.

– O czym uprzedzić? – Jednak ogarnęło go nieprzyjemne wrażenie, że już wie. To, jak chwyciła się za głowę. Jak niepewnie i spazmatycznie prostowała i zaciskała palce. – Też masz blok mózgowy?

– Tak. – Przymknęła oczy. – To blokada cnoty. Moi durni rodzice za nią zapłacili. Żeby nie mogła wytrzymać, kiedy ktoś mnie dotyka, ani nawet kiedy za blisko stanie. – Otworzyła oczy, pełne ślepej nienawiści. – Niczego przecież nie zrobiłam. Niczego. Ale oboje mają pracę i tak się jarają, żebym też zrobiła karierę, że nawet sikać prosto nie potrafią. Bali się, że zawalę studia, kiedy zajmę się, no wiesz, seksem i w ogóle. Ale jak tylko blokada zejdzie, tego samego dnia zerznę najpaskudniejszego, brudnego, owłosionego...

Znowu chwyciła się za głowę. Deke poderwał się i przeszukał apteczkę. Znalazł słoiczek z witaminą B-complex, na wszelki wypadek schował kilka tabletek, a dwie przyniósł Nance, razem ze szklanką wody.

– Połknij. – Uważał, żeby utrzymywać dystans. – To złagodzi objawy.

– Tak, tak... – mruknęła. A potem, jakby do siebie: – Naprawdę musisz mnie uważać za świrniętą.

* * *

Salon gier na stacji Greyhounda był prawie pusty. Samotny czternastolatek z długą szczęką pochylał się nad konsolą, manewrując tęczowymi flotyllami okrętów podwodnych w mrocznej kratownicy północnego Atlantyku.

Deke wszedł swobodnie, ubrany w swoje nowe wieśniackie ciuchy, i oparł się o ścianę z pustaków, gładką od niezliczonych warstw zielonej emalii. Spłukał farbę z prolboyowego fryzu, dzinsy i koszulkę zwinął ze sklepu Goodwill, a parę butów znalazł w szafce pod sauną w bloku z oszczędnościowym systemem ochrony.

– Widziałeś gdzieś Tiny’ego, przyjacielu?

Podwodne łódki śmigają jak neonowe gupiki.

– Zależy, kto pyta.

Deke dotknął pilota za lewym uchem. Spad pojawił się w becze nad konsolą, szybki i delikatny jak ważka. Był piękny: tak doskonały, tak realny,

że sala przy nim wydawała się iluzją. Zabrzęczał nad kratą, milimetry od szkła, wykorzystując zaprogramowany efekt przypowierzchniowy.

Dzieciak nie uniósł nawet głowy.

– U Jackmana – rzucił. – Przy Richmond Road, nad demobilem.

Spad Deke'a rozplątał się w połowie świecy.

* * *

Lokal Jackmana zajmował większą część drugiego piętra starego budynku z cegły. Deke znalazł najpierw Najlepsze Zakupy z Demobilu, a potem rozbity neon nad nieoświetlonym lobby. Chodnik przed budynkiem był zasypany innym typem demobilu: kalekami weteranami, często jeszcze z Indochin. Starzy mężczyźni, którym azjatyckie słońca zabrały oczy, siedzieli w kucki między rozdygotanymi chłopakami, którzy w Chile wciągali do płuc mykotoksyny. Deke odetchnął z ulgą, kiedy zamknęły się za nim drzwi odrapanej windy.

Na przeciwnym końcu długiego, widmowego pomieszczenia zakurzony zegar z logo Dr Pepper wskazywał za kwadrans ósmą. Lokal Jackmana został zabalsamowany dwadzieścia lat przed urodzeniem Deke'a, zapieczętowany pod żółtawą błoną nikotyny, politory i pomady do włosów. Bezpośrednio pod zegarem martwe oczy rekordowego jelenia, trofeum czyjegoś dziadka, wpatrywały się w Deke'a z oprawionej fotografii, która nabrała teraz barwy sepii karaluchowego pancerzyka. Usłyszał puknięcie i szept bilardu, zgrzyt roboczego buta na linoleum, kiedy gracz pochylił się do uderzenia. Gdzieś wysoko ponad lampami w zielonych abażurach wisiał łańcuch świątecznych bibułkowych dzwoneczków, wyblakłych do martwego rózu. Deke zbadał wzrokiem jedną po drugiej zagracone ściany. Nie było transmitera.

– Przynosimy, kiedy jest potrzebny – odezwał się ktoś.

Deke odwrócił się i spojrzał w łagodne oczy łysego mężczyzny, ukryte za okularami w drucianej oprawie.

– Nazywam się Cline. Bobby Earl. Nie wyglądasz mi na takiego, co lubi popykać w bilard.

Jednak w głosie czy postawie Bobby'ego Earla nie było niczego agresywnego. Zdjął z nosa druciane oprawki i chusteczką przetarł szkła.

Przypominał Deke'emu instruktora z warsztatów, który cierpliwie usiłował go nauczyć wstecznej instalacji biochipa.

– Jestem hazardzistą – oświadczył z uśmiechem. Zęby miał jak z białego plastiku. – Wiem, że niespecjalnie na takiego wyglądam.

– Szukam Tiny'ego – wyjaśnił Deke.

– No tak... – mruknął Bobby Earl, wkładając okulary. – Nie znajdziesz go. Pojechał do Bethesdy, żeby urząd weteranów przeczyścił mu hydraulikę. Ale i tak nie latałby przeciw tobie.

– Czemu nie?

– No bo nie jesteś z ligi, inaczej znałbym twoją twarz. Dobrze sobie radzisz? – A kiedy Deke przytaknął, Bobby Earl zawołał w głąb sali: – Hej, Clarence! Przynieś ten transmiter! Mamy tu lotnika.

Dwadzieścia minut później, kiedy przegrał swoją remotkę i całą gotówkę, jaka mu została, Deke siedł między okaleczonymi żołnierzami spod Najlepszych Zakupów.

– Coś ci powiem, chłopcze – rzekł Bobby Earl ojcowskim tonem, kładąc mu dłoń na ramieniu, kiedy stanęli przed drzwiami windy. – Nigdy nie wygrasz z weteranem pola bitwy. Słuchasz mnie? Ja tam nie jestem specjalnie dobry, zwykły dawny trep, który brał chemię piętnaście, może dwadzieścia razy. Stary Tiny był pilotem. Całą służbę odbył napompowany stymami po skrzela. I teraz ma zanik błon, paskudna sprawa. W życiu nie dasz mu rady.

Noc była chłodna, ale Deke aż się gotował z gniewu i poniżenia.

* * *

– Jezu, ależ prymityw – stwierdziła Nance, kiedy Spad ostrzelał stosy różowej bielizny.

Deke, zgarbiony na kanapie, wyrwał zza ucha jej błyszczącą remotkę Brauna.

– Może ty już się mnie nie czepiaj, panno bogata-suko-co-będzie-miała-pracę.

– Ej, nie wkurzaj się tak. To nie chodzi o ciebie, tylko o technikę. Bo masz tam całkiem prymitywną płytkę. Rozumiesz, na ulicy to może

i niezły soft, ale w porównaniu do pracy, jaką się zajmuję w szkole, to... daj spokój. Powinieneś mi pozwolić go przepisać.

– Co ty gadasz?

– Daj mi go podrasować. Te draństwa są pisane w heksadecymalnym, bo programiści przemysłowi to odstawieni hakerzy. W taki sposób myślą. Ale jeśli dasz mi to zabrać do czytnika-analizatora na wydziale, przelecieć kilka zmian, przetłumaczyć na współczesny wetjęzyk... Wyciąć nadmiarowe translatory pośredniczące... To ci podkreśli czas reakcji, wytnie połowę pętli sprzężeń. Będziesz latał szybciej i lepiej. Zmienię cię w prawdziwego zawodowca, Asie!

Pociągnęła z bonga, zakrztusiła się i zgięła w pół ze śmiechu.

– To legalne? – zapytał z powątpiewaniem Deke.

– Hej, a myślisz, że niby czemu ludzie kupują remotki ze złotymi przewodami? Dla prestiżu? W życiu. Lepsze przewodnictwo, więc ścina to parę nanosekund czasu reakcji. A czas reakcji to właśnie to, o co chodzi w tej grze, dziecinko.

– Nie – uznał Deke. – Gdyby to było takie łatwe, ludzie już by to mieli. Tiny Montgomery by to miał. Miałby wszystko, co najlepsze.

– Czy ty w ogóle słuchasz? – Nance odstawiła bonga i brązowa woda chlusnęła na podłogę. – To, nad czym pracuję, o trzy lata wyprzedza wszystko, co znajdziesz na ulicy.

– Ale numer... – mruknął Deke po długim milczeniu. – Znaczy, dałabyś radę?

* * *

To było jak przesiadka z Modelu T na 93 Lotusa. Spad prowadził się jak we śnie, reagując na najmniejszą myśl Deke'a. Przez długie tygodnie bez draśnięcia grał w salonach. Latał przeciwko miejscowym nastolatkom i pojedynczo albo trójkami zestrzeliwał ich samoloty. Ryzykował, grał na pokaz. A dwupłaty spadały, wirując...

Aż któregoś dnia, kiedy Deke chował wyłożoną na wejście forszę, pod ścianą wyprostował się chudy Murzyn. Popatrzył na laminowane banknoty w dłoni Deke'a i uśmiechnął się. Błysnął rubinowy ząb.

– Wiesz... – odezwał się. – Słyszałem, że jest taki kacper, co potrafi latać, a walczy z dziećmiakami...

* * *

– Jezu... – Deke westchnął, rozsmarowując na algowym wafli duńskie masło. – Normalnie wytarłem podłogę tymi asfaltami. A dobrzy byli.

– To miło, kotku – wymamrotała Nance.

Pracowała nad projektem dyplomowym i wklepywała dane do maszyny.

– Bo widzisz, tak mi się zdaje, że mam prawdziwy talent do takich zagrań. Kumasz? Znaczący, program daje mi przewagę, ale mam to w sobie, że potrafię ją wykorzystać. I wyrabiam sobie reputację. Czujesz?

Pod wpływem impulsu włączył radio. Zadźwięczał trzeszczący dixielandowy jazz.

– Hej... – rzuciła Nance. – Czy mógłbyś...

– Nie, ja tylko... – Pokręcił gałkami, aż trafił na jakiś wolny, romantyczny badziew. – No już, wstawaj. Zatańczymy.

– Przecież wiesz, że nie mogę.

– Ale możesz, ptysiu.

Rzucił jej wielkiego pluszowego misia, a sam porwał z podłogi patchworkową bawełnianą sukienkę. Chwycił ją za pas i rękaw, a kołnierzyk wcisnął sobie pod brodę. Pachniała paczulą i trochę potem.

– Widzisz? Ty staniesz tam, ja stanę tutaj. I tańczymy. Łapiesz?

Mrugając niepewnie, Nance wstała i mocno przytuliła misia. Potem tańczyli, powoli, patrząc sobie w oczy. Po chwili zaczęła płakać. Ale wciąż się uśmiechała.

* * *

Deke marzył. Wyobrażał sobie, że jest Tinym Montgomerym, wpiętym w swojego harriera. Maszyna reagowała na najmniejsze neuronowe drgnienie, odruchy miał podkreśnione, stymy płynęły do żył równą strugą.

Podłoga stała się dżunglą, łóżko Nance płaskowyzem u podnóża Andów, a Deke prowadził Spada z maksymalną prędkością, jakby była to w pełni sprzężona interaktywna maszyna bojowa. Skomputeryzowane igły

podawały mu do krwiobiegu cieniutką stróżkę wysokowydajnej mieszanki wspomagającej. Sensory podpięte bezpośrednio do czaszki wykryły naddźwiękowy zwrot w zielonobłękitnej czaszy nieba nad boliwijskim lasem tropikalnym. Tiny czuł opływ powietrza na powierzchniach sterujących.

W dole trepy brnęły przez dżunglę z zapiętymi powyżej łokci dożylnymi pompami mającymi w chwili szturmu podać im trochę dodatkowej furii śmiertelnego tańca, dawkę płynnego piekła z niebieskiej plastikowej fiolki. Dostawali może dziesięciominutową działkę na tydzień. Ale zbliżając się na poziomie drzew, z dopalonymi na maksa odruchami, lecąc tak nisko, że żołnierze na ziemi w ogóle go nie widzieli, dopóki już nie atakował, uwalniał nośniki fosgenu i znikał, zanim któryś zdążył wymierzyć... Utrzymanie tego wymagało stałego strumyka chemii. A bezpośrednie łącze neuronowe z harrierem było szlakiem dwukierunkowym – pokładowe komputery monitorowały biochemię pilota i decydowały, kiedy otworzyć wrota śluzu i dać ludzkiemu komponentowi morderczy strzał bitewnego szału.

Takie dawki zabijały. Zabijały nieuchronnie, powoli i bezustannie, ścierały powierzchnie mózgowie, erodowały membrany komórek. Jeśli człowieka nie wyrwali zza sterów odpowiednio szybko, kończył z osłabieniem błon komórkowych, z reakcjami zbyt szybkimi, by ciało mogło sobie z nimi poradzić, z rozjechanymi na dobre odruchami walki-ucieczki...

– Pobiłam ich, prolboyu!

– Co?

Deke spojrział zaskoczony; Nance wbiegła, trzaskając drzwiami, i rzuciła książki i plecak na najbliższy stos.

– Mój projekt dyplomowy! Zwolnili mnie z egzaminu! Profesor powiedział, że jeszcze nigdy niczego takiego nie oglądał. Uch, no, przygaś trochę światła, co? Oczywiście reagują na kolory...

Tak zrobił.

– No to pokaż – powiedział. – Pokaż mi to cudo.

– Już, moment.

Złapała jego remotkę, kopnęła rzeczy na boki, by mieć gdzie stanąć na łóżku, i przybrała dumną pozę. Iskra rozjarzyła się w płomień na jej dłoni, a ten popłynął jak rtęć wzdłuż ramienia, wokół szyi... i stał się

wężem, z trójkątną głową i migoczącym językiem. Płynne kolory, pomarańcze i czerwienie. Przepelził między jej piersi.

– Nazwałam go ognistym wężem – oświadczyła z dumą.

Deke pochylił się bliżej, a ona szarpnęła się do tyłu.

– Przepraszam. Podobny do twojego płomienia, nie? Znaczący, też w nim widzę tych pieprzących się ludzików.

– Mniej więcej. – Ognisty wąż spłynął jej po brzuchu. – W przyszłym miesiącu zrobię splot dwustu osobnych programów płomienia, plus justyfikację złączy pomiędzy, żeby uzyskać wizuale. Chcę sięgnąć do wizji ciała w umyśle, żeby dograć samorientację. Będzie mógł pełzać po całym ciele, bez pilnowania. Da się go nosić nawet do tańca.

– Może jestem tępy. Ale jeśli jeszcze nie skończyłaś tej roboty, to jakim cudem go widzę?

Nance zachichotała.

– To jest najlepsze. Została jeszcze połowa. Nie miałam czasu, żeby poskładać kawałki w zunifikowany program. Włącz radio, co? Chcę tańczyć.

Zrzuciła buty. Deke znalazł coś marszowego, a potem, na prośbę Nance, przyciszył muzykę niemal do szeptu.

– Zdobyłam dwie działki wojskowej chemii, rozumiesz. – Podskakiwała na łóżku, poruszając rękami jak tancerka z Bali. – Próbowaleś kiedyś? Nie-sa-mo-wi-te. Daje ci jakby absolutną koncentrację. Popatrz. – Stała en pointe. – Nigdy tak nie robiłam.

– Stymy... – mruknął Deke. – Ostatni gość, o którym słyszałem, że złapali go z tym gównem, dostał trzy lata w piechocie. Jak to zdobyłaś?

– Dogadałam się z weteranką, która u nas studiowała. Wyleciała w zeszłym miesiącu. Ale ten towar daje mi perfekcyjną wizualizację. Mogę utrzymać projekcję z zamkniętymi oczami. W locie składałam w głowie cały program.

– Na tylko dwóch szotach?

– Na jednym. Drugi zachowałam. Na profesora robiłam takie wrażenie, że sponsoruje mnie na rozmowę kwalifikacyjną... Rekruter z I. G. Feuchtwaren będzie w kampusie za dwa tygodnie. Ta kapsułka sprzeda mu program i mnie. Wyjdę ze szkoły dwa lata wcześniej, wprost do przemysłu, nie przechodź przez więzienie, nie płac dwustu dolarów.

Wąż zwinął się w płomienną tiarę. Na myśl o znikającej z jego życia Nance, Deke'a opanowało dziwne i nieprzyjemne uczucie.

– Jestem wiedźmą – śpiewała dziewczyna. – Czarownicą wetware'u. – Ściągnęła koszulę przez głowę i odrzuciła w kąt. Kiedy tańczyła, jej drobne, jędrne piersi poruszały się swobodnie i z gracją. – Niedługo dotrę... – Teraz śpiewała niedawny popowy przebój. – Na sam... szczyt!

Sutki miała małe, różowe i podniecone. Ognisty wąż polizał je i odskoczył.

– Ej, Nance... – zawołał z zażenowaniem Deke. – Przyhamuj trochę, co?

– Teraz świętuję! – Zaczepiła kciuk o pasek błyszczących złotych spodenek. Ogień zwijał się wokół dłoni i krocza. – Jestem dziewiczą boginią, dziecinko, i mam mo-oc! – Znowu śpiewała.

Deke odwrócił wzrok.

– Muszę iść – wymamrotał. Musiał iść do domu i zwalić konia. Zastanawiał się, gdzie ukryła tę drugą działkę. Mogła być wszędzie.

* * *

W lidze obowiązywał protokół, niepisana hierarchia respektu i precedencji, skomplikowana jak na mandaryńskim dworze. Nieważne, że Deke był na fali, jego reputacja sięgała coraz szerzej, jak pożar stepu. Nawet znany lotnik nie mógł zwyczajnie rzucić wyzwania, komu zechce. Musiał wspinać się w hierarchii. Ale jeśli latał każdej nocy, jeśli zawsze był otwarty na każde wyzwanie, jeśli był dobry... wtedy szybki awans stawał się możliwy.

Deke miał przewagę jednego samolotu. Walka była turniejowa, trzy na trzy, niewielu widzów, może kilkunastu. Ale dobrze walczył i widownia hałasowała. Deke grał, zatopiony w tym maniakalnym spokoju starcia, kiedy nagle dotarło do niego, że patrzący zamilkli. Zobaczył, jak wieśniacy oglądają się i wymieniają spojrzenia. Ich wzrok go omijał. Usłyszał, jak zamykają się drzwi windy. Spokojnie załatwił drugi z samolotów przeciwnika, po czym zaryzykował rzut oka przez ramię.

Do Jackmana wjechał właśnie Tiny Montgomery. Wózek z cichym szeptem sunął po ciemniejącym linoleum, sterowany drobnymi

drgnięciami jednej, nie do końca sparalizowanej dłoni. Twarz Tiny'ego była surowa, obojętna, spokojna.

W tym momencie Deke stracił dwa samoloty. Jeden rozmył się wskutek zaniku rozdzielczości i został wygaszony przez transmiter, a drugi, ponieważ jego przeciwnik był prawdziwym wojownikiem: wykręcił beczkę, zmniejszył prędkość, odleciał w bok i ostrzelał dwupłatowiec Deke'a, gdy ten go wyprzedzał. Samolot runął w dół w płomieniach.

Ostatnie dwie maszyny miały taką samą wysokość i prędkość. Skręcały, walcząc o pozycję, i naturalnie weszły w lot kołowy.

Wieśniacy zrobili miejsce, gdy Tiny podtoczył się do stołu. Bobby Earl Cline szedł za nim, chudy i obojętny. Deke i jego przeciwnik porozumieli się wzrokiem i wycofali maszyny znad stołu, żeby słyszeć przybysza.

Tiny uśmiechnął się. Twarz miał niewielką, bladą i opuchniętą, oczy, nos, usta położone blisko środka. Jeden palec drgał lekko na chromowanej poręczy wózka.

– Słyszałem o tobie. – Patrzył prosto na Deke'a. Głos miał delikatny, zaskakująco słodki, jakby cienki głosik małej dziewczynki. – Słyszałem, że jesteś dobry.

Deke wolno kiwnął głową.

Uśmiech zniknął z twarzy Tiny'ego. Miękkie, mięsiste wargi ułożyły się w naturalny dzióbek, jakby czekał na całusa. Małe jasne oczka wpatrywały się w Deke'a bez złośliwości.

– No to zobaczymy, co potrafisz.

Deke zatopił się całkowicie w tej ostrej grze w wojnę. A kiedy przeciwnik runął w dół w ogniu i dymie, by eksplodować i zniknąć na powierzchni stołu, Tiny bez słowa odwrócił swój wózek, przejechał do windy i zniknął.

Deke zbierał właśnie wygraną, kiedy zbliżył się Bobby Earl.

– On chce z tobą zagrać.

– Tak? – W lidze Deke nie był nawet w przybliżeniu tak wysoko, żeby rzucić wyzwanie Tiny'emu. – W czym tkwi haczyk?

– Gość miał jutro przyjechać z Atlanty, ale odwołał. Stary Tiny liczył, że polata z kimś nowym. No i wychodzi na to, że możesz zawałczyć o Maxa.

– Jutro? W środę? Niewiele mam czasu na przygotowania.

Bobby Earl uśmiechnął się łagodnie.

– Nie wydaje mi się, żeby to robiło jakąkolwiek różnicę.

– Niby czemu, panie Cline?

– Mój chłopcze, zwyczajnie brak ci wyrafinowania, kumasz? Żadnych niespodzianek. Latasz jak jakiś tam nowicjusz, tyle że szybciej i sprawniej. Łapiesz, co próbuję powiedzieć?

– Nie jestem pewien. Chce pan coś na to postawić?

– Powiem szczerze – odparł Cline. – Liczyłem na to. – Wyjął z kieszeni czarny notesik i poślinił ogryzek ołówka. – Dam ci pięć do jednego. U nikogo nie znajdziesz lepszej stawki.

Przyjrzał się Deke’emu niemal smutnie.

– Ale Tiny, rozumiesz, on jest naturalnie lepszy od ciebie i tyle tego gadania. On żyje dla tej nieszczęsnej gry; nic mu więcej nie zostało. Nie może wstać z tego piekielnego wózka. Myślisz, że zdołasz pokonać człowieka, który walczy o życie? To znaczy, że tylko sam siebie oszukujesz.

* * *

Stworzony kiedyś przez Normana Rockwella portret pułkownika spoglądał obojętnie z KFC po drugiej stronie Richmond Road. W barze kawowym Deke zimnymi, drżącymi dłońmi ścisnął kubek. Pod czaszką brzęczało mu ze zmęczenia. Cline ma rację, tłumaczył pułkownikowi. Mogę startować przeciw Tiny’emu, ale nie mogę wygrać.

Pułkownik patrzył na niego spokojnym, chłodnym wzrokiem, niespecjalnie łagodnym, obejmując spojrzeniem bar kawowy, Najlepsze Zakupy i całe leniwe królestwo Richmond Road. Czekał, aż Deke wyzna tę straszną rzecz, jaką musiał zrobić.

– Suka i tak planowała mnie zostawić – powiedział głośno Deke.

Czarna dziewczyna za ladą spojrzała na niego zaskoczona i szybko odwróciła wzrok.

* * *

– Tatuś dzwonił! – Nance wtańczyła do mieszkania i trzasnęła za sobą drzwiami. – I wiesz co? Powiedział, że jeśli dostanę pracę i utrzymam ją przez sześć miesięcy, każe mi zdjąć blokadę mózgową. Uwierzysz? Deke... – Zawahała się. – Wszystko dobrze?

Deke wstał. Teraz, kiedy nadeszła ta chwila, czuł się nierzeczywisty, jakby był w filmie albo co...

– A czemu właściwie nie wróciłeś na noc do domu? – spytała Nance.

Skóra jego twarzy była nienaturalnie naciągnięta, jak pergaminowa maska.

– Gdzie chowasz stym, Nance? Jest mi potrzebny.

– Deke... – Spróbowała niepewnego uśmiechu, który natychmiast zniknął. – Deke, to mój. Mój szot. Potrzebuję go. Na tę rozmowę.

Skrzywił się pogardliwie.

– Masz pieniądze. Zawsze możesz sobie załatwić następną działkę.

– Nie do piątku! Posłuchaj, Deke, to naprawdę ważne. Całe moje życie zależy od tej rozmowy. Potrzebny mi ten stym. To wszystko, co mam!

– Dziecinko, masz przecież cały świat. Rozejrzyj się tylko: prawie dwieście gramów jasnego libańskiego haszu! Małe rybki anchois w puszkach. Nieograniczoną opiekę medyczną, gdyby była potrzebna...

Cofała się przed nim, potykając się o stojące fale niepranej pościeli i pogniecionych błyszczących magazynów u stóp łóżka.

– Ja nigdy nie miałem na to szansy. Brakowało mi tego pędu, jakiego trzeba, żeby tak ciągnąć. Ale tym razem mi się uda. Za dwie godziny mam mecz i mam pieprzony zamiar go wygrać. Słyszysz mnie?

Sam siebie doprowadzał do furii, i to dobrze. Była konieczna do tego, co musiał zrobić.

Nance wysunęła otwartą dłoń, ale był przygotowany i odtrącił ją na bok, nie dostrzegając nawet ciemnego tunelu, a tym bardziej tych małych czerwonych oczek. A potem oboje upadli. On na górze, jej oddech gorący i szybki na jego twarzy.

– Deke! Deke! Potrzebny mi ten towar, Deke, rozmowa o pracy, to jedyne... Muszę... Muszę... – Odwróciła głowę i płakała do ściany. – Proszę, Boże, proszę, nie...

– Gdzie to schowałaś?

Przyściśnięta do łóżka pod jego ciałem, Nance zaczęła spazmatycznie dygotać; skręcała się w konwulsjach strachu i cierpienia.

– Gdzie to jest?

Twarz dziewczyny wydawała się pozbawiona krwi, jak szare ciało trupa; w oczach płonęła zgroza. Poruszała wargami. Było już za późno, by się cofnąć – przekroczył granicę. Deke czuł obrzydzenie i mdłości, tym

większe, że na jakimś nieoczekiwanym i niepożądanym poziomie sprawiało mu to przyjemność.

– Gdzie to jest, Nance?

I powoli, bardzo delikatnie, zaczął gładzić jej twarz.

* * *

U Jackmana wezwał windę palcem, który przesuwał się szybko i pewnie jak szerszeń, a na przycisku wylądował delikatnie jak motyl.

Deke był wypełniony sprężystą energią, pozostającą całkowicie pod kontrolą. Po drodze w górę zerwał ciemne okulary i zachichotał, patrząc na swoje odbicie w popalcowanej chromowej powierzchni. Źrenice oczu były jak nakłucia szpilek, prawie niewidoczne, a mimo to świat wydawał się neonowo jaskrawy.

Tiny czekał. Kąciki ust kaleki uniosły się lekko, kiedy spojrzał na oczy Deke'a, na przesadny spokój jego ruchów, nieudaną próbę naśladowania niewspomaganej niezgrabności.

– No tak... – powiedział swoim dziewczęcym głosem. – Wygląda na to, że czeka na mnie prawdziwy smakołyk.

Max wisiał na wstążce z rury wózka Tiny'ego. Deke zajął pozycję i skłonił się, nie do końca ironicznie.

– Lećmy.

Jako challenger, grał w obronie. Zmaterializował swoje samoloty na konserwatywnej wysokości, dość wysoko, by zanurkować, dość nisko, by mieć dość czasu przy ataku Tiny'ego. I czekał.

Publiczność go ostrzegła. Jakiś grubas z brylantyną na włosach zrobił zaskoczoną minę, kraker o pustym spojrzeniu zaczął się uśmiechać. Zbudził się pomruk. Oczy w zwolnionym tempie przesunęły się po twarzach unieruchomionych przez dostymowaną reakcję. Potrzebował może trzech nanosekund, żeby zlokalizować kierunek ataku.

Ostro uniósł głowę, i niech to szlag, nagle oślepl. Fokkery pikowały od dwustuwatowej żarówki, a Tiny skłonił go do spojrzenia wprost na nią. Biel przesłoniła pole widzenia; Deke zacisnął powieki, powstrzymując wzbierające łzy, i rozpaczliwie utrzymywał wizualizację. Rozbił szyk, odchylając dwie maszyny na boki, w lewo i w prawo. Natychmiast skreślił

każdą z nich w półzwrocie, a następnie z powrotem. Nie wiedział, gdzie są wrogie myśliwce, i musiał losowo wykonywać uniki.

Tiny zachichotał. Deke słyszał go przez gwar widzów, krzyki radości i przekleństwa, brzęczenie monet, które synkopowało niezależnie od zmian tempa pojedynku.

Kiedy moment później odzyskał zdolność widzenia, Spad w płomieniach leciał w dół, a Fokkery siedziały na ogonach dwóch pozostałych, jeden za pierwszym, dwa za drugim. Trzy sekundy starcia i już stracił samolot.

Manewrując, by nie dosięgły go smugowe Tiny'ego, zrobił pętlę tym ściganym przez jednego Fokkera, a drugiego pociągnął w martwy punkt pomiędzy Tinym i żarówką.

Twarz Tiny'ego stała się całkowicie obojętna. Najlżejszy cień rozczarowania, pogardy nawet, zniknął przesłonięty tym spokojem. Obojętnie ścigał dwupłaty Deke'a i czekał na jego manewr.

Wtedy, tuż przed martwym polem, Deke wprowadził Spada w pikowanie; oba Fokkery przemknęły nad nim i wykonały szaleńcze nawroty w dwie strony, by odzyskać pozycje.

Spad zanurkował na trzeciego Fokkera i wyrównał obok drugiej maszyny Deke'a. Pociski uderzyły w skrzydła i czerwony kadłub. Przez moment nic się nie działo i Deke sądził już, że pechowo chybił. Ale wtedy mały czerwony dwupłat odpadł w lewo i runął, ciągnąc za sobą smugę czarnego, gęstego dymu.

Tiny zmarszczył czoło, drobne linie niezadowolenia zakłóciły perfekcję jego ust. Deke się uśmiechnął. Stracili po jednym i Tiny zachował pozycję.

Oba Spady miały przeciwnika tuż za ogonami. Deke wykręcił nimi w przeciwne strony i znad brzegów stołu ściągnął do środka. Leciały prosto na siebie, neutralizując przewagę Tiny'ego – nie mógł strzelać, nie narażając własnych samolotów. Deke ciągnął swoje maszyny do najwyższej prędkości, prąc do zwania.

Moment przed zderzeniem Deke pchnął Spady powyżej i poniżej siebie, otworzył ogień do Fokkerów i skręcił na boki. Tiny był gotów i pociski przeszły powietrze. Potem jeden niebieski i jeden czerwony samolot uniosły się swobodnie i odleciały w przeciwnych kierunkach. Za nimi para dwupłatowców splątała się w powietrzu. Skrzydła zetknęły się, skręciły, samoloty zgniotły i spadły razem, prawie pionowo, na zielony filc w dole.

Dziesięć sekund i wypadły cztery samoloty. Czarny weteran ściągnął wargi i gwizdnął cicho. Ktoś inny z niedowierzaniem pokręcił głową.

Tiny siedział wyprostowany, nieco pochylony w swoim wózku: oczy skupione i niemrugające, miękkie dłonie słabo ściskające poręcz. Żadnych rozbawionych, irytujących min – był całkowicie skoncentrowany na walce. Wieśniactwo, stół, sam Jackman nawet, mogłyby nie istnieć. Bobby Earl Cline położył mu dłoń na ramieniu, ale Tiny tego nie zauważył. Samoloty znalazły się po przeciwnych końcach sali i pracownicy zyskiwały wysokość. Deke wbił się pod sam sufit, rozmyty w mgiełce dymu. Szybko zerknął na Tiny'ego i ich spojrzenia się spotkały. Chłód przeciw chładowi.

– Zobaczmy, na co cię stać – mruknął Deke przez zaciśnięte zęby.

Dwupłaty ruszyły ku sobie. Stym osiągał szczyt i Deke widział maleńkie smugowe pociski Tiny'ego, czołgające się przez powietrze między samolotami. Musiał ustawić Spada na linii ognia, by wystrzelić serię na wprost, a potem odchylić lot, by pociski Fokkera przemknęły pod jego kołami. Tiny nie ustępował mu ani odrobinę: uchylił się przed ogniem Deke'a i przeleciał tak blisko Spada, że podwozia niemal się zetknęły.

Deke wprowadzał właśnie Spada w zabójczo ciasną pętlę, kiedy uderzyły halucynacje. Filc zwinął się, poskręcał i zmienił w zielone piekło boliwijskiej dżungli, nad którą Tiny latał w bojowych misjach. Ściany rozplynęły się w szarą nieskończoność i Deke poczuł, jak wokół ciała zamyka się metalowy kokpit cybernetycznego harriera.

Ale odrobił pracę domową. Spodziewał się halucynacji i wiedział, że może sobie z nimi poradzić. Wojsko nigdy nie dopuściłoby prochów, których nie da się opanować.

Spad i Fokker zawróciły do kolejnego przelotu i na twarzy Tiny'ego Montgomery'ego widział napięcie, echa walk nad gęstwiną dżungli.

Samoloty zbliżyły się; czuł napięcia momentów obrotowych, podawane z instrumentów wprost do tyłomózgowia; czuł zaskakujące za pachami pompy adrenaliny, zimną, szybką swobodę opływu strug na powłóce, zmieszaną z zapachami rozgrzanego metalu i potu przerażenia. Smugowe przedarły się przed jego twarzą i poderwał maszynę, widząc, jak Spad kolejny raz przelatuje tuż obok Fokkera, oba nietknięte. Wieśniacy dostawali małego rozumu, machali kapeluszami i tupali jak krety. Deke znów spojrzał Tiny'emu w oczy.

Zbudziła się chytrość – choć nerwy miał napięte jak te krystaliczno-węglowe odciążki, które nie pozwalały harrierowi rozpaść się na kawałki w godnych supermana zwrotach nad Andami; udał lekceważący uśmiezek, mrugnął i lekko skinął głową, jakby chciał powiedzieć „Popatrz tutaj”.

Tiny zerknął w bok. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło. Deke wykręcił immelmana – szybkiego i ciasnego, na granicy teoretycznej tolerancji wszystkiego, co widywano w starciach, i zawisł za ogonem Fokkera.

Zobaczmy, jak się z tego wyplącesz, draniu...

Tiny rzucił samolot prosto w dół, w zieleń. Deke pędził za nim. Nie strzelał. Miał Tiny’ego tam, gdzie chciał go mieć.

W ucieczce. Tak jak na każdej misji bojowej. Na haju od euforii i stymów, owszem, ale przerażonego.

Byli już przy samym filcu, lecąc na poziomie drzew. Wyrwij, pomyślał Deke i podkreślił szybkość. Kątem oka widział Bybby’ego Earla Cline’a – miał dziwną minę. Jakby błagalną. Spokój Tiny’ego posypał się, grymas udręki wykrzywił mu twarz.

Tiny spanikował i zanurkował swoją maszyną w tłum. Teraz dwupłatowce kręciły pętle i beczki między głowami patrzących; niektórzy odsuwali się odruchowo, inni rozbawieni oganiali się rękami. Ale w oczach Tiny’ego jarzył się gorący błysk przerażenia, mówiący o całej wieczności strachu i zamknięcia, dwóch ostrzy w nieskończoność piłujących się wzajemnie...

Strach był śmiercią w powietrzu, zamknięcie uwięzieniem w metalu, najpierw samolotu, potem inwalidzkiego wózka. Deke czytał to wszystko z jego twarzy: walka była wszystkim, co Tiny’emu pozostało, więc podejmował ją przy każdej możliwej okazji. Dopóki jakiś anonimowy nacjonalista z antyczną wyrzutnią przeciwlotniczą nie ściągnął go z tamtego zielonobłękitnego boliwijskiego nieba i nie cisnął prosto na Richmond Road, do Jackmana i tego uśmiechniętego zabójcy, którego spotkał po raz ostatni nad wyblakłą tkaniną.

Deke zakołysał się na palcach; na twarzy jaśniał mu ten miliondolarowy uśmiech, będący znakiem firmowym narkotyku, który wysmażył Tiny’emu mózg, zanim jeszcze ktoś zdmuchnął go z nieba w gorącej płątanie metalu i okaleczonego ciała.

Nagle wszystko się ułożyło: zrozumiał, że latanie to wszystko, co trzyma Tiny'ego: to codzienne muśnięcie śmierci, a potem powstanie z metalowej trumny, znowu do życia. Tylko czystym wysiłkiem woli powstrzymywał się od załamania. Wystarczy zgnieść tę wolę, a śmiertelność wyleje się falą i go zatopi. Tiny pochylił się i wyrzyga na własne kolana.

I Deke uderzył celnie...

Nastąpił moment zdumionego milczenia, kiedy ostatni samolot Tiny'ego zniknął w rozbłysku światła.

– Udało się – wyszeptał Deke. I głośniej: – Ja pieprzę, zrobiłem to!

Po przeciwnej stronie stołu Tiny skreślił się na wózek, ramiona drgały mu spazmatycznie, głowa opadła na ramię... Stojący za nim Bobby Earl Cline patrzył wprost na Deke'a, oczami jak rozżarzone węgle.

A potem zerwał Maxa i owinał wstążkę wokół pliku laminatów i bez ostrzeżenia cisnął Deke'owi paczkę prosto w twarz. Bez wysiłku, swobodnie, Deke chwycił ją w powietrzu.

Przez moment zdawało się, że hazardzista ruszy na niego prosto przez stół bilardowy. Powstrzymało go szarpnięcie za rękaw.

– Bobby Cline – szepnął Tiny głosem drżącym od upokorzenia. – Musisz ... mnie stąd... zabrać...

Sztywny, zagniewany Cline odwrócił wózek przyjaciela i zniknęli w cieniu. Deke odchylił głowę i roześmiał się. Boże, ależ świetnie się czuł! Wrzucił Maxa do kieszeni koszuli, gdzie zawisł zimny i ciężki. Pieniądze wcisnął do džinsów. Rany, miał ochotę skakać; tryumf szalał w nim jak dzikie zwierzę, piękne i silne, jak boki tego jelenia w lesie, którego widział kiedyś z Greyhonda, i przez tę jedną chwilę zdawało się, że wszystko było tego warte, cały ból, wszystkie cierpienia, jakie przeżył, by w końcu zwyciężyć.

Ale u Jackmana panowała cisza. Nikt nie klaskał. Nikt nie tłoczył się przy nim z gratulacjami.

Deke oprzytomniał i w polu widzenia wyostrzyły się milczące, niechętnie twarze. Ani jeden z tych wieśniaków nie był po jego stronie. Emanowali pogardą, nawet nienawiścią. Przez nieskończenie rozciągnięty moment powietrze wibrowało potencjalną przemocą... ale wtedy ktoś odwrócił się, harknął i splunął na podłogę. Tłum rozpadł się, mruczając gniewnie, gapie jeden po drugim znikali w mroku.

Deke nie ruszał się. Mięsień nogi zaczął dygotać – zwiastun nadchodzącego załamania stymowego. Czubek głowy wydawał się odrętwiały, a w ustach pojawił się obrzydliwy posmak. Na sekundę Deke musiał oprzeć obie ręce o stół, by ratować się przed wiecznym upadkiem w żywy cień pod sobą, gdy wisiał tak przebity martwym wzrokiem upolowanego jelenia na fotografii pod zegarem Dr. Peppera.

Trochę adrenaliny na pewno go z tego wyciągnie. Musiał świętować. Upić się albo naćpać i gadać o tym, raz za razem opowiadać o zwycięstwie, przecząc sam sobie, dorabiając szczegóły, śmiejąc się głośno i przechwalając. Gwiazdzista noc, taka jak ta, prosiła się o takie historie.

Ale stojąc tam, z całym Jackmanem cichym, przestronnym i pustym wokół niego, nagle zdał sobie sprawę, że nie ma już nikogo, komu by mógł to wszystko opowiedzieć.

Absolutnie nikogo.

wypalić chrom

To była gorąca noc – noc, kiedy wypaliliśmy Chrom. W pasażach i na placachśmy tłukły się na śmierć wśród neonów, lecz w pokoiku Bobby'ego jedyne światło padało z ekranu monitora i zielonych i czerwonych LED-ów na płycie symulatora matrycy. W tym symulatorze znałem na pamięć każdą kość; wyglądał jak całkiem zwyczajny Ono-Sendai VII, „Cyberprzestrzeń Siedem”, ale przerabiałem go tyle razy, że trudno by znaleźć w całym tym krzemie choćby milimetr kwadratowy fabrycznego obwodu.

Czekaliśmy przy konsoli, obserwując cyfry zegara w lewym dolnym rogu ekranu.

– Wchodzisz – rzuciłem, gdy nadszedł właściwy moment, ale Bobby był już wewnątrz, pochylony lekko, by grzbietem dłoni wepchnąć do gniazda rosyjski program.

Zrobił to z wdziękiem dzieciaka wciskającego monetę do automatu w salonie, pewnego zwycięstwa i gotowego na serię darmowych gier.

Srebrzysta fala fosfenów zawrzała w polu widzenia, gdy matryca rozwijała się w moim mózgu niby trójwymiarowa szachownica, nieskończona i doskonale przejrzysta. Rosyjski program skoczył do przodu, kiedy tylko weszliśmy w sieć. Gdyby jeszcze ktoś się włączył w ten fragment matrycy, mógłby dostrzec falę migotliwych cieni płynących od małej, żółtej piramidy, która reprezentowała nasz komputer. Program był bronią mimetyczną, zaprojektowaną do absorpcji lokalnych barw i przedstawiania się jako pakiety o najwyższym priorytecie w każdym kontekście, jaki napotka.

– Gratulacje – usłyszałem głos Bobby'ego. – Właśnie zostaliśmy próbnikiem inspekcyjnym Agencji Energii Atomowej Wschodniego Wybrzeża...

Co oznaczało, że opróżniamy światłowodowe łącza cybernetycznym odpowiednikiem syreny alarmowej. W symulacji matrycy wrażenie było takie, jakbyśmy pędzili wprost do bazy danych Chrom. Nie widziałem jej jeszcze, ale wiedziałem, że mury już czekają. Mury ciemności, mury lodu.

Chrom: śliczna, dziecięca buzia, gładka jak stal, z parą oczu, które pasowałyby do dna jakiegoś atlantyckiego rowu – lodowate, szare oczy, trwające pod straszliwym ciśnieniem. Podobno przyrządzała własne nowotwory dla ludzi, którzy weszli jej w drogę; barokowe, indywidualne odmiany, zabijające przez całe lata. Wiele rzeczy mówiono o Chrom, a żadna nie dodawała odwagi.

Dlatego przesłoniłem ją obrazem Rikki. Rikki klęczącej w zakurzonej smudze światła słońca, wpadającej na poddasze przez kratownicę szkła i stali. Jej wyblakłego kombinezonu w maskujące łaty, przejrzystych różowych sandałów, miękkiej linii pleców, gdy szuka czegoś w nylonowej torbie na sprzęt. Podnosi głowę; kosmyk nie całkiem blond włosów opada i łaskocze ją w nos. Uśmiecha się, zapina starą koszulę Bobby'ego, naciągając na piersi bawełnę w kolorze khaki.

Uśmiecha się.

– To drań – mówi Bobby. – Właśnie powiedzieliśmy Chrom, że jesteśmy kontrolą z Urzędu Podatkowego i trzema pozwami do Sądu Najwyższego. Trzymaj się, Jack...

Na razie, Rikki. Może nie zobaczę cię już nigdy.

I ciemność, czarny mrok w lodowych salach Chrom.

* * *

Bobby był kowbojem, a lód istotą jego gry. Lód od LOD, Logicznego Oprogramowania Defensywnego. Matryca jest abstrakcyjną reprezentacją powiązań między systemami danych. Uprawnieni programiści włączają się do sektora matrycy swego pracodawcy i zostają otoczeni jasnymi geometriami przedstawiającymi dane korporacji.

Ich wieże i pola rozciągały się w bezbarwnej nonprzestrzeni matrycy, elektronicznej konsensualnej halucynacji odwzorowującej obróbkę i wymianę potężnych ilości danych. Uprawnieni programiści nigdy nie oglądają lodowych murów, za którymi pracują, murów cienia chroniących ich działania przed innymi: przed artystami szpiegostwa przemysłowego i popychaczami typu Bobby'ego Quine'a.

Bobby to kowboj, haker, włamywacz naruszający wszechobecny elektroniczny system nerwowy ludzkości, popychający dane i kredyt

w ciasnej matrycy, monochromatycznej nonprzestrzeni, gdzie jedynymi gwiazdami są gęste skupiska informacji, a wysoko nad nimi płoną korporacyjne galaktyki i zimne spiralne ramiona systemów wojskowych.

Bobby to jeszcze jedna młodo-stara twarz, jakie widuje się za barem w Eleganckiej Porażce, lokalu modnym wśród komputerowych kowbojów, popychaczy, speców od cybernetyki. Jesteśmy partnerami.

Bobby Quine i Automatyczny Jack. Bobby to chudy, blady facet w ciemnych okularach; Jack – twardziel z mioelektrycznym ramieniem. Bobby to software, Jack – hardware; Bobby wciska klawisze, Jack wprowadza wszystkie drobiazgi, które mogą zapewnić przewagę. Tak przynajmniej mówili bywalcy Eleganckiej Porażki, zanim Bobby postanowił wypalić Chrom. Dodawali czasem, że Bobby traci pęd, zwalnia. Miał dwadzieścia osiem lat, a to sporo, jak na kowboja.

Obaj byliśmy całkiem niezli, ale ten wielki numer jakoś nam się nie trafiał. Wiedziałem, gdzie szukać odpowiedniego sprzętu, a Bobby znał wszystkie chwytaki. Siedział przy konsoli z białą frotową opaską na czole i walił w klawisze tak, że oczy nie nadażały. Potrafił wycisnąć przejście przez najwymyślniejszy lód. To jednak zdarzało się rzadko. Tylko wtedy, gdy coś wciągało go totalnie, czyli nieczęsto. Nie miał właściwej motywacji. Ja z kolei byłem facetem, który jest zadowolony, kiedy ma z czego zapłacić czynsz i może włożyć czystą koszulę.

Bobby lubił dziewczyny. Były jego osobistym tarotem czy czymś w tym rodzaju. Tak się zachowywał. Nie rozmawialiśmy o tym, ale kiedy tego lata zaczął sprawiać wrażenie, jakby tracił kontakt, częściej bywał w Eleganckiej Porażce. Siedział naprzeciw otwartych drzwi, obserwując przechodzące tłumy. Całe noce, gdy owady atakowały neony, a powietrze pachniało perfumami i barowym żarciem. Widać było, jak jego ciemne okulary skanują płynące twarze. Musiał uznać, że Rikki jest tą, na którą czeka, dzokerem i maskotką. Nową.

* * *

Pojechałem do Nowego Jorku sprawdzić, co słychać na software'owym rynku.

Finn miał nad wejściem popsuty hologram, METRO HOLOGRAFIX, nad wystawą martwych much ubranych w futra kurzu. Złomu po pas, wzgórki wznoszące się ku ścianom, prawie niewidocznym zza bezimiennych śmieci i pilśniowych półek uginających się pod starymi pismami z gołymi laskami i pożółkłymi rocznikami „National Geographic”.

– Potrzebujesz spluwy – stwierdził Finn. Przypominał rekombinowane DNA z eksperymentu, którego celem było wyhodowanie człowieka do szybkościowego rycia tuneli. – Szczęściarz z ciebie. Mam tu nowego smith and wessona, tactical cztery-zero-osiem. Ma pod lufą ksenonowy projektor, widzisz? Baterie w kolbie. Na pięćdziesiąt jardów, w pełnej ciemności, daje dwunastocalowy krąg, jak słońce w południe. Źródło światła tak małe, że praktycznie nie do wyłapania. Człowieku, w nocnej walce to prawdziwe czary.

Moje ramię stuknęło, opadając na stół, i zacząłem bębnić palcami. Serwa dłoni brzęczały jak małe moskity. Wiedziałem, że Finn nie cierpi tego dźwięku.

– Może chcesz to wyciszyć? – Pogryzionym czubkiem flamastra dotknął duraluminiowego nadgarstka. – Czy raczej kupić coś mniej hałaśliwego?

Nie przerywałem.

– Nie potrzebuję spluwy, Finn.

– Dobra – mruknął. – Dobra.

Przestałem bębnić.

– Mam tylko jedną sztukę i nawet nie wiem, co to jest. – Wyglądał bardzo nieszczęśliwie. – W zeszłym tygodniu dostałem od tych dzieciaków spod mostów i tuneli w Jersey.

– Od kiedy to kupujesz coś, o czym nic nie wiesz?

– Spryciarz. – Podał mi przejrzystą kopertę z czymś, co przez bąbelkową folię przypominało kasetę audio. – Mieli paszport – wyjaśnił. – Mieli karty kredytowe i zegarek. I to.

– Chcesz powiedzieć, że mieli zawartość czyichś kieszeni.

Kiwnął głową.

– Paszport był belgijski. Moim zdaniem fałszywy, więc wrzuciłem do pieca. Karty też. Zegarek w porządku, porsche, ładna sztuka.

Najwyraźniej miałem do czynienia z jakimś zewnętrznym sprzężanym programem wojskowym. Wyjęty z worka wyglądał jak magazynek niewielkiego karabinka, pokryty matowym czarnym plastikiem. Na rogach

i krawędziach prześwitywał srebrny metal – pewnie pojemnik zdążył już przejść przez wiele rąk.

– Dam ci rabat, Jack. Przez pamięć dawnych czasów.

Musiałem się uśmiechnąć. Finn dający rabat to tak, jakby pan Bóg zawiesił prawo grawitacji, kiedy długim lotniskowym korytarzem musisz taszczyć ciężką walizę.

– Wygląda na rosyjski – stwierdziłem. – Prawdopodobnie awaryjny system kontroli ścieków na jakimś przedmieściu Leningradu. Akurat czegoś takiego potrzebuję.

– Wiesz co – oświadczył Finn. – Mam parę butów, które są starsze od ciebie. Czasami wydaje mi się, że masz tyle klasy, ile ci barbarzyńcy z Jersey. Co mam ci powiedzieć, że to klucze do Kremla? Ty powinienes odgadnąć, co to właściwie jest. Ja tylko sprzedaję.

Kupiłem.

* * *

Bezieleśni skręcamy w lodowy zamek Chrom. Pędzimy szybko, bardzo szybko. Wrażenie, jakbyśmy mknęli na grzbiecie fali inwazyjnego programu, zawieszeni nad zmiennym blaskiem mutujących systemów defekcyjnych. Jesteśmy świadomymi plamami oleju, spływającymi wzdłuż korytarzy mroku.

Gdzieś tam mamy ciała, bardzo daleko stąd, w ciasnym pokoiku na poddaszu, pod sufitem ze stali i szkła. Gdzieś tam mamy może tylko mikrosekundy, by się wycofać.

Przebiliśmy bramy jako audyt podatkowy i trzy pozwy, ale jej obrona była specjalnie przygotowana na takie oficjalne wtargnięcia. Najbardziej skomplikowany lód chroni przed nakazami, pozwami i wezwaniem. Kiedy przeskoczyliśmy pierwszą bramę, bloki jej danych zniknęły za lodem instrukcji rdzenia, murami, które widzimy jako mile korytarzy, labirynty cienia. Pięć niezależnych linii przesłało wezwanie o pomoc do firm adwokackich, lecz wirus przejął już parametry lodu. Systemy defekcyjne przetykają sygnał alarmowy, a nasze mimetyczne podprogramy skanują wszystko, co nie zostało wyczyszczone instrukcją rdzeniową.

Rosyjski wirus znajduje wśród nieekranowanych danych tokijski numer, który wybiera ze względu na częstotliwość połączeń, przeciętną długości rozmów i szybkość, z jaką Chrom odpowiada na telefony.

– Dobra jest – mówi Bobby. – Wchodzimy jako kodowana rozmowa od jej kumpla w Japonii. To powinno pomóc.

Do dzieła, kowboju.

* * *

Bobby odczytuje przyszłość z kobiet. Jego dziewczyny to wróżby, zmiany pogody. Całymi nocami siedzi w Eleganckiej Porażce i czeka, aż będzie mógł położyć przed sobą jak kartę nową twarz.

Tamtej nocy do późna pracowałem na poddaszu. Musiałem przyciąć jeden chip. Odczepiłem ramię, łącząc manipulator wprost do kikuta.

Bobby przyszedł z dziewczyną, której jeszcze nie znałem. Zwykle czuję się trochę głupio, gdy ktoś obcy widzi, jak pracuję, wszystkie te kable przypięte do sterczących z kikuta twardych, węglowych końcówek. Podeszła od razu i spojrzała na powiększony obraz na ekranie. Potem zauważyła manipulator działający pod hermetyczną osłoną. Nic nie powiedziała; patrzyła tylko. Od razu poczułem do niej sympatię; to się zdarza, czasami.

– Automatyczny Jack, Rikki. Mój współnik.

Roześmiał się i objął ją w talii. Coś w tonie głosu dało mi do zrozumienia, że spędzę tę noc w jakimś nędznym pokoiku w hotelu.

– Cześć – powiedziała. Wysoka; dziewiętnaście, może dwadzieścia lat; z pewnością miała wszystko, co trzeba. I te kilka piegów na nosie, i oczy gdzieś pomiędzy ciemnym bursztynem a kawą z mlekiem. Wąskie czarne dżinsy podwinięte do pół łydki, wąski, plastikowy pasek, różowy jak sandały.

Lecz teraz, kiedy widuję ją czasem, próbując zasnąć, stoi gdzieś na granicy ciągu miast i dymu, jak hologram wsunięty pod źrenice. W jasnej sukience, którą musiała chociaż raz mieć na sobie, kiedy ją znałem – czymś, co nie sięga kolan. Gołe nogi, długie i proste. Rozwiane kasztanowe włosy z jasnymi pasemkami zasłaniają twarz. Widzę, jak macha na pożegnanie.

Bobby demonstracyjnie przerzucił audiokasety.

– Muszę lecieć, kowboju – powiedziałem, odczepiając manipulator. Patrzyła z uwagą, jak zakładam ramię.

– Możesz coś naprawić? – spytała.

– Wszystko. Co tylko zechcesz. Automatyczny Jack ci to załatwi. – Pstryknąłem jej przed nosem duraluminiowymi palcami.

Odczepiła od paska mały dek symstymu i pokazała złamany zawias pokrywy kasy.

– Jutro – obiecałem. – Nie ma sprawy.

No, no, myślałem, gdy senność niosła mnie sześć piętér w dół, na ulicę. Jakie szczęście będzie miał Bobby przy takiej maskotce? Jeśli jego system działa, lada chwila będziemy bogaci.

Na ulicy uśmiechnąłem się, ziewnąłem i zatrzymałem taksówkę. przelatykają sygnał alarmowy, a nasze mimetyczne podprogramy skanują wszystko, co nie zostało wyczyszczone instrukcją rdzeniową.

Rosyjski wirus znajduje wśród nieekranowanych danych tokijski numer, który wybiera ze względu na częstotliwość połączeń, przeciętną długość rozmów i szybkość, z jaką Chrom odpowiada na telefony.

– Dobra jest – mówi Bobby. – Wchodzimy jako kodowana rozmowa od jej kumpla w Japonii. To powinno pomóc.

Do dzieła, kowboju.

* * *

Bobby odczytuje przyszłość z kobiet. Jego dziewczyny to wróżby, zmiany pogody. Całymi nocami siedzi w Eleganckiej Porażce i czeka, aż będzie mógł położyć przed sobą jak kartę nową twarz.

Tamtej nocy do późna pracowałem na poddaszu. Musiałem przyciąć jeden chip. Odczepiłem ramię, łącząc manipulator wprost do kikuta.

Bobby przyszedł z dziewczyną, której jeszcze nie znałem. Zwykle czuję się trochę głupio, gdy ktoś obcy widzi, jak pracuję, wszystkie te kable przypięte do sterczących z kikuta twardych, węglowych końcówek. Podeszła od razu i spojrzała na powiększony obraz na ekranie. Potem zauważyła manipulator działający pod hermetyczną osłoną. Nic nie

powiedziała; patrzyła tylko. Od razu poczułem do niej sympatię; to się zdarza, czasami.

– Automatyczny Jack, Rikki. Mój wspólnik.

Roześmiał się i objął ją w tali. Coś w tonie głosu dało mi do zrozumienia, że spędzę tę noc w jakimś nędznym pokoiku w hotelu.

– Cześć – powiedziała. Wysoka; dziewiętnaście, może dwadzieścia lat; z pewnością miała wszystko, co trzeba. I te kilka piegów na nosie, i oczy gdzieś pomiędzy ciemnym bursztynem a kawą z mlekiem. Wąskie czarne dzinsy podwinięte do pół łydki, wąski, plastikowy pasek, różowy jak sandały.

Lecz teraz, kiedy widuję ją czasem, próbując zasnąć, stoi gdzieś na granicy ciągu miast i dymu, jak hologram wsunięty pod źrenice. W jasnej sukience, którą musiała chociaż raz mieć na sobie, kiedy ją znałem – czymś, co nie sięga kolan. Gołe nogi, długie i proste. Rozwiane kasztanowe włosy z jasnymi pasemkami zasłaniają twarz. Widzę, jak macha na pożegnanie.

Bobby demonstracyjnie przerzucił audiokasety.

– Muszę lecieć, kowboju – powiedziałem, odczepiając manipulator. Patrzyła z uwagą, jak zakładam ramię.

– Możesz coś naprawić? – spytała.

– Wszystko. Co tylko zechcesz. Automatyczny Jack ci to załatwi. – Pstryknąłem jej przed nosem duraluminiowymi palcami.

Odczepiła od paska mały dek symstymu i pokazała złamany zawias pokrywy kasety.

– Jutro – obiecałem. – Nie ma sprawy.

No, no, myślałem, gdy senność niosła mnie sześć pięter w dół, na ulicę. Jakie szczęście będzie miał Bobby przy takiej maskotce? Jeśli jego system działa, lada chwila będziemy bogaci.

Na ulicy uśmiechnąłem się, ziewnąłem i zatrzymałem taksówkę.

* * *

Zamek Chrom topnieje, płyty lodowego cienia migocą i zanikają, pochłaniane przez systemy defekcyjne, które rozwija rosyjski program i które odpryskują od osi logicznego pchnięcia, zakazając samą strukturę

lodu. Systemy defekcyjne to cybernetyczne analogony wirusów, replikujące się i żarłoczne. Mutują równocześnie i bezustannie, podkopując i absorbując osłonę Chrom.

Czy zdołaliśmy ją sparaliżować, czy może gdzieś dzwoni alarm i błyska czerwona lampka? Czy ona wie?

* * *

Rikki z Dziczy, nazwał ją Bobby, i przez pierwsze kilka tygodni musiała uważać, że trafiła wygrany los. Wszelka obfitość płynęła przed nią, jasna i ostra w świetle neonów. Była nowa, miała do zbadania mile deptaków i placów, wszystkie sklepy i kluby, i Bobby'ego do tłumaczenia delikatnych połączeń na ciemnej, dolnej powierzchni spraw, do przedstawiania graczy, ich imion i ich rozgrywek. Sprawiał, że czuła się jak w domu.

– Co się stało z twoją ręką? – zapytała kiedyś, gdy we trójkę piliśmy przy stoliczku w kącie Eleganckiej Porażki.

– Lotnia – odparłem. – Wypadek.

– Lot nad polem pszenicy – dodał Bobby. – Niedaleko miejsca zwanego Kijowem. Nasz Jack wisiał w ciemności pod płatem Nightwinga, z pięćdziesięcioma kilogramami radaru między nogami. Jakiś durny Rosjanin przez pomyłkę odpalił mu łapę laserem.

Nie pamiętam, jak zmieniłem temat, ale zmieniłem.

Ciągle sobie powtarzałem, że to nie Rikki mnie rusza, ale to, jak Bobby ją traktuje. Znałem go od dawna, od końca wojny. Wiedziałem, że używa kobiet jako pionków w grze. Bobby Quine przeciw fortunie, przeciw czasowi i nocy. A Rikki pojawiła się akurat wtedy, gdy potrzebowałem czegoś, co wprawi go w ruch, jakiegoś celu. Dlatego powierzył jej rolę symbolu wszystkiego, czego pragnął, a nie mógł zdobyć, i tego, co zdobył, a nie potrafił utrzymać.

Nie lubiłem słuchać, kiedy mi powtarzał, jak bardzo ją kocha, a świadomość, że naprawdę w to wierzy, tylko pogarszała sprawę. Był mistrzem ciężkich upadków i błyskawicznych ozdrowień. Oglądałem ten cykl już dziesiątki razy. Równie dobrze mógł nosić na okularach zielony, fosforyzujący napis NASTĘPNA i błyskać nim ku pierwszej ciekawej twarzy, jaka przepłynie między stolikami w Eleganckiej Porażce.

Wiedziałem, co z nimi robi: zamienia w emblematy, znaki na mapie życia popychacza, nawigacyjne latarnie, za którymi może podążać przez morze barów i neonów. Nie potrafił inaczej sterować. Nie kochał pieniędzy jako takich, w każdym razie nie tak, by ścigać ich blask. Nie działał dla władzy nad ludźmi; nienawidził odpowiedzialności, jaka się z tym wiąże. Odczuwał pewną dumę ze swej sztuki, ale nie wystarczała, by skłonić go do działania.

Dlatego potrzebował kobiet.

Rikki zjawiała się, kiedy był w tragicznym stanie. Zanikał szybko, a na górze już szeptali, że traci talent w grze. Potrzebował jednego wielkiego numeru, i to szybko, ponieważ nie znał innego życia, a wszystkie jego zegary ustawiono na czas popychacza, wyskalowano ryzykiem i adrenaliną. I tym nienaturalnym spokojem, który nadchodzi, gdy każdy ruch okazywał się słuszny, a słodka masa cudzego kredytu wskakiwała na twoje konto.

Nadchodził czas, by spakować tobolek i odejść. Dlatego Rikki ustawił wyżej i dalej niż którąkolwiek z poprzednich dziewczyn. A przecież – miałem ochotę mu to wykrzyknąć – była obok nas, rzeczywista, ludzka, głodna, elastyczna, znudzona, piękna, podniecona... Była wszystkim.

Potem wyszedł, któregoś popołudnia, mniej więcej tydzień przed moją podróżą do Nowego Jorku i spotkaniem z Finnem. Wyszedł i zostawił nas na poddaszu, w oczekiwaniu na burzę. Połowa świetlika była w cieniu nigdy nie dokończonej kopuły, druga ukazywała niebo, błękitne i czarne od chmur. Stałem przy ławie i patrzyłem w to niebo, ogłupiały od upału i wilgoci. Wtedy mnie dotknęła, musnęła półcalową granicę twardej różowej blizny, której nie kryło ramię. Kiedy ktoś dotykał tego miejsca, przechodził zwykle wyżej, na bark, szyję...

Ale nie ona. Miała paznokcie pomalowane na czarno, nie ostre, ale owalne, z lakierem o odcień jaśniejszym od węglowych włókien powłoki ramienia. A jej dłoń zsuwała się w dół, czarne paznokcie gładziły spojenie laminatu, do anodyzowanego łokcia, nadgarstka, palce po dziecinnemu miękkie, rozłożone, by pokryć moje... jej dłoń na perforowanym duraluminium.

Druga ręka musnęła płytki sprzężenia zwrotnego; padało aż do wieczora, a krople deszczu bębniły w stalową kratę i brudne szyby nad łóżkiem Bobby'ego.

* * *

Mury lodu przemykają jak naddźwiękowe motyle cienia. Za nimi czeka matrycowa iluzja nieskończoności. Jakbym oglądał nagranie budowy z prefabrykatów, tylko taśma puszczona jest do tyłu i z dużą szybkością, a ściany to poszarpane skrzydła.

Usiłuję nie zapominać, że to miejsce i otchłań poza nim to tylko reprezentacje, że nie jesteśmy „w” komputerze Chrom, ale tylko sprzężeni, że to symulator matrycy na poddaszu Bobby’ego generuje iluzję... Pojawia się rdzeń danych, odsłonięty i bezbronny... To przeciwna strona lodu, obraz matrycy, którego jeszcze nie oglądałem, widok, na który patrzy codziennie i nie zwraca uwagi piętnaście milionów uprawnionych użytkowników.

Dane rdzenia wznoszą się wokół jak pionowe pociągi towarowe w kolorach kodów dostępu. Jaskrawe barwy podstawowe, niesamowicie jasne w przejrzystej pustce, łączone niezliczonymi poziomnicami w dziecięcych błękitach i różach.

Lecz lód wciąż okrywa mrokiem coś w samym centrum: serce kosztownej ciemności Chrom, samo serce...

* * *

Późnym popołudniem wróciłem z wyprawy do Nowego Jorku. Przez świetlik wpadało niewiele światła, ale na monitorze płonął wzorzec lodu, dwuwymiarowa reprezentacja ochrony czyjegoś komputera, neonowe krzywe splecione jak dywanik modlitewny art déco. Wyłączyłem konsolę i ekran poczerniał.

Na moim pulpicie leżały rzeczy Rikki, nylonowe torby, ubrania, kosmetyki, para czerwonych kowbojskich butów, kasety audio i lśniąca japońska magazyny z gwiazdami symstymu na okładkach. Poukładałem wszystko na podłodze i odpiąłem ramię. Zapomniałem, że program Finna mam w prawej kieszeni kurtki i musiałem niezgrabnie sięgnąć tam lewą ręką. Wkręciłem go w wyłożone gąbką szczęki jubilerskiego imadła.

Manipulator przypomina stary gramofon, taki do płyt, z imadłem pod przezroczystą pokrywą. Dźwignia długości centymetra porusza się na tym,

co w gramofonie byłoby ramieniem. Nie patrzę na nią, kiedy mocuję przewody do kikutu; patrzę na ekran, bo tam widzę to ramię, czarno-białe, w powiększeniu 40x.

Przeleciałem kontrolę narzędzi i wziąłem laser. Był trochę ciężki, więc przeskalowałem czujnik ciężaru do ćwierć kilograma na gram i wziąłem się do roboty. Przy 40x bok kasety przypominał oponę ciężarówki.

Przełamanie zajęło mi osiem godzin: trzy z manipulatorem: laser i cztery tuziny nakłuć, dwie przy telefonie, kiedy rozmawiałem z moim kontaktem w Kolorado; i trzy, żeby zainstalować dysk leksykalny, potrafiący przetłumaczyć techniczny rosyjski sprzed ośmiu lat.

Znaki cyrylicy popłynęły ekranem, w połowie drogi zmieniając się w angielski. Było sporo luk, kiedy leksykon trafiał na specjalistyczne wojskowe akronimy, bez odpowiedników w zbiorze kupionym od mojego człowieka z Kolorado. W końcu jednak zyskałem pewne pojęcie o tym, co sprzedał mi Finn.

Czułem się jak punk, który wychodzi kupić sprężynowiec i wraca z małą bombą neutronową.

Znów spieprzyłem, pomyślałem. Po co mi bomba neutronowa w ulicznej bójce? Zabawka pod pokrywą nie mieściła się w mojej lidze. Nie wiedziałem nawet, gdzie ją wyładować, gdzie szukać nabywcy. Ktoś wiedział, ale teraz był martwy; ktoś z zegarkiem porsche i fałszywym belgijskim paszportem. Nigdy nie próbowałem dotrzeć do tych kręgów. Oprychy Finna z przedmieść Jersey trafiły na kogoś o niezwykłych powiązaniach.

Program w jubilerskim imadle był rosyjskim lodolamaczem, morderczym wirusem.

Świtało, gdy wrócił Bobby. Sam. Zasnąłem z torbą kanapek na kolanach.

– Zjesz coś? – zapytałem, nie całkiem rozbudzony, podsuwając mu kanapki. Śniłem o programie, o falach jego systemów defekcyjnych, o mimetycznych podprogramach. We śnie był zwierzęciem, bezkształtnym jak galareta.

Odsunął torbę, podszedł do konsoli i wcisnął klawisz funkcyjny. Ekran zapłonął splotem wzorca, który widziałem po południu. Lewą dłonią przetarłem oczy – to jedna z niewielu rzeczy, których nie potrafię zrobić prawą. Usnąłem, rozważając, czy powiedzieć mu o programie. Może

powiniennem sprzedać go samodzielnie, zatrzymać forszę, wyjechać w nowe miejsce, poprosić Rikki, by pojechała ze mną...

– Czyje to? – spytałem.

Stał przed ekranem w czarnym bawełnianym dresie, ze starą skórzaną kurtką narzuconą na ramiona jak peleryna. Nie golił się od paru dni, a twarz miał chudsza niż zwykle.

– Chrom – powiedział.

Ramię zadygotało, zaczęło stukać, gdy translacja strachu płynęła do mioelektryki poprzez karbonowe gniazda. Rozsypałem kanapki: zwiędła zielenina i żółte plastry sera na brudnych deskach podłogi.

– Zwariowałeś.

– Nie. Myślisz, że nas wyśledziła? Wykluczone. Już bylibyśmy martwi. Połączenie przez potrójnie chroniony system publiczny w Mombasa i algierskiego satelitę komunikacyjnego. Wie, że ktoś się u niej rozglądał, ale nie potrafi złapać tropu.

Gdyby Chrom prześledziła trasę, jaką Bobby dotarł do jej lodu, to bylibyśmy już chodzącymi trupami. Ale chyba miał rację. Inaczej rozwaliliby mnie w drodze z Nowego Jorku.

– Dlaczego ona, Bobby? Podaj mi jeden rozsądny powód...

Chrom: widziałem ją może z dziesięć razy w Eleganckiej Porażce. Może chciała się upić, a może sprawdzała stan człowieczeństwa, do którego sama nie w pełni aspirowała. Słodka buzia otaczająca parę oczu – najpaskudniejszych, jakie znam. Odkąd ją pamiętano, wyglądała na czternaście lat, potężnymi dawkami surowic i hormonów chroniona przed jakimkolwiek typem normalnego metabolizmu. Ulica nie wydała nikogo wredniejszego, choć ona nie należała już do ulicy. Należała do Chłopców; miała mocną pozycję w lokalnej gałęzi mafii. Krążyły plotki, że zaczynała jako handlarz, jeszcze w czasach, kiedy syntetyczne hormony były zakazane. Od dawna jednak nie musiała sprzedawać hormonów. Teraz miała Dom Błękitnych Świąteł.

– Zdurniałeś, Quine. Podaj jeden powód, dla którego trzymasz to na ekranie. Skasuj, i to natychmiast.

– Gadali w Porażce – odparł, zrzucając kurtkę. – Czarna Myron i Wrona Jane. Jane ma oko na wszystkie złącza w seksie i twierdzi, że wie, gdzie płynie forsa. Kłóciła się z Myron, że Chrom nie jest zwykłą figurantką Chłopców, ale ma pakiet kontrolny w Błękitnych Świątłach

– „Chłopcy”, Bobby – powiedziałem – to ważne słowo w tej okolicy. Czy nadal potrafisz to dostrzec? Nie wchodzimy Chłopcóm w drogę, pamiętasz? Dlatego jeszcze żyjemy.

– Dlatego ciągle jesteśmy biedni, wspólniku. – Siadł na obrotowym krześle przed konsolą, rozpiął dres i podrapał się w bladą, chudą pierś. – Ale może już niedługo.

– Mam wrażenie, że nasza spółka została właśnie permanentnie rozwiązana.

Wtedy się uśmiechnął. Wyszczrzył zęby jak totalny szaleniec, jak zwierzę. Wiedziałem, że nie obchodzi go, czy zginie.

– Zastanów się – poprosiłem. – Mam jeszcze trochę forsy. Weź ją, wsiądź w metro do Miami, złap kopter do Montego Bay. Musisz wypocząć, chłopie. Musisz się jakoś pozbierać.

– Nigdy jeszcze nie byłem bardziej pozbierany, Jack – odparł, wystukując coś na konsoli. Neonowy modlitewny dywan zamigotał i drgnął, gdy zadziałał program animacyjny. Linie lodu spletały się w hipnotycznym rytmie jak żywa mandala. Bobby wciskał klawisze. Tempo spadło; wzorzec rozwinął się, stracił nieco złożoności, zmienił w obraz przejściowy między dwiema dalekimi konfiguracjami. Robota pierwszej klasy; nie przypuszczałem, że nadal jest taki dobry.

– Teraz – powiedział. – Tutaj, widzisz? Zaczekaj. Tam. I tu. I jeszcze tu. Łatwo przeoczyć. Jest. Co godzinę i dwadzieścia minut cięcie transmisji impulsowej do ich satelity. Moglibyśmy przeżyć rok za to, co im płaci tygodniowo jako ujemne oprocentowanie.

– Czyjego satelity?

– W Zurychu. Jej bankierów. To jej konto, Jack. Tam idzie szmal.

Stałem nieruchomo. Moje ramię zapomniało o stukaniu.

– A jak ci poszło w Nowym Jorku, wspólniku? Znalazłeś coś, co pomogłoby rozciąć ten lód? Wszystko może się przydać.

Patrzyłem mu prosto w oczy, z wysiłkiem powstrzymując się od spojrzenia na manipulator i jubilerskie imadło. Tam, gdzie pod przezroczyłą osłoną czekał rosyjski program.

Dżokery i maskotki.

– Gdzie Rikki? – spytałem, stając przy konsoli. Udawałem, że studiuje zmienne wykresy na ekranie.

– Z kumplami. – Wzruszył ramionami. – Dzieciaki, wszystkie marzą o symstymie. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Robię to dla niej, chłopie.

– Muszę to przemyśleć, Bobby. Jeśli chcesz, żebym tu wrócił, trzymaj łapy z daleka od klawiatury.

– Robię to dla niej – powtórzył, gdy zamknąłem drzwi. – Wiesz, że tak.

* * *

W dół, coraz niżej. Program to karuzela wśród postrzępionego labiryntu murów cienia, szarych przestrzeni katedr między jasnymi wieżami. Szaleńczy pęd.

Czarny lód. Nie myśleć o tym. Czarny lód.

Zbyt wiele historii w Eleganckiej Porażce. Czarny lód należy do mitologii. Lód, który zabija. Nielegalny, ale przecież wszyscy działamy poza prawem. Jak ohydne Słowo, które wyżera umysł. Jak epileptyczny spazm, co trwa i trwa, aż nie pozostaje nic.

A my nurkujemy do fundamentów zamku cienia Chrom.

Próbuję się przygotować na nagły zanik oddechu, słabość, ostateczne zwiotczenie mięśni. Lęk przed zimnym Słowem, które czeka gdzieś tam wśród czerni.

* * *

Wyszedłem i zacząłem szukać Rikki. Znalazłem ją w kawiarni, z jakimś chłopakiem z oczami Sendai i na wpół zagojonymi liniami szwów, biegnącymi promieniście od ciemnych oczodołów. Na stoliku leżała otwarta, błyszcząca broszura. Tally Isham uśmiechała się z tuzina fotografii – Dziewczyna z Oczami Zeiss Ikon.

Mały dek symstymu był wśród rzeczy, które wczoraj zdjąłem ze swojego pulpitu – ten sam, który naprawiałem drugiego dnia po spotkaniu. Spędzała całe godziny, włączona w ten zestaw, z kontaktową opaską niby szarym diademem na czole. Uwielbiała Tally Isham, a po założeniu opaski odchodziła gdzieś w zarejestrowane doznania zmysłowe największej gwiazdy symstymu. Symulowana stymulacja: świat – a w każdym razie

jego najciekawsze elementy – postrzegane przez Tally Isham. Tally pędząca czarnym poduszkowcem Fokkera przez płaskowyż Arizony. Tally nurkująca w rezerwach Truk Island. Tally podczas przyjęcia na prywatnej greckiej wysepce: zapierająca dech czystość tych maleńkich białych przystani o świcie.

Właściwie była trochę podobna do Tally: ta sama kolorystyka, te same kości policzkowe. Miała chyba bardziej stanowczą linię ust. Więcej charakteru. Nie chciała być Tally Isham, ale marzyła o jej karierze. Chciała być w symstymie. Bobby wyśmiewał te plany, ze mną jednak czasem rozmawiała.

– Jak bym wyglądała w parze czegoś takiego? – pytała, pokazując całostronicowe zdjęcie twarzy, z błękitnymi Zeiss Ikon Tally Isham, w obwódce własnego ciemnego bursztynu. Dwa razy operowała rogówki, ale wciąż nie uzyskała 20-20. Dlatego chciała Ikony. Marka gwiazd. Bardzo drogie.

– Ciągłe oglądasz oczy? – spytałem, siadając przy nich.

– Tygrys właśnie kupił – odparła. Wyglądała na zmęczoną.

Tygrys był tak dumny ze swoich Sendai, że nie potrafił skryć uśmiechu, choć wątpię, czy uśmiechałby się w innym wypadku. Dysponował ujednoliconym typem atrakcyjnego wyglądu, jaki powstaje po siódmej wizycie w chirurgicznym butik; przez resztę życia będzie trochę podobny do każdej nowej gwiazdy sezonu. Nie nazbyt wyraźnie, ale też nic oryginalnego.

– Sendai, prawda? – Uśmiechnąłem się także.

Przytaknął. Przyglądałem się, jak usiłuje objąć mnie profesjonalnym, symstymowym spojrzeniem. Udawał, że nagrywa. Moim zdaniem za dużo czasu poświęcił na moje ramię.

– Będą świetne w obrazach peryferyjnych, jak tylko mięśnie się wygoją – stwierdził. Widziałem, jak ostrożnie sięga po filizankę. Oczy Sendai są znane z defektów percepcji głębi i problemów gwarancyjnych. Między innymi.

– Tygrys wyjeżdża jutro do Hollywood.

– A potem może Chiba City. – Uśmiechnąłem się znowu. On zachował powagę. – Dostałeś propozycję, Tygrysie? Znasz jakiegoś agenta?

– Chcę się rozejrzeć – odparł cicho. Potem wstał i wyszedł. Pożegnał się pośpiesznie z Rikki. Ze mną nie.

– Nerwy wzrokowe tego chłopaka zaczną się rozpadać w ciągu sześciu miesięcy. Wiesz o tym, Rikki? Te Sendai są nielegalne w Anglii, Danii i jeszcze paru krajach. Nie można wymienić nerwów.

– Jack, daruj sobie wykłady. – Porwała mojego croissanta i nadgryzła rożek.

– Myślałem, że jestem twoim doradcą, dziecinko.

– Tak. Wiesz, Tygrys nie jest zbyt bystry, ale wszyscy słyszeli o Sendai. Na nic innego nie mógł sobie pozwolić. Więc ryzykuje. Jeśli znajdzie pracę, wymieni je.

– Na takie? – Wskazałem broszurę Zeiss Ikons. – To kupa forsy, Rikki. Nie będziesz chyba tak ryzykować.

Skinęła głową.

– Chcę mieć Ikony.

– Jeśli idziesz do Bobby'ego, przekaz, żeby siedział cicho, dopóki się nie odezwę.

– Dobra. Jakies interesy?

– Interesy – przytaknąłem. Ale to było szaleństwo.

Dopiłem kawę, a ona zjadła oba croissanty. Potem odprowadziłem ją do Bobby'ego. Wykonałem piętnaście telefonów, każdy z innej budki.

Interesy. Zupełne szaleństwo.

Ogólnie poświęciliśmy sześć tygodni na ustawienie skoku, sześć tygodni opowieści Bobby'ego o tym, jak bardzo ją kocha. Pracowałem bardziej intensywnie, żeby tylko tego nie wysłuchiwać.

Najwięcej czasu zajmowały telefony. Każdy z piętnastu pierwszych, bardzo dyskretnych, sondaży prowadził do piętnastu następnych. Szukałem kogoś, kto świadczył pewnego rodzaju usługi, naszym zdaniem absolutnie niezbędne w skrytej ekonomii podziemnego świata. Ten ktoś nigdy pewnie nie miał więcej niż pięciu klientów naraz. I nigdy się nie reklamował.

Szukaliśmy największego pasera świata, nierejestrowanej pralni zdolnej do wyprania w czasie rzeczywistym megów dolców gotówkowego transferu. I do zapomnienia o całej sprawie.

Wszystkie te rozmowy okazały się stratą czasu, gdyż w końcu dopiero Finn naprowadził mnie na trop. Pojechałem do Nowego Jorku kupić nowy układ czarnej skrzynki – opłaty telefoniczne doprowadzały nas do bankructwa.

Wyłożyłem mu problem w sposób możliwie hipotetyczny.

– Makao – oświadczył.

– Makao?

– Rodzina Long Hum. Maklerzy giełdowi.

Znał nawet numer. Jeśli szukasz pasera, pytaj innych paserów.

Ludzie Long Hum mówili tak ogólnikowo, że to, co uważałem za subtelne podejście, zaczęło przypominać taktyczny atak nuklearny. Bobby dwa razy leciał promem do Hongkongu, żeby dogadać szczegóły. W szybkim tempie kończył się nam kapitał. Wciąż nie wiem, czemu postanowiłem mu pomagać; bałem się Chrom, a nigdy nie byłem aż tak cięty na forszę.

Próbowałem sobie przetłumaczyć, że wypalenie Domu Błękitnych Świąteł to świetny pomysł, bo to wredne miejsce. Ale mi nie szło. Nie lubiłem Błękitnych Świąteł, ponieważ kiedyś spędziłem tam wyjątkowo ponury wieczór, ale to żaden powód, żeby brać się za Chrom. Właściwie byłem prawie pewien, że zginiemy w tej akcji. Nawet z morderczym programem szanse mieliśmy raczej niewielkie.

Bobby spędzał czas, pisząc zestaw instrukcji, które chcieliśmy włączyć w samym centrum komputera Chrom. To miało być moje zadanie, gdy on będzie powstrzymywał rosyjski program przed zadaniem morderczego ciosu. Był zbyt skomplikowany, żebyśmy potrafili go skorygować, więc miał go wyhamować na potrzebne mi dwie sekundy.

Dogadałem się z ulicznym wojownikiem, niejakim Milesem. Obiecał chodzić za Rikki w noc akcji, nie spuszczać z niej oczu i w umówionym czasie zatelefonować do mnie. Jeśli nie podniosę słuchawki albo nie odpowiem w określony sposób, miał ją wepchnąć w pierwsze metro z miasta. Dostał kopertę, którą powinien jej przekazać. Pieniądze i wiadomość.

Bobby właściwie nie myślał, co ona zrobi, jeśli zawalimy numer. Powtarzał mi tylko, jak bardzo ją kocha, gdzie razem pojedą i na co wydadzą pieniądze.

– Przede wszystkim kup jej Ikony, chłopie. Marzy o nich. Poważnie myśli o karierze w symstymie.

– Co ty... – Spojrzał znad klawiatury. – Nie będzie musiała pracować. Uda się nam, Jack. Ona jest moim szczęściem. Już nigdy nie będzie musiała pracować.

– Twoje szczęście – mruknąłem. Nie byłem specjalnie szczęśliwy. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio byłem. – Widziałeś je gdzieś ostatnio?

Nie widział, ale ja też nie. Mieliśmy za dużo roboty.

Tęskniłem za nią. I tęsknota przypominała mi o jedynej nocy w Domu Błękitnych Świąteł, ponieważ poszedłem tam, tęskniąc za kimś innym. Na początek się upiłem, potem ruszyłem do inhalatorów wazopresyny. Jeśli twoja najważniejsza panienka właśnie postanowiła odejść, woda i wazopresyna są ultymatywną mieszanką masochistycznej farmakologii. Gorzała robi cię ckliwym, a wazopresyna zmusza, żebyś pamiętał. To znaczy: naprawdę pamiętał. Klinicznie używają jej do hamowania starczej sklerozy, ale ulica znajduje własne zastosowania. I tak kupiłem sobie ultraintensywną powtórkę nieudanego romansu. Problem w tym, że dostaje się złe wspomnienia razem z dobrymi. Polujesz na przesyłkę zwierzęcej ekstazy, a dostajesz przy okazji to, co powiedziałeś, i co ona na to, i jak odeszła, nie oglądając się nawet za siebie.

Nie wiem już, czemu postanowiłem odwiedzić Błękitne Światła ani jak tam trafiłem, do wyciszonych korytarzy i tego naprawdę ostrego, dekoracyjnego wodospadu, który chlupotał gdzieś w głębi. A może to tylko hologram. Miałem wtedy forszę; ktoś nieźle zapłacił Bobby'emu za trzysekundowe okno w czyimś lodzie.

Nie sądzę, żebym spodobał się obsłudze, ale pieniądze miałem takie jak trzeba.

Napiłem się jeszcze, kiedy już załatwiłem to, po co przyszedłem. Potem rzuciłem barmanowi jakiś dowcip o gabinetowych nekrofilach. Nie przyjął tego najlepiej. Później taki wielki facet uparł się, żeby mnie nazywać Bohaterem Wojennym, czego nie lubię. Chyba pokazałem mu parę sztuczek moim ramieniem, jeszcze zanim zgasły światła, i obudziłem się po dwóch dniach w nagim module noclegowym, zupełnie gdzie indziej. Tani lokal, nie było nawet miejsca, żeby się powiesić. Siedziałem sobie na wąskim płacie gąbki i płakałem.

Są rzeczy gorsze od samotności. Ale to, co sprzedają w Domu Błękitnych Świąteł, jest tak popularne, że niemal legalne.

* * *

W sercu ciemności, w martwym centrum, systemy defekcyjne rozdarły mrok wirami światła, pędzącymi we wszystkie strony przezroczystymi brzytwami. Wisimy w środku bezdźwięcznej, spowolnionej eksplozji, odłamki lodu odpadają na zawsze, głos Bobby'ego napływa przez lata świetlne elektronicznej iluzji pustki...

– Wypal tę dziwkę. Nie utrzymam tego dłużej...

Rosyjski program wznosi się poprzez wieże danych, wymazując pastelowe barwy. A ja włączam domowej roboty zestaw instrukcji Bobby'ego w sam środek zimnego serca Chrom. Strzela impulsowa transmisja, błysk skondensowanej informacji tryska w górę, obok coraz potężniejszych wież ciemności rosyjskiego programu. Bobby walczy o tę kluczową sekundę. Nieuformowane ramię cienia wysuwa się z mroku, za późno.

Udało się.

Matryca składa się wokół mnie niby origami.

Na poddaszu cuchnie potem i spalonymi obwodami.

Zdawało mi się, że słyszę krzyk Chrom – ostry, metaliczny dźwięk. Ale to niemożliwe.

* * *

Bobby ryczał ze śmiechu. Miał łzy w oczach. Wyświetlacz w rogu ekranu wskazywał czas operacji: 07:24:05. Cała akcja nie trwała nawet ośmiu minut.

Zobaczyłem, że rosyjski program stopił się w gnieździe.

Przekazaliśmy większość sumy z rachunku Chrom w Zurychu dla dziesięciu międzynarodowych organizacji charytatywnych. Za dużo tego miała, żeby ruszyć, a wiedzieliśmy, że musimy ją złamać, wypalić do szczytu. Inaczej mogłaby do nas dotrzeć. Dla siebie wzięliśmy niecałe dziesięć procent i przerzuciliśmy do zespołu Long Hum w Makao. Pobrali sześćdziesiąt procent, a resztę puścili do nas przez najbardziej zagmatwany sektor giełdy w Hongkongu. Dopiero po godzinie forsa dotarła na dwa konta, które otworzyliśmy w Zurychu.

Patrzyłem, jak za nieistotną cyfrą na monitorze wyskakują kolejne zera. Byłem bogaty.

Wtedy zadzwonił telefon: Miles. Niewiele brakowało, a zawałiłbym zdanie hasła.

– Jack, chłopie, sam nie wiem... O co chodzi z tą twoją dziewczyną? Cholernie dziwna sprawa...

– Co? Gadaj!

– Szedłem za nią, jak kazałeś, blisko, ale dyskretnie. Była w Eleganckiej Porażce, posiedziała trochę, potem złapała metro. Poszła do Domu Błękitnych Świąteł...

– Gdzie?

– Boczne drzwi. „Tylko dla pracowników”. Nie mogłem przejść przez ich ochronę.

– Jest tam jeszcze?

– Nie, stary. Zgubiłem ją. Tu wszyscy wariują. Wygląda, że Błękitne Świątła zamykają interes, chyba na dobre. Wyje siedem różnych alarmów, wszyscy latają w kółko, są gliny z ciężkim sprzętem... I jeszcze pełno tu różnych takich, wiesz, faceci z ubezpieczeń, ci od nieruchomości, furgonetki ze służbowymi rejestracjami...

– Co się z nią stało, Miles?

– Zgubiłem ją, Jack.

– Miles, zatrzymaj tę forszę z koperty, dobra?

– Poważnie? Słuchaj, naprawdę mi głupio. Ja...

Odwiesiłem słuchawkę.

– Zaczekaj, aż jej powiemy – rzekł Bobby, wycierając ręcznikiem nagą pierś.

– Sam jej powiedz, kowboju. Ja idę na spacer.

Wychodzę w noc i neony, pozwalając, by niósł mnie tłum. Idę na ślepo, nie myślę, chcę być tylko elementem tego zbiorowego organizmu, chipem świadomości dryfującym po geodezyjnej. Nie myślę, po prostu stawiam jedną stopę przed drugą.

Po chwili jednak pomyślałem i wszystko nabrało sensu. Potrzebowała pieniędzy.

Myślałem też o Chrom. O tym, że ją zabiliśmy, zamordowaliśmy równie pewnie, jak gdybyśmy poderżnęli jej gardło. Noc, która mnie niosła przez ulice i place, już na nią polowała. A Chrom nie miała dokąd uciekać. Ilu jej wrogów krążyło choćby tylko w tym tłumie? Ilu ruszy teraz, gdy nie

powstrzymuje ich lęk przed jej pieniędzmi? Zabraliśmy wszystko, co miała. Znów była na ulicy. Nie wierzyłem, by dożyła świtu.

W końcu przypomniałem sobie kawiarnię, gdzie poznałem Tygrysa.

Jej okulary zdradzały całą historię: wielkie i ciemne, z wiele mówiącą plamą kredki w kolorze skóry w rogu jednego ze szkielec.

– Cześć, Rikki – powiedziałem. Byłem gotów, kiedy je zdjęła.

Niebieskie. Błękit Tally Isham. Czysty błękit, jak znak firmowy, z którego są słynne. I ZEISS IKON otaczające tęczówki małymi, złotymi literami, zawieszonymi tam niby drobinki kruszcu.

– Piękne – stwierdziłem. Kredka skrywała zsiniałą skórę. Przy tak dobrej robocie nie było żadnych blizn. – Zarobiłaś trochę forsy.

– Tak, zarobiłam. – Zadrzała. – Ale już nie będę. Nie w ten sposób.

– Mam wrażenie, że tamten lokal wypadł z interesu.

– Och. – Jej twarz nie drgnęła. Nowe błękitne oczy były nieruchome i bardzo głębokie.

– To bez znaczenia. Bobby na ciebie czeka. Zrobiliśmy duży numer.

– Nie. Muszę wyjechać. On chyba nie zrozumie, ale muszę.

Skinąłem głową, patrząc, jak ramię bierze ją za rękę. Zdawało się, że nie należy do mnie, ale ona trzymała je, jakby należało.

– Mam bilet w jedną stronę do Hollywood. Tygrys zna ludzi, u których mogę się zatrzymać. Może trafię nawet do Chiba City.

Miała rację co do Bobby'ego. Wróciłem z nią. Nie zrozumiał. Ale dla niego spełniła już swoje zadanie. Chciałem jej powiedzieć, by nie cierpiała z jego powodu. Ponieważ widziałem, że cierpi. Nie wyszedł nawet na korytarz, kiedy już spakowała rzeczy. Odstawiłem jej torby, pocałowałem ją, rozmazałem kredkę i coś narastało we mnie, tak jak morderczy program wyrastał nad danymi Chrom. Nagły zanik oddechu w miejscu, gdzie nie istnieją słowa. Ale musiała przecież zdążyć na samolot.

Bobby siedział na obrotowym krześle przed monitorem i patrzył na swój łańcuch zer. Włożył okulary i wiedziałem, że wieczorem siądzie w Eleganckiej Porażce, sprawdzi pogodę, będzie czekał na znak, na kogoś, kto mu powie, jakie będzie jego nowe życie. Prawie tak jak przedtem, choć wygodniej. Wciąż musiał czekać na rozdanie kolejnej karty.

Próbowałem wyobrazić ją sobie w Domu Błękitnych Świąteł, pracującą na trzygodzinne zmiany w aproksymacji szybkich snów, gdy ciało i parę

uwarunkowanych odruchów zajmowało się resztą. Klienci nigdy się nie skarżyli, że udaje, ponieważ były to prawdziwe orgazmy. Tylko że ona czuła je – jeśli w ogóle coś czuła – jako blade, srebrzyste rozbłyski na samej granicy snu. To jest tak popularne, że prawie legalne. Klienci bywają rozdarci między potrzebą towarzystwa a pragnieniem samotności. Zresztą, chyba o to właśnie chodziło w tej szczególnej grze, nawet przed wprowadzeniem neuroelektroniki, która pozwalała na realizację obu zachcianek równocześnie.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer linii lotniczej. Podałem jej prawdziwe nazwisko i numer lotu.

– Chce to zmienić – powiedziałem. – Na Chiba City. Zgadza się. Japonia.

Wcisnąłem do szczeliny kartę kredytową i wystukałem kod identyfikacyjny.

– Pierwszą klasę.

Odległy szum, kiedy skanowali stan mojego kredytu.

– Powrotny też.

Sądzę, że odebrała forszę za bilet powrotny. A może nie potrzebowała, gdyż nie wróciła. Czasem, późno w nocy, mijam wystawę z plakatami gwiazd symstymu, wszystkie te piękne, identyczne oczy patrzące na mnie z niemal równie identycznych twarzy. I czasem to są jej oczy. Ale nie twarz, żadna z nich, nigdy. I widzę ją bardzo daleko, na skraju ciągu nocy i miast, a ona macha do mnie na pożegnanie.



artefakty

WILLIAM
GIBSON

WYPALIĆ
CHROM

